

PODWÓJNY NUMER Flis: kto wygra wybory ■ AI uwierzy w Boga
Alternatywne dzieje III RP ■ Jagielski: jak się zmienia świat ■ Powrót astrologii
Dolina Krzemowa chce władzy ■ Kate Winslet, Pep Guardiola, Krzysztof Zalewski

Kraków 31 grudnia 2024 – 14 stycznia 2025 nr 1-2 (3939-3940) cena 18 zł (w tym 8% VAT)

**NASZE PRZEPowiednie
NA NOWY ROK 2025**

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl



Polska jest życzliwa

WIEMY, NA CZYM POLEGA NASZ KŁOPOT Z UŚMIECHEM



THE FUTURE BELONGS TO THE CURIOUS

Jens Stoltenberg | Francis Fukuyama | Anna Lembke | John Kerry |
Huma Abedin | Cédric Villani | Martin Wolf | Mark Leonard |
more speakers soon...

impact'25



14-15 MAY

POZNAN / WIELKOPOLSKA

KS. ADAM

Boniecki: Życzenia noworoczne

DO SIEGO ROKU? DZIŚ JUŻ NIE BARDZO WIA-
domo, co właściwie znaczy to „do siego”.
Słowo przedpotopowe, więc mówię „szczęśli-
wego nowego roku”. Można tak powiedzieć,
choć w gruncie rzeczy jest to bardzo ogólniko-
we gadanie. Nie może być przecież tak, żeby
cały rok był szczęśliwy. Więc może to powin-
no brzmieć „najlepsze życzenia noworoczne”?
Tak można, oczywiście. Że dobrze życzę bez
główkowania nad tym, co to znaczy. Najpro-
ściej. Żeby wszystko było jak trzeba. Mówię: „najlepsze” i „no-
woroczne”. Mówię tak i sam nie wiem, czego właściwie życzę.
W końcu nie muszę wiedzieć. W końcu ten, któremu to mó-
wię, też nie wie. Albo myśli o tym, co według niego jest najlep-
sze, albo nic nie myśli, a ja co najwyżej, że zadość uczyniłem
obyczajowi. Tak to jest z tymi życzeniami. Dobrze komuś ży-
czymy i w miarę możliwości nie wysilamy się na wyrażanie tego
w słowach. Albo używamy słów zużytych, przechodzonych,
często powtarzanych całkiem bezmyślnie.

Nie mam zamiaru pisać podręcznika składania życzeń. Jednak
trudno mi się wyzbyć chęci przekonywania, że życzenia po-
winny być składane w sposób choć trochę przemyślany. Nie to,
żebym wierzył w ich cudowną moc, ale wierzę, że przemyślane
życzenia budzą myśl o tym, co jest naprawdę ważne. Oczywiście,
dla wierzącego najważniejsze jest dostanie się do nieba.
Nie sądzę jednak, żeby sprawy eschatologiczne (oczywiście
ważne) były dobrym przedmiotem życzeń świątecznych czy
imieninowych. O to można się modlić. Ale życzenia eschatolo-
giczne być nie powinny.

Jest problem związany z treścią życzeń, które mogą, a czasem
powinny być, poważne. Życzenia, by ominęły nas kolejne
wojny, by kolejne spory wewnątrz kraju nie doprowadziły do



wzajemnej nienawiści ludzi o różnej orienta-
cji politycznej, a jeśli doprowadzą, to żebyśmy
się mimo ich istnienia pojednali, by u sterów
państwa stali ludzie godni zaufania, by pokój
wreszcie zapanował na świecie. Wygnańcom
czy uciekinierom życzymy powrotu do rodzin-
nych stron, podróżnikom, by odkrywali to,
czego na miejscu u nas nie ma, chorym – po-
wrotu do zdrowia, nawet jeśli nadzieje na ten
powrót nie są wielce prawdopodobne.

Oczywiście, sensowne życzenia są o wiele prostsze, jeśli znamy
adresata naszych życzeń. Oczywiście, inaczej formułujemy ży-
czenia do większej grupy ludzi, z których tylko część znamy, za-
wsze jednak istnieje niebezpieczeństwo ześlizgnięcia się w ba-
nały. Istnienie gotowych formuł jest zasadzką, w którą wpa-
dają wszyscy sądzący, że składanie życzeń jest czymś bardzo
prostym. Co więcej, większość z nas uległa pokusie niełączenia
składania życzeń z myśleniem. Mówimy (może i ze szczerego
serca) kilka banałów. A przecież, jak dobrze pomyśleć, to za-
wsze są jakieś sprawy, które w życzeniach powinny się znaleźć.
Nie lekceważmy tego.

Więc na koniec życzenia noworoczne dla Was. Niech ten rok
będzie dobry, cokolwiek to znaczy. Niech w nim będzie wiele,
a przynajmniej sporo jasnych, dobrych chwil. A bardzo wiele za-
leży tu od nastawienia każdego, od tego, co się uważa za dobre,
co za złe. Bo przecież nawet bolesne doświadczenia mogą się
okazać (jakimś) dobrem. Życzę, by i tego dobra nie przegapić,
by nie patrzeć na życiowe doświadczenia jednostronnie. ©®

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz,
jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP

POWIEDZ NAM, CO SĄDZISZ! ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W KRÓTKIEJ ANKIECIE

To **tylko trzy** pytania. Odpowiedź zajmie Ci **mniej niż minutę**, a **Twoje zdanie** jest dla nas bardzo ważne.

Żeby wziąć udział w ankiecie, **zeskanuj** zamieszczony obok kod
lub wejdź na adres **powszech.net/ankieta1**

Od czasu do czasu chcemy prosić Czytelników o opinię na wybrane tematy dotyczące drukowanego wydania.
Twoje odpowiedzi pomogą nam w pracy nad tym, żeby „Tygodnik” był jeszcze lepszy.

DZIĘKUJEMY, ŻE NAS CZYTASZ!



EKSTRA NA NOWY ROK 2025

**40 Mroczna dolina**

JAKUB DYMEK

*Dolina Krzemowa idzie po władzę – nie tylko nad technologią.***78 W głowie się
nie mieści**

MICHAŁ OKOŃSKI

*Czy Pep Guardiola
zdola jeszcze raz
wymyślić futbol
na nowo?***58 Co jest ci pisane**

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Czego dziś szukamy w starożytnej sztuce astrologii?**92 Kafka, samo życie**

ELIZA KĄCKA

*Od śmierci autora „Procesu” minęło sto lat, a my wciąż
próbujemy zgłębić jego niepojętą osobowość i styl.*

Uśmiechu na co dzień”. Słyszeliśmy te słowa w ostatnich dniach regularnie, rzucane czasem jako zwyczajowy wypełniacz świątecznych życzeń. Polski stosunek do uśmiechu bywa skomplikowany. W powszechnym wyobrażeniu gospodarujemy nim oszczędnie, a ostatnio „Polish smile” bywa nawet obiektem obcojęzycznych memów, często zestawiany w parę z typową paletą polskich barw, czyli wszystkimi odcieniami szarości. W tym numerze przyjrzelśmy się jednak polskiemu uśmiechowi z naukową powagą. Wziął go pod swoje szkielek semiotyk kultury Marcin Napiórkowski, próbując odpowiedzieć na pytanie, dlaczego uśmiechamy się relatywnie rzadziej od innych nacji.

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

Jeśli podobnie jak ja bywają Państwo zmęczeni próbami przeszczepiania nad Wisłę amerykańskiej kultury uśmiechu jako strategii na każdą okazję i szantażowaniem wizerunkiem Polaka-ponuraka, lektura najnowszego Tematu Tygodnika przyniesie Państwu ulgę.

Na okładce piszemy też, że Polska jest życzliwa, bynajmniej nie z przekory czy dla taniej sensacji. W naszym oszczędnym gospodarowaniu uśmiechem Napiórkowski dostrzega bowiem wypracowaną społeczną strategię, która polega na kumulowaniu serdeczności na trudniejsze chwile. Przykłady? Wrzesień ubiegłego roku przyniósł nie tylko powódź, ale też kolejną kulminację polskiej solidarności. Na okładce pisaliśmy wtedy o „ludziach większych od wody”, a ja sam, zbierając na zalanych terenach materiały do reportażu, spotykałem kolejnych, którzy uśmiechali się do siebie, choć z pewnością nie mieli po temu wielu powodów – poza takim, by uśmiechem zaznaczyć, że jesteśmy w tym znowu razem.

Przypominało mi się wtedy zdanie z jednej z książek Melchiora Wańkowicza, który pisał, że „Polacy to dziwny naród. Dobrze mi z nimi i smutno”. ©

■ ■ OBRAZ ROKU

6 Co mówi głos ludów
WOJCIECH JAGIELSKI

8-13 Komentarze, ludzie, wydarzenia

■ ■ CZYTANIA

22-23 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

24 Bitwa o środek pola
Z JAROSŁAWEM FLISEM ROZMAWIA
MAREK KĘSKRAWIEC: *Co zadecyduje
o wygranej w tegorocznych wyborach
prezydenckich?*

28 Co by było gdyby
PIOTR ŚMIŁOWICZ *kreśli alternatywną
wersję historii III RP*

31 Wielki kaliber
MAREK RABIJ: *Polska armia rośnie w siłę,
ale brakuje jej nadal amunicji*

32 Krajobraz z raną
JULIUSZ PIELICHOWSKI:
Reportaż z ziemi kłodzkiej po powodzi

35 Trudna miłość
ANNA GOC *o najnowszych zmianach
w polskiej ortografii*

■ ■ WIARA

46 Bóg u siebie
Z REZĄ ASLANEM ROZMAWIA PIOTR
SIKORA: *Religia nie jest antynaukowa*

50 Rzymski eksperyment
PIOTR DZIUBAK *o parafii,
której proboszcz jest żonaty*

54 Mecz między niebem a ziemią
ARTUR SPORNIAK: *Czy Watykan radzi
sobie z objawieniami prywatnymi?*

■ ■ ŚWIAT

62 Czarnomorski poligon
PIOTR OLEKSY *o rosyjskiej presji na
demokrację wokół Morza Czarnego*

**66 Czytelnicy „Tygodnika”
z pomocą dla Ukrainy**
WOJCIECH PIĘCIAK *o kolejnym
transporcie darów od społeczności
czytelników „TP”*

TEMAT TYGODNIKA

14 Przyszłość za jeden uśmiech

MARCIN NAPIÓRKOWSKI
pochyla się nad tajemnicą polskiego
uśmiechu i charakterem naszej
życzliwości.



■ FELIETONY ■

39 TOMASZ STAWISZYŃSKI
57 WOJCIECH BONOWICZ
108 OLGA DRENDŁA **109** PAWEŁ BRAVO
114 STANISŁAW MANCEWICZ
114 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: JOANNA RUSINEK

68 Antybohater Ameryki

MARTA ZDZIEBORSKA: *Zabójstwo
szefa United Healthcare przypominało
o problemach społecznych USA*

**70 Justin Trudeau odchodzi
do historii**

MAŁGORZATA SIDZ: *Kanadyjczycy
mają dosyć swojego premiera*

**74 Południowosudańska republika
kanistrów**

ZBIGNIEW ROKITA *o najmłodszym
państwie świata*

■ ■ HISTORIA

82 Rubikowie. Opowieść rodzinna
GRZEGORZ ŁUBCZYK *przybliża postać
wynalazcy słynnej kostki Rubika*

■ ■ NAUKA

**86 Dlaczego nie mamy latających
taksówek**

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Jak
wyobrażamy sobie rozwój technologii
i co to o nas mówi?*

90 Medycyno, ulecz siebie

ŁUKASZ KWIATEK *o sfabrykowanych
danych w publikacjach medycznych*

■ ■ KULTURA

**97 Lot nad przepińczym
gniazdem**

DARIUSZ KOŚCIŃSKI *o literackich
patronach 2025 roku*

100 Jak zbyć kochaną

MICHAŁ WALKIEWICZ: *Do czego
naprawdę przydają się nam celebryci?*

104 Zachwyt na cztery akordy

Z KRZYSZTOFEM ZALEWSKIM
ROZMAWIA MONIKA OCHEŃDOWSKA:
*Na moich koncertach chcę czarować
ludzi, by wychodzili z nich trochę inni*

107 Strumień życia

LEKTOR *o rozmowach Piotra
Kłoczowskiego z Józefem Czapskim*

■ ■ ZMYŚŁY

110 Bądź, jaka jesteś

ANITA PIOTROWSKA:
*Kate Winslet, jedna z najlepszych
aktorek naszych czasów, długo czekała
na pełne uznanie*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

NOWA PRENUMERATA...
... „TYGODNIK” PROSTO DO MOJEGO DOMU

STR. **103**

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



BURAK KABA / GETTY IMAGES

Nadzieja na pokój

SYRIA ■ Po trwającej 12 dni ofensywie syryjscy powstańcy wygrali wojnę, w której nie potrafili zwyciężyć od czasu ulicznej rewolucji, jaka podczas Arabskiej Wiosny, na początku 2011 r., wybuchła przeciw panującej od ponad pół wieku dynastii Asadów (Baszara i jego ojca Hafeza) i z czasem przerodziła się w powstanie dżihadystów. Tamtą wojnę pomógł Asadowi przetrwać sojusz z Iranem i Rosją. Tym razem Rosja, zajęta wojną w Ukrainie, a także Iran, gromiony w Strefie Gazy i Libanie przez Izrael, nie mogły obronić Asada przed wspieranymi przez Turcję partyzantami, którzy wkroczyli do Damasku i przejęli władzę.

Na zdjęciu: Aleppo, 15 grudnia 2024 r.



EA CRETA / EPA / PAP

Wojna z dala od kamer

SUDAN ■ Zagłuszona przez zajmujące uwagę świata wojny w Ukrainie i w Strefie Gazy, w Sudanie toczy się od wiosny 2023 r. wojna domowa, wywołana przez dwóch generałów z rządowego wojska, z których każdy chciałby być przywódcą w stołecznym Chartumie. Wojna podzieliła Sudan na dwie części wzdłuż Nilu (zachodni brzeg zajmują buntownicy) i grozi rozpadem państwa. Doszło w niej do wszystkich wojennych zbrodni, z masowymi gwałtami i czystkami etnicznymi, zginęło ok. 50 tys. ludzi, a jedna czwarta z 40-milionowej ludności kraju stała się uciekinierami, którzy z Czadu i Egiptu mogą chcieć przeprowadzić się w końcu do Europy.

Na zdjęciu: Omdurman, 1 listopada 2024 r.

CO MÓWI GŁOS LUDÓW

To miał być rok licznych i ważnych wyborów. I był nim, jak żaden inny.

WOJCIECH JAGIELSKI

NIGDY WCZEŚNIEJ NIE ZDARZYŁO SIĘ – i raczej nieprędko się zdarzy – aby tak wielu ludzi na świecie wybierało przywódców – prezydentów, senatorów, posłów, burmistrzów i radnych – w tym samym roku. W roku 2024 głosowały około cztery miliardy ludzi, prawie połowa ludności świata, w tym mieszkańcy ośmiu z dziesięciu najludniejszych krajów: Indii, Pakistanu, Bangladeszu, Indonezji, Brazylii, Meksyku, Stanów Zjednoczonych i Rosji.

Ale przywódców wybierano też na Madagaskarze i w pustynnej Mauretanii, w królestwach Kuwejtu i Jordanii, w himalajskim Bhutanie, w Korei Południowej (w Korei Północnej przywódców się nie wybiera: namaszcza ich panująca od 1945 r. komunistyczna dynastia Kimów – Kim Ir Sen, jego syn, Kim Dzong Il i wnuk Kim Dzon Un, obecny władca), w Mongolii i Uzbekistanie, kolebce środkowoazjatyckiej satrapii, w południowo europejskich Rumunii, Bułgarii, Macedonii i Chorwacji, w położonych na skandynawskiej północy Finlandii i Islandii, w znikających pod wodą Malediwach, Kiribati, Palau i Tuvalu oraz w Panamie, Urugwaju i Wenezueli.

W PAŃSTWACH nazywanych wyborczymi autokracjami, lecz mieniącymi się tzw. demokracjami suwerennymi – jest ich coraz więcej – nie urządziła się wyborów prezydenckich, lecz wybory prezydenta. Władimir Putin w Rosji zdobył więc prawie 90 proc. głosów, İlham Alijew w Azerbejdżanie ponad 90 proc., a Paul Kagame w Rwandzie prawie wszystkie głosy.

Ale niemal wszędzie indziej, gdzie demokracja jest po prostu demokracją i obywateli się bez przymiotników, wybory w 2024 r. kończyły się zwykłe pogromami rządzących. Rządzący przegrywali więc w zachodniej Europie, kolebce demokracji (upadły rządy w uchodzących za potęgę Wielkiej Brytanii, Francji i Niemczech, a na nowe ośrodki kontynentalnej stabilizacji i europejskie centrum wyrosły Skandynawia

i Polska, która w pierwszej połowie 2025 r. będzie pełnić przewodnictwo Unii Europejskiej), ale także w Afryce, gdzie demokracja zapuszcza dopiero korzenie.

W 2024 r. władzę straciły rządzące partie w Botswanie, Ghanie, Senegalu, Mauritiusie, a w Południowej Afryce i Namibii odniosły tak mizerne zwycięstwa, że aby utrzymać się u władzy, musiały się nią podzielić z innymi. Zwłaszcza pyrrusowe zwycięstwo Afrykańskiego Kongresu Narodowego, ugrupowania Nelsona Mandeli, w Południowej Afryce najdobitniej pokazało, że czas partii wyzwoleniczych, które wywalczyły dla Afryki wolność i niepodległość, nieodwracalnie przemija. I że młodzież, wyrosła już w nowych czasach, nie chce słuchać kombatanckich opowieści, bo nie czuje się nic winna dawnym męczennikom i bohaterom.



Donald Trump na Krajowej Konwencji Republikańskiej w Milwaukee, Wisconsin, USA, 18 lipca 2024 r.

WYGRANĄ oznaczającą konieczność podziału władzy z innymi zakończyły się też wybory w Japonii i Pakistanie. Podobny los spotkał najpopularniejszego polityka współczesności, indyjskiego premiera Narendrę Modiego, politycznego guru nowoczesnej populistycznej prawicy. Nawet w jedynej na świecie republice kleru, Iranie, uchodzącym za tyranię ajatollahów, wybory prezydenckie wygrał autsajder Masud Pezeszkian, uchodzący za „gołębia” wśród „jastrzębi” w turbanach. Także w Sri Lance wyborcy odebrali władzę wielkim rodem i politycznym dynastiom, by oddać ją politykowi, który w młodości próbował przeprowadzić na Rajskiej Wyspie ludową rewolucję. W Turcji zaś niekoronowany sułtan Recep Tayyip Erdoğan, pogromca Kaukazu, Maghrebu i Lewantu, z kretelem przegrał wybory samorządowe.

Porażką, a wręcz klęską rządzącej Partii Demokratycznej zakończyła się też elekcja w Stanach Zjednoczonych, uznawana za najważniejszą dla współczesnego świata. W jej

wyniku władza przeszła w ręce Republikanów, a 20 stycznia 2025 r. do Białego Domu wprowadzi się ponownie Donald Trump – ten najgłośniejszy z proroków politycznego populizmu, mający sprzymierzeńca w najbogatszym człowieku świata Elonie Musk.

ROK 2024 był pierwszym rokiem panowania innego polityka pozującego na trybuna ludowego: Argentynczyka Javierę Milei. Kiedy obejmował przed rokiem urząd prezydencki, powierzony mu przez zrozpaczonych nieustannymi kryzysami rodaków, przepowiadano, że jako szalbierz i szaleniec doprowadzi kraj do katastrofy. Ale po roku – choć to pewnie raczej wynik gospodarczych cyklów, a nie tylko jego zasługa – Argentyna wyszła z recesji, a jej gospodarka zaczęła się ożywiać.

Tam, gdzie mogli, obywatele odbierali więc rządzącym władzę w wyborach. Tam, gdzie nie mogli, lub gdzie wyborców beczelnie oszukano, dochodziło do ulicznych rewolucji – w Bangladeszu (udanej), w Mozambiku, w Gruzji (wciąż trwają tam niepokoje) – a do młodzieżowych buntów w Kenii, Ugandzie i Nigerii (statystyczny Afrykanin jest dwudziestolatkiem, czyli jest dwukrotnie młodszy od Europejczyka).

Jest też kraj, gdzie przewidziane kalendarzem wybory prezydenckie nie mogły się odbyć: to Ukraina, która od prawie trzech lat stawia opór rosyjskiej agresji. Czy rok 2025 przyniesie koniec tej wojny?

WSZYSTKIE TE ZMIANY świadczą jednak nie tyle o światowym triumfie demokracji i jej zaskakującej dojrzałości, co o pysze pochodzących z demokratycznego wyboru rządzących elit, a także o narastającym buncie obywateli przeciw niekompetencji i pazerności ich wybrańców.

Rok 2024, ten rekordowy rok wyborczy, był niezbitym dowodem, że nastąpiło królestwo *vox populi*, dyktatura sondaży i wszechwładza wirtualnych komunikatorów, tego bękarta XXI-wiecznej rewolucyjnej demokratyzacji obiegu informacji i dezinformacji. Ulegają jej i podporządkowują się jej prawom (usprawiedliwiając się, że po to jedynie, by je okiełznać i wykorzystać w słusznej sprawie) także ci, którzy mieniają się wrogami populizmów, i którzy w nich właśnie widzą największe zagrożenie dla wolności i obywatelskich swobód. ©



Klincz w polskich sądach

PIOTR ŚMIŁOWICZ

POD KONIEC GRUDNIA MARSZAŁEK Sejmu wystąpił z inicjatywą, aby decyzję o ważności wyborów prezydenckich podjął cały skład Sądu Najwyższego, zarówno tzw. neosędziowie, jak i sędziowie powołani przed rokiem 2018. Pomysł był skutkiem trwającego zamieszania wokół Izby Kontroli Nadzwyczajnej SN, która składa się z tzw. neosędziów, a która orzeka o ważności wyborów.

Ta sprawa najlepiej pokazuje stan wymiaru sprawiedliwości po roku rządów koalicji 15 X. Powiedzieć, że jest on zły, to mało. Właściwie są dwa wymiary sprawiedliwości: ten uznawany przez prezydenta i PiS oraz ten traktowany jako legalny przez rządzących.

Oczywiście trzeba mieć świadomość, kto za to odpowiada. To PiS postanowił zniszczyć niezależne sądownictwo i podporządkować je swoim politykom. Taki był w istocie sens zmiany trybu powoływania Krajowej Rady Sądownictwa na mocy ustawy obowiązującej od 2018 r., w wyniku której decydujące znaczenie przy tym wyborze otrzymał parlament. Zmiany te zostały potem zakwestionowane przez europejskie trybunały.

Tyle że metoda, którą przyjęli rządzący wobec problemu neosądownictwa, nie służy stabilności państwa.

Nie chodzi o to, by akceptować zmiany dokonane przez PiS. Jest oczywiste, że przy pierwszej nadarzającej się politycznie okazji należy przywrócić tryb wyboru KRS głównie przez sędziów i umożliwić nowo powołanej radzie jakąś weryfikację neosędziów. Dopóki jednak jest to niemożliwe, należałoby respektować wszystkie wyroki sędziów powołanych po 2018 r. i orzeczenia gremiów przez nich tworzonych. Przecież i tak zakwestionowanie tysięcy wyroków nie będzie nigdy możliwe.

Takie podejście miałoby prawne uzasadnienie. Choć niezgodność neo-KRS z ustawą zasadniczą wydaje się oczywista, wciąż istnieje domniemanie jej konstytucyjności, bo na gruncie polskiego prawa nie została formalnie podważona. Orzeczenia europejskich trybunałów nie mają tu bezpośredniego zastosowania.

Właśnie według takiej logiki postąpił Hołownia. Jest on jednak dopiero pierwszym politykiem rządzącej ekipy, który się na to zdobył. Reszta wciąż woli używać wymiaru sprawiedliwości jako pola wojny politycznej. Ze szkoda dla państwa i bez realnych perspektyw rozwiązania problemu, skoro nawet ważność wyborów prezydenckich, które mają być cezurą umożliwiającą realne zmiany, może zostać zakwestionowana. Szkoda. ©P

Posiedzenie Sądu Najwyższego. Warszawa, 25 kwietnia 2024 r.



Slalom Tuska

MAREK KĘSKRAWIEC

W 2024 ROK DONALD TUSK WKACZAŁ PRZYTŁOCZONY popularnością marszałka Szymona Hołowni, ale był to jeszcze czas, w którym rolę centrum walki politycznej z PiS pełnił parlament. Wczesną wiosną stało się już jasne, że lider koalicji rządzącej może być jeden – i będzie to premier.

Szefowi Polski 2050 (nawet jeśli jego projekt był lepiej przemyślany niż poprzednie, próbujące wepchnąć się w środek PO-PiS-u) przydarzył się najbardziej nieszczęśliwy pojedynek. Nie dość, że status premiera w naszym systemie ustawia piastującego to stanowisko w centrum polityki, to jeszcze Tusk jest nie tylko autentycznym liderem obozu antypisu, ale też mistrzem rozgrywek personalnych, od którego mógłby się uczyć sam Jarosław Kaczyński.

Kłopot w tym, że Tusk włożył zbyt dużo energii w coś, co nie popchnęło wozu z jego rządem do przodu. Zbyt często patrzył się na boki i do tyłu.

W efekcie kierowana przez niego maszyna nie nabrała prędkości, mimo że walkę o wyborców z dość słabymi koalicjantami można zrozumieć, podobnie jak zapatrzenie w przeszłość. Rozliczeń z Prawem i Sprawiedliwością domagała się przecież najwierniejsza część elektoratu, ale dziś nawet ona jest zawiedziona tym, jak opornie ów proces idzie i jak słabo dają sobie radę komisje sejmowe oraz prokuratura. Wyborcy mniej przywiązani do Koalicji Obywatelskiej, już nieco z boku, widzą głównie chaos prawny i karczemne awantury, i nie jest wcale powiedziane, że ich entuzjazm dla koalicji 15 X dotrwa do wyborów prezydenckich. A nawet jeśli, to po przejściu pełni władzy Tusk z Trzaskowskim będą mieli mało czasu, by udowodnić, że ich obietnice wyborcze z października 2023 r. nie były pustymi hasłami, jak nierealne od początku 60 tysięcy złotych kwoty wolnej od podatku.

Niepokojące dla KO jest tempo erozji popularności gabinetu premiera, który ma dziś więcej przeciwników niż zwolenników. Duża w tym „zasługa” obstrukcji ze strony prezydenta Dudy, który w naszym systemie politycznym ma na wyposażeniu potężny hamulec w postaci weta do ustaw i nieustannie z niego korzysta. Tyle że o tym obecna władza wiedziała od dawna, a mając w rękach media publiczne mogła w tej walce osiągnąć większy sukces wizerunkowy. Niestety, planowanie nie jest mocną stroną Tuska, to nie jest właściwie „szafa pełnych ustaw”, ale raczej mistrz improwizacji, dostosowujący działania do nastrojów społecznych. Obserwowanie tego slalomu premiera będzie najciekawszym widowiskiem nadchodzącego roku. ©P





AI: etap otrzeźwienia

ŁUKASZ LAMŻA

SZTUCZNA INTELIGENCJA TO WCIĄŻ JEDNO Z NAJGORĘTSZYCH haseł medialnych, ale – co rzadkie – kryje się za tym autentyczna rewolucja technologiczna i naukowa. Ot, tegoroczny Nobel z chemii, który przyznano za przewidywanie struktury białek przy pomocy AI. Istotny detal: jeden z trzech uhonorowanych, John M. Jumper, to 39-letni dyrektor Google DeepMind. Tego jeszcze nie było. Wszyscy zastanawiają się więc, jaka jest realna skala tej rewolucji.

O ile dziennikarze brzmią dziś zwykle jak współnicy producentów AI, to ekonomiści są sceptyczni. „The Economist” opublikował w lipcu analizę, z której wynika, że choć rynek AI przepala gigantyczne pieniądze, to inwestycje słabo się zwracają. Goldman Sachs twierdzi zaś, że te spośród największych firm świata, które powinny zgodnie z obietnicami i symulacjami skorzystać najwięcej na AI, wcale nie rosną szybciej od innych. To chłodzi inwestorów.

Są też ograniczenia technologiczne. Dzisiejsza AI opiera swoją magię na danych treningowych, tymczasem szacuje się, że zasoby tekstu stworzonego przez człowieka – które są niezastąpione – wyczerpią się już za kilka lat. Zaczyna też brakować sprzętu i prądu, a giganci AI inwestują pośpiesznie w reaktory jądrowe.

Panuje ostrożna zgoda, że – zgodnie z klasycznym modelem rozwoju technologii – okres wygórowanych obietnic już za nami i nadciąga etap otrzeźwienia. Co dalej? Opcja pierwsza: w 2025 r. dojdzie do autentycznej nowej rewolucji w „bebeczach” AI, na co są zresztą perspektywy. Opcja druga: postęp stanie się liniowy, a nowe produkty AI będą już budzić mniej więcej takie emocje, co nowe iPhone’y. A co na pewno się wydarzy? To drugie przebrane za to pierwsze. ©



Nie ma klimatu dla klimatu

PAWEŁ BRAVO

BEZPIECZEŃSTWO TO DLA Warszawy główny temat rozpoczynającego się właśnie półroczna prezydentury w UE. Rola „uczciwego pośrednika”, jak to określają traktaty, oznacza poszukiwanie obszarów jak najszerszych, legendarnie zginiłych kompromisów, ale zostawia margines swobody w wyborze najważniejszych celów. Bezpieczeństwo w tym kontekście to zarówno większa samodzielność militarna, jak też wsparcie Ukrainy wobec spodziewanej zmiany nastawienia USA oraz kontrola granic (a więc gorący kartofel migracji). Pozostaje jeszcze długofalowy problem, co począć wobec dążeń proeuropejskich Kijowa. 27 krajów dzieli się tu na różne grupy o sprzecznych interesach (a w tle jest równoległa struktura NATO). Efekt projektów inicjowanych przez Warszawę będzie zatem mocno niepewny.

Z większą dozą pewności można przewidzieć dalsze hamowanie co bardziej ambitnych zamierzeń związanych z klimatem i redukcją emisji. W zeszłym roku z inicjatywy Europejskiej Partii

Ludowej (do której należą PO i PSL) rozmontowano kluczowe elementy tzw. Zielonego Ładu dotyczące rolnictwa, odsunięto też w czasie np. przepisy chroniące przed wylesianiem. W lutym Komisja ma przedstawić założenia nowego „Ładu dla czystego przemysłu”, gdzie wiele dotychczasowych „zielonych” celów zostanie przepakowanych w strategię wspierającą biznes – to dotyczy np. kulejącej w Europie elektromobilności (miesiąc temu splajtował szwedzki producent baterii do samochodów elektrycznych, który miał podjąć wyzwanie konkurencji z Chinami). Jednak wyznaczonego na 2035 rok zakazu sprzedaży nowych samochodów spalinowych raczej nie uda się podważyć. Należy się też spodziewać, że Polska wykorzysta swoją pozycję, by wzmocnić głosy wielu krajów domagających się odłożenia w czasie tzw. ETS2, czyli systemu handlu emisjami w transporcie i ogrzewaniu, który w obecnej wersji grozi skokowym wzrostem cen, tym razem nie dla przemysłu, ale bezpośrednio dla ludności. ©P



Synodalność i jej konsekwencje

EDWARD AUGUSTYN

ZAKOŃCZONY W PAŹDZIERNIKU synod o synodalności nie przyniósł rewolucji.

Uczestnicy sesji plenarnej nie podjęli żadnych ważnych decyzji. Zbierane po całym świecie postulatory i propozycje zmian nie doczekały się realizacji, a te najbardziej radykalne zostały wyłączone z dyskusji. Obrady przybrały formę rekolekcji, połączonych z warsztatami: zebrani w Watykanie biskupi i świeccy, za-

miast reformować Kościół, mieli wpięć zmienić siebie.

Co nie znaczy, że najważniejsze wydarzenie minionego roku w Kościele skończyło się niczym. Wszyscy – dzięki niemu – wiedzą, na czym polega synodalność, choć trzy lata temu, gdy proces ruszał, było to pojęcie nieznane lub niejasne. Wiedzą, że nie chodzi w niej o demokratyzację Kościoła czy podejmowanie decyzji większością głosów, ale o słucha-

nie – cierpliwe, nieocenające, otwarte na każdego. Że głos ludzi świeckich liczy się tak samo jak biskupów i kardynałów. Że nie chodzi o to, by przekonać innych do swej racji czy osiągnąć konsensus, ale by się spotkać i usłyszeć. Że decyzje, podejmowane przez kościelną władzę, muszą być poprzedzone „rozmową w Duchu” i rozeznanie. Kto zna realia Kościoła, choćby polskiego, wie, że to wcale nie mało.

Synodalność nie jest już utożsamiana z frakcją rewolucyjną czy ukrytą opcją niemiecką. Co zwiększa szansę, że się przyjmie. A przecież nie straciła reformatorskiej siły. Uważne wysłuchanie drugiego człowieka nigdy nie pozostaje bez konsekwencji. Wyjście z własnej kościelnej bańki zawsze jest obarczone ryzykiem. Synodalności, która polega na zmianie postaw i mentalności, nie da się łatwo zatrzymać. Przetrwą dłużej niż Franciszkowy pontyfikat. A Kościół synodalny nie będzie ani bardziej liberalny, ani konserwatywny. Będzie różny w różnych miejscach, jak różni są ludzie, którzy go tworzą. ©P



VALENTYN OGIRENKO / REUTERS / FORUM

Kolędnik w ośrodku rehabilitacyjnym dla rannych w Kijowie, 25 grudnia 2024 r. Wertep, połączenie kolędowania z jasełkami, to tradycja popularna na Ukrainie.

Raczej eskalacja niż deeskalacja

WOJNA W EUROPIE ■ Ukraina wciąż się broni: ta informacja powinna być na liście najważniejszych wydarzeń podsumowujących rok 2024. Wprawdzie Rosjanie czynią postępy, ale główna linia frontu wciąż przebiega w Donbasie. Ukraińcy mają coraz większe problemy, by ich powstrzymać, jednak obrona daleka jest od załamania. Odchodząca administracja Bidena zadbała, by przynajmniej do wiosny 2025 r. siłom ukraińskim starczyło amunicji. Kluczowym pytaniem jest jednak, co potem.

Wynik wojny zależy od trzech czynników. Po pierwsze i najważniejsze: od tego, jaka będzie polityka Trumpa. Na razie sygnały wysyłane przez prezydenta elekta i jego ludzi układają się w mało konkretny plan. Zakłada on, że uda się przekonać Moskwę i Kijów do rozejmu za cenę oddania Rosji tych ukraińskich terytoriów, które dziś kontroluje, a także za obietnicę nieprzyjmowania Ukrainy do NATO. Waszyngton może zatem dążyć do takiego kompromisu, który – w jego rozumieniu – dalby obu stronom możliwość wyjścia z wojny z zachowaniem twarzy.

Czynnik drugi, równie ważny, to zdolność Rosji do kontynuowania agresji. Kreml nie po to zaczął tę wojnę, by jedynie anektować ukraińskie ziemie, które obecnie okupuje. To bodaj główny punkt, w którym przynajmniej część Zachodu myli się co do

oceny rosyjskich intencji. Niezmiennym celem Putina jest bowiem kontrola polityczna nad całą Ukrainą i przebudowa systemu bezpieczeństwa europejskiego tak, by Rosja stała się jego ważnym „akcjonariuszem” – ze wszystkim tego negatywnymi skutkami dla całego naszego regionu.

Czynnik trzeci to zdolność Ukrainy do obrony. Ta będzie niemożliwa bez dalszego wsparcia militarnego i finansowego z Zachodu. Kijów wysyła do Trumpa sygnały, iż byłby w stanie milcząco pogodzić się z tym, iż Rosja kontroluje większość Donbasu oraz część obwodów chersońskiego i zaporoskiego – i że jest gotów przystać na rozejm zgodnie z obecną linią frontu. Jednak zarówno władze (w tym prezydent Zełenski), jak społeczeństwo ukraińskie – choć wyniszczone trzema latami wojny – odrzucają możliwość kapitulacji.

Z tak zrekonstruowanych pozycji trzech stron (Ukraina, Rosja, Zachód) wynika, że po objęciu urzędu przez Trumpa z inicjatywy USA dojdzie do próby rozmów, te jednak najpewniej skończą się fiaskiem. To zaś sprawi, iż wojna może wejść w nowy etap eskalacji. Otwarte jest pytanie, co wtedy zrobi Trump. Trudno sobie wyobrazić, że zechce oddać Ukrainę w ręce Putina. Tak czy inaczej, przyszły prezydent USA z pewnością będzie chciał przesunąć więcej kosztów wspierania Ukrainy na Europejczyków. Kraje Europy, w tym Polska, staną przed wyzwaniem, do którego wciąż nie są gotowe.

Jednego możemy być pewni: w roku 2025 ta wojna pozostanie kluczowym procesem wpływającym na Europę.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Nierówności w Polsce, czyli kto się zajmie Biedańskiem

POLITYKA SPOŁECZNA ■ Tysiąc dwieście dwadzieścia dziewięć złotych, tyle miesięcznie wyniesie od 1 stycznia zasiłek stały, czyli podstawowe świadczenie pomocy społecznej. Będzie przysługiwać (wraz z innymi formami wsparcia) osobom, których dochód nie przekracza 1010 zł w gospodarstwie jednoosobowym, a 823 zł w rodzinie. Wzrosty progów dochodowych (o co najmniej 30 proc.) i samych zasiłków nie są wyrazem szczególnej hojności państwa, a efektem ustawowego wymogu waloryzacji. Gdyby nie tegoroczne urealnienie, mało komu przysługiwałoby wsparcie z pomocy społecznej.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Weekend Cudów Szlachetnej Paczki, Myślenice, grudzień 2024 r.

A że osób wymagających takiej interwencji jest coraz więcej, pokazał AD 2024 – rok m.in. dwóch głośnych raportów na temat biedy (oba zbierają dane GUS za rok 2023). Najpierw dzięki Poverty Watch, a później Szlachetnej Paczce dowiedzieliśmy się, że wśród nas żyje aż 2,5 miliona skrajnie ubogich osób – to zagrożeni także głodem mieszkańcy fikcyjnego (nazwa z raportu Szlachetnej Paczki) Biedańska, miasta znacznie liczniejszego niż Warszawa, w granicach którego mieszkałoby ponad pół miliona dzieci.

Nawet jeśli dane z 2025 r. okażą się łaskawsze z przyczyn ekonomicznych (wyhamowanie inflacji), nowy rząd musi wymyślić politykę społeczną na nowo. Stare narzędzia wsparcia, jak 800 plus, uległy dewaluacji, a nowych brak. Podniesienie progów uprawniających do zasiłków i samych (zresztą nie wszystkich) świadczeń to za mało. Zmianie musi ulec m.in. sposób przyznawania i naliczania zasiłków, co zresztą zapowiada rząd. Rok 2025 ma też być czasem innych ważnych społecznie projektów, choćby wprowadzenia asystencji osobistej dla osób z najcięższymi niepełnosprawnościami. Jeśli te plany nie wypadną, a rządzący poprzestaną na kosmetyce, Polska – kraj ponoć coraz bogatszy i silniejszy – będzie się też stawała miejscem coraz mniej znośnym dla najsłabszych. ©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Sprawa Pelicot, czyli lekcje z francuskiego „procesu roku”

FRANCJA ■ Sprawę masowych gwałtów popełnianych na Gisèle Pelicot w miasteczku Mazan na południu Francji można określić jako monstrualną. W podwójnym sensie – i skali przestępstw seksualnych, trwających przez całą dekadę 2011-2020, i szczególnej perwersji głównego sprawcy, Dominique’a Pelicota.

Nie tylko gwałcił własną żonę, ale także nakłaniał do tego dziesiątki obcych mężczyzn. Kobiętę odurzał wcześniej środkami uspokajającymi, aby nie była świadoma tego, co się z nią działo. W dodatku mężczyzna filmował wszystkie te – odbywające się w domu Pelicotów – gwałty, co w efekcie naprowadziło na trop organy ścigania.

Sprawa wstrząsnęła opinią publiczną nie tylko we Fran-



Gisèle Pelicot przed sądem po procesie jej byłego męża Dominique’a Pelicota. Awinion, 13 grudnia 2024 r.

cji. Po trwającym cztery miesiące procesie, 19 grudnia 2024 r. sąd w Awinionie skazał Dominique’a Pelicota na maksymalną możliwą tu karę: 20 lat więzienia. Za winnych gwałtu, próby gwałtu lub napaści seksualnej uznano pozostałych 50 oskarżonych, wymierzając im kary od 3 do 15 lat więzienia (na ogół bezwzględnego, tylko w dwóch wypadkach w zawieszeniu). Części skazanych nakazano też leczenie psychiatryczne.

Jak mogło dojść do tych okropności? Francuskie media podkreślają, że sprawcy nie przypominają wcale potworów: reprezentują najrozmaitsze zawody (od ogrodnika przez kierowcę po informatyka) i pełny przekrój wiekowy – od 26 do 73 lat (w momencie zdarzeń). Uderza fakt, że wielu gwałcieli doświadczało w przeszłości przemocy lub było wykorzystywanych seksualnie. Stąd sprawa Gisèle Pelicot wywołuje szerszą debatę: o konieczności

zzerwania z tym, co media francuskie nazywają zadawnioną „kulturą gwałtu”, także w środowisku rodzinnym.

Drugą lekcją z mrocznego procesu jest nad Sekwaną spór prawny: niektórzy proponują, by wprowadzić nową definicję gwałtu, mocniej niż do tej pory chroniącą jego ofiary. Miałaby zawierać wprost zapis o świadomej zgodzie na stosunek seksualny.

Najistotniejsza może jest postawa w trakcie procesu samej Gisèle Pelicot, dziś 72-letniej. Dzięki swojej odwadze i godności stała się twarzą walki z przemocą seksualną. Nie tylko dla organizacji feministycznych i dla wszystkich niemal mediów we Francji – od prawicy do lewicy – ale i dla tysięcy zwykłych kobiet.

Jej przykład może dodać śmiałości innym ofiarom przestępstw seksualnych. Jeśli tak się stanie, to awinioński proces pozostawi po sobie trwałe ślady. Jak wcześniej ruch #MeToo, sprawa Pelicot może stać się punktem zwrotnym, po którym nic nie będzie już takie jak przedtem.

© SZYMON ŁUCYK z Paryża

Zatruta studnia Elona Muska

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE ■ Zgnilizna mózgu (*brain rot*) – to określenie Oxford University Press uznał za słowo 2024 r. Oznacza pogorszenie stanu psychicznego lub intelektualnego wskutek nadmiernej konsumpcji głupot z internetu. I doskonale odzwierciedla, co się działo w sieci.

X, od dawna oskarżany o swobodne podejście do zwalczania dezinformacji i mowy nienawiści, w mijającym roku zmienił się w spływający nienawiścią i kłamstwami ściek. Znacząco przyczynił się do tego Elon Musk, jego właściciel, który promował partie skrajnie prawicowe m.in. w Wielkiej Brytanii czy Niemczech, obrażał komisarzy UE domagających się od niego przestrzegania prawa, a premiera Kanady porównywał do Hitlera. Podczas kampanii prezydenckiej w USA X stał się tubą Trumpa i w zasadzie głównym narzędziem manipulacji. Według

NGO Center For Countering Digital Hate kłamstwa rozpowszechniane tylko przez samego Muska zebrały 2 mld odsłon.

Sąd Najwyższy Brazylii, gdy Musk odmówił zdjęcia kont rozprzestrzeniających dezinformację, czasowo zbanował platformę. Wielu uznało to za krok zbyt radykalny, ale o tym, co się dzieje, gdy takie kroki nie są podejmowane, przekonali się Rumuni – tam Sąd Konstytucyjny musiał anulować pierwszą turę wyborów uznając, że cały proces zmanipulowali Rosjanie za sprawą przeprowadzonej na ogromną skalę kampanii w sieci.

Czy można „gniecie mózgu” jakoś zatrzymać? Australia pracuje nad wprowadzeniem w życie zakazu dostępu do mediów społecznościowych dla nieletnich, a Kalifornia kończy prace nad przepisami, które zmuszą platformy do wyświetlania ostrzeżeń o szkodli-

wości, podobne do tych, jakie są na papierosach – przy zakładaniu konta, a później co najmniej raz w tygodniu przez 90 sekund.

Rozwiązań szukają też sami użytkownicy, zmęczeni papką z hejtu, propagandy i treści generowanych przez AI. Według danych platformy analitycznej SOAX po raz pierwszy od 12 lat średni czas w mediach społecznościowych zaczął spadać (ze 151 do 143 minuty dziennie).

Jednocześnie coraz większą popularnością zaczynają się cieszyć serwisy takie jak Bluesky, które obiecują nową jakość internetowej dyskusji, w której sami użytkownicy będą decydować o tym, na co się godzą, a co przekracza ich granice. Tymczasem X traci – w ciągu dwóch lat, odłąk przejął go Musk, odeszło 32 mln użytkowników, a za nimi odejdą reklamodawcy, bo – jak wynika z globalnego badania Kantar – ponad jedna czwarta firm, które jeszcze się tam reklamują, planuje ograniczyć takie wydatki.

© AGATA KAŻMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



Nieplemienna

POLITYKA ■ W ostatnim roku złamała wszystkie tabu swojego środowiska. W tym to największe: wyszła poza bańkę. Paulina Matysiak pokazała, że politycy lewicy nie muszą zamykać się w gronie zawsze zgadzających się ze sobą gadających głów, bezpiecznych tematów i przytulnych murów warszawskich kawiarni. Wypromowała tematy transportu publicznego, inwestycji rozwojowych, a także patrzenia na ręce rządzącym wszystkich opcji i szefom publicznych spółek – niezależnie od tego, czy obsadzają je „tamci” czy „nasi”.

Posłance Matysiak udaje się nagłaśniać sprawy ważne dla całej Polski, a nie tylko kilku największych metropolii. Powszechnie kojarzy się więc z tematem Centralnego Portu Komunikacyjnego, wsparciem dla kolei (nie tylko tych szybkich), obroną cywilną i rodzinnym Kutnem.

Lubią ją dziennikarze i polityczni przeciwnicy. Czasami można odnieść wrażenie, że bardziej niż koleżanki i koledzy z jej własnej partii.

© JAKUB DYMEK

Diagnosta

KOŚCIÓŁ ■ Jest autorem najważniejszej książki o polskim Kościele minionego roku, a być może obecnej dekady. „Pastwisko” Ignacego Dudkiewicza na 800 stronach precyzyjnie diagnozuje stan kościelnych chorób. Ale mimo ujawnianej wstrząsającej wiedzy, książka niesie nadzieję. „Jeśli gdzieś jest potencjał na zmianę, to we współpracy, w słuchaniu siebie nawzajem, w dopuszczaniu do dyskusji głosów, które dotąd były uciszane” – zauważa autor.

Współbrzmi to z wnioskiem z tegorocznej końcowej odsłony synodu o synodalności („Pastwisko” ukazało się wcześniej). Zresztą sama książka jest potwierdzeniem skuteczności takiego podejścia: Dudkiewiczowi udaje się nakreślić tak wnikliwy obraz Kościoła dzięki rozmowom z kilkudziesięcioma osobami.

33-letni Ignacy Dudkiewicz jest bioetykiem, publicystą i działaczem społecznym. Jest redaktorem naczelnym Magazynu „Kontakt”, który przedstawia się jako jedyne w Polsce czasopismo „lewicy katolickiej”.

© ARTUR SPORNIAK

Podkaster

PUBLICYSTYKA ■ Nie wypada historykowi zajmować się czasami zupełnie współczesnymi – napisał kiedyś Andrzej Garlicki, i całe szczęście, że prof. Antoni Dudek, formalnie politolog, nie przestrzega tej zasady. A także – że jako narzędzi używa nie tylko tradycyjnych form, książki i artykułu, ale jest gospodarzem dwóch podkastów – jako „Dudek o historii” prześwieta wydarzenia z dziejów najnowszych, jako „Dudek o polityce” przygląda się (wspólnie z dziennikarzem Arturem Jarząbkim) wydarzeniom minionego tygodnia.

Opowieści Dudka łączą merytoryczność z ostrymi, nieraz wręcz jadowitymi ocenami postępowania bohaterów najbliższej i nieco dalszej historii. Efekt: setki tysięcy słuchaczy. Wartość dodana: antyteza „clickbaitoży” większości portali, które każdą wypowiedź propagandy Putina podbijają „straszącym” nagłówkiem, nie zawracając sobie głowy kontekstem ani interpretacją.

Tymczasem Dudek, by nawiązać do klasyczki, pomaga rozumieć – po to, aby się nie bać. © MACIEJ MÜLLER

Marzycielka

FILM ■ Kiedy światowe media rozpisywały się na temat serialu „Reniferek”, głośno było przede wszystkim o scenarzyście i odtwórcy głównej roli. Ostatecznie Richard Gadd odebrał dwie statuetki Emmy, choć do najważniejszych amerykańskich nagród przyznawanych produkcjom telewizyjnym nominowana była również reżyserka, Weronika Tofiliska.

Urodzona w połowie lat 80. należy do pokolenia wychowanego w wypożyczalniach VHS. Dlatego kino, które robi – wcześniej w Katowicach, dziś w Londynie – jest fantazją na temat Ameryki, którą znamy z dużego ekranu.

Akcja thrillera „Love Lies Bleeding” napisanego z Rose Glass (nominacja do nagrody za najlepszy brytyjski film niezależny i scenariusz oryginalny) rozgrywa się w 1989 r. To czas początku polskiej transformacji, choć z pozoru film nie ma z nią nic wspólnego. To kolorowa wariacja na temat marzeń Thelmy i Louise, z nominowaną do Oscara Kristen Stewart w roli głównej. Obecnie Tofiliska pracuje nad pełnometrażowym debiutem reżyserskim – z pewnością nie przejdzie on bez echa.

© MONIKA OCHEŃDOWSKA

STYCZEŃ

107 minut miał minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz na odwołanie członków zarządów i rad nadzorczych TVP, Polskiego Radia i PAP, zwołanie nowych rad, a następnie udanie się do kancelarii notarialnej i sporządzenie aktów notarialnych z ich posiedzeń – wynika z analizy dat na dokumentach i obliczeń posłów PiS. W równie szybkim tempie Sienkiewicz przeprowadził się z ministerstwa do europarlamentu, a okupujący jedną z siedzib TVP jej byli pracownicy – do telewizji w Polsce i Republici.

LUTY

E-mail nieistniejącej osoby, fanpejdż z kupionymi lajkami i absurdalny pomysł wystarczył, by – na skutek prowokacji „Dziennika Gazety Prawnej” – 16 posłów napisało interpelację w sprawie wpisania na listę leków weterynaryjnych nieistniejącego preparatu dla psów rasy shiba inu.



KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

MARZEC

Zbigniew Ziobro opublikował w mediach społecznościowych fotografię z łóżka szpitalnego, a wcześniej informacje o operacji usunięcia złośliwego nowotwora przełyku i części żołądka oraz chemioterapii. O stanie polskiej debaty publicznej wiele mówi fakt, że nie wszystkich to przekonało; sceptyczna publicystka Eliza Michalik powiedziała, że przeprosi byłego ministra za podejrzenia, kiedy ten umrze.

KWIECIEŃ

„O Grzegorz Braun, o Grzegorz Braun, kto zgasić świecę tak będzie umiał”: grupa rozweselonych posłów zaśpiewała podczas głośnej imprezy w hotelu sejmowym przeróbkę dawnego przeboju zespołu Myslovitz. Impreza (z udziałem m.in. posłów PiS) miała miejsce w rocznicę katastrofy smoleńskiej.



GIUSEPPE MAFFIAW / IMAGO / EAST NEWS

MAJ

Najlepsza polska tenisistka Iga Świątek pokonała Białorusinkę Arynę Sabalenkę w finale rzymskiego turnieju WTA 1000, a upojony jej sukcesem Donald Tusk napisał na portalu X: „Iga. Tenisowa Tarcza Wschód”, nawiązując do propagandowej nazwy „Narodowego Planu Obrony i Odstraszenia”, który ma zwiększyć bezpieczeństwo wschodniej granicy. Dalsza część roku nie była równie udana i dla tenisistki, i dla polityka.

CZERWIEC

Rada Krajowa Partii Razem pracowała w niedzielę. Nie podjęła decyzji o wystąpieniu z klubu parlamentarnego Nowej Lewicy, ale wezwała zarząd do podjęcia rozmów na ten temat, bo – zdaniem członka prezydium Jakuba Niewiadomskiego – „dalsze funkcjonowanie tak, jak to było do tej pory, nie ma większego sensu”. Sprawa ciągnęła się do października i zakończyła podziałem w partii.

LIPIEC

„Świat bez nieba, narodów i religii. To jest wizja komunizmu, niestety” – powiedział dziennikarz sportowy TVP Przemysław Babiarz o „Imagine” Lennona, wykonanym podczas ceremonii otwarcia igrzysk w Paryżu i to wystarczyło, by zawiesić go w obowiązkach. Zdaniem władz stacji komentator naruszył standardy „wzajemnego zrozumienia, tolerancji i pojednania”; po burzy medialnej i wsparciu redakcyjnych kolegów został odwieszony jeszcze w trakcie igrzysk.

SIERPIEŃ

„W tej chwili, w tym czasie wojennym, wydaje nam się, że kobieta nie miałaby wielkich szans” – powiedział w Radiu Maryja Jarosław Kaczyński o przyszłym kandydacie jego partii na prezydenta. „Musi być młody, wysoki, okazały, przystojny” – dodał. W listopadzie wyjaśniło się, że cechy te posiada prezes IPN Karol Nawrocki.

WRZESIEŃ



ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS

„Prognozy nie są przesadnie alarmujące” – powiedział Donald Tusk na kilkadziesiąt godzin przed tym, jak południowo-zachodnią Polskę spustoszyła gwałtowna powódź. Nadrobiąc wizerunkową wpadkę, premier w kolejnych dniach lał urzędników podczas otwartych dla mediów spotkań sztabu kryzysowego. Później temat zniknął z mainstreamowych mediów.

PAŹDZIERNIK

Minister Radosław Sikorski pogratulował Adamowi Glapińskiemu podwyżki (prezes NBP zarabia od tej pory 122 tys. zł miesięcznie), ujawniając przy okazji wysokość własnej pensji: państwo polskie płaci szefowi MSZ... 10 064 zł.

LISTOPAD

Podczas samochodowej przejażdżki po Warszawie Antoni Macierewicz rozmawiał przez telefon, wyprzedzał na pasach, najechał na podwójną ciągłą i wjechał na buspas. „Fakt”, który przeanalizował szarżę posła, wylicza, że suma jego przewinień wystarcza do odebrania mu prawa jazdy. O „ciężarówce akt”, wystarczającej do postawienia zarzutów b. szefowi MON w poważniejszych sprawach, mówił min. Adam Bodnar.



WOJCIECH OLKUŚ / EAST NEWS

GRUDZIEŃ

Prokuratura Krajowa wystawiła list gończy za b. wiceministrem sprawiedliwości i posłem PiS Marcinem Romanowskim. Wcześniej sąd zdecydował, że Romanowski ma trafić na trzy miesiące do aresztu w związku z nieprawidłowościami w Funduszu Sprawiedliwości – na razie nie trafi, bo otrzymał azyl polityczny na Węgrzech.

PRZYSZŁOŚĆ ZA JEDEN UŚMIECH

Prawdziwe wyzwanie na ten rok? Możemy albo podzielić się na uśmiechniętych i zgorzkniałych, albo połączyć kraj uśmiechem życzliwości. Takim, który pojawia się także wtedy, gdy jest źle. I który nie ma politycznych barw. Są na to badania.

TEKST **MARCIN NAPIÓRKOWSKI** | ILUSTRACJE **JOANNA RUSINEK**



MIAŁA BYĆ UŚMIECHNIĘTA POLSKA, a mamy cyniczny uśmiech Tuska” – mówił Mateusz Morawiecki, swego następcę w fotelu premiera porównując do Jokera. „Miała być uśmiechnięta Polska, dzisiaj »pieniędzy nie ma i nie będzie« staje się tym głównym hasłem” – wtórowała mu Marlena Małag, była minister rodziny. „Uśmiechnięta Polska przestanie się uśmiechać, gdy będzie dostawała coraz wyższe rachunki” – przestrzegał z kolei Daniel Obajtek. Od pewnego czasu nieprzychylnie nowej władzy media odmieniają „uśmiech” przez wszystkie formy gramatyczne, a browar należący do Sławomira Mentzena, prezydenckiego kandydata Konfederacji, oferuje nawet piwo „Uśmiechnięta Polska”.

Jak do tego doszło, że słowo „uśmiechnięty” stało się w polskiej polityce najgorszą obelgą? W ciągu ostatnich lat uśmiech w debacie publicznej zaczął być utożsamiany z fałszywym samozadowoleniem, z pogardą dla tych, którym widzie się gorzej, z elitaryzmem i oderwaniem od życia. Zamiast z radością i spontanicznością, uśmiech coraz częściej kojarzy nam się z przymusem – obcą kulturą nieszczerzego manifestowania, że wszystko jest dobrze nawet wtedy, gdy cierpimy („Połączenie kremowej pianki i oryginalnych nut ryżowego lagera sprawia, że uśmiechniesz się z chęci, a nie przymusu” – czytamy na stronie Browaru Mentzen).

Przez dekady uśmiech był w polskiej kulturze narzędziem oporu i solidarności – bronią słabych przeciw silnym. Dziś w zbiorowej wyobraźni dużej części społeczeństwa stał się narzędziem dominacji i ustanawiania hierarchii – bronią silnych wymierzoną w najsłabszych. Stało się tak nie bez przyczyny.

Wiele z podnoszonych w przestrzeni publicznej zarzutów celnie diagnozuje błędy popełniane od lat przez niektórych biznesmenów, ludzi mediów i polityków. „Uśmiechajmy się, bo przecież jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej!” – można by streścić ich filozofię uśmiechu. Dzieńdźce fortun deklarują na łamach kolorowej prasy, że wystarczy tylko szerzej się uśmiechać, wcześniej wstawać i codziennie oszczędzać kilkaset złotych. Politycy, których nic nie nauczyło osiem lat spędzonych w opozycji, w miejsce uświęconych tradycji proponują nowe wersje niesławnego orla z czekolady. A Ryszard

Petru zatrudniający się na jeden dzień na kasie w dyskoncie, żeby udowodnić, że praca w Wigilię to nic strasznego, to po prostu współczesne „nie ma chleba – jedzcie ciastka”. Taki brak empatii nigdy nie kończy się dobrze...

Czy oburzenie na uśmiech ma charakter trwały? Czy występując przeciw elitaryzmowi, niedostrzeganiu problemów i naiwnej polityce radości, musimy teraz stać się narodem zgorzkniałych ponuraków?

A może uśmiech da się jeszcze odzyskać? Może istnieje jakiś inny jego rodzaj, który zamiast dzielić i wykluczać, mógłby nas naprawdę łączyć?

Taki uśmiech istnieje. I w dodatku jest czymś bardzo polskim. Na otwarcie nowego roku chciałbym Państwa zabrać w pełną niespodzianek podróż w poszukiwaniu jego sekretu. Zaczniemy w PKP.

Wsiąść do pociągu bardzo polskiego

Wsiadłem w Niemczech, ale pociąg zaczynał bieg jakoś wcześniej, chyba za kolejną zachodnią granicą. Za oknem późna zima. Pola pokryte śniegiem, ale już takim niezbyt świeżym. W środku też robiło się coraz bardziej ponuro. Im bliżej naszej granicy, tym wyraźniej wśród pasażerów dominowali Polacy. Uśmiech surowo wzbронiony. Jeśli nawet jakiś Holender, Niemiec czy, nie daj Boże, zbłąkany wędrowiec z południa kontynentu próbował ocieplić atmosferę, nasze burkliwe „dzień dobry” szybko ścierało mu niestosowny uśmiech z twarzy. I tak się ta podróż toczyła – w nieufnym milczeniu, przy miarowym stukocie kół.

Jasne, że odrobinę przerysowuję, ale tak właśnie to zapamiętałem. Szczególnie w kontraście z tym, co wydarzyło się później. Bo w pewnym momencie, krótko po przekroczeniu polskiej granicy, skład uległ awarii. Utknęliśmy w szczerym polu. Ogrzewanie przestało działać. Mentalnie zrobiło się zimno.

Przez pierwszych kilkanaście minut ciśnienie jeszcze rosło. Stresowaliśmy się wszyscy: że nie zdążymy, że nam uciekną połączenia, że przegapimy ważne spotkania. Kiedy jednak okazało się, że nasze plany nieodwołalnie wzięły w łeb, balonik pękł, a w Polakach, którzy w tym momencie stanowili wyraźną większość pasażerów, zaszła nagle przemiana.

Konduktor zamiast robotycznym tonem pytać o bilety, roznosił wrzątek na herbatę i pytał, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. W miejsce zgryźliwych komentarzy witały go życzliwe zapewnienia, że damy radę. W obieg poszły termosy (i nie tylko termosy, przyznam). Ktoś pożyczył gorzej przygotowanemu sąsiadowi polar. Ktoś inny – śpiwór.

Zacząły się ożywione rozmowy o tym, co wcześniej nikogo nie interesowało. Kiedy po dobrych kilku godzinach skład ruszył, wszyscy już znali się po imieniu, wiedzieli, kto skąd wraca, dokąd jedzie, ile czeka na niego dzieci lub wnuków. Po korytarzach pociągu niosły się śpiewy i dźwięki gitary. A co najdziwniejsze, wszyscy byli szeroko uśmiechnięci. Nie dlatego, że było dobrze, ale właśnie dlatego, że wspólnie było nam tak źle.

Nie była to ani pierwsza, ani ostatnia taka sytuacja w moim życiu. Kolejowy kryzys był jednak o tyle ciekawy, że mogłem obserwować reakcje obcokrajowców na tę przedziwną przemianę Polaków. Sądzę, że to właśnie w tych chwilach – w największym tłoku, w walce z powodzią, w momencie, gdy naszemu sąsiadowi dzieje się krzywda – pojawia się u nas ten drugi uśmiech: uśmiech życzliwości. Uśmiech, który sankcjonuje *status quo*, nie wymusza zadowolenia z tego, co mamy, ani nawet naiwnego optymizmu. Życzliwy uśmiech, który nie ignoruje wstydliwie tych, którym się widzie gorzej, lecz przeciwnie – zwraca się zapraszająco ku niedoli bliźniego.

Smile in polish

Zaczniemy od fundamentalnego pytania: czy naprawdę Polacy uśmiechają się mniej niż przedstawiciele innych nacji? To szeroko rozpowszechniony stereotyp, ale czy prawdziwy? Otóż, niestety – prawdziwy. A przynajmniej w pewnej mierze...

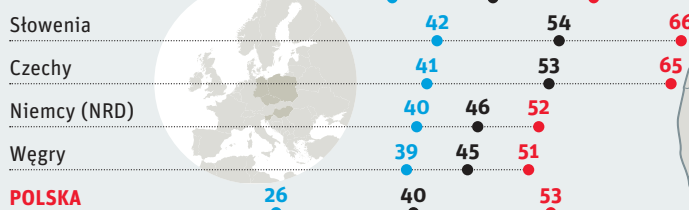
Potwierdza to badanie przeprowadzone w 2010 r. przez Piotra Szarotę – psychologa z PAN, badacza uśmiechu i autora książek na ten temat. W oparciu o analizę 2000 fotografii z 10 krajów Szarota i jego współpracownicy stworzyli ranking najczęściej uśmiechających się narodów. Zdjęcia wrzucone do sieci przez samych użytkowników są o tyle cennym materiałem, że mówią nam nie tylko o tym, jaka jest faktyczna mimika ludzi, lecz również o tym, jak chcieliby być postrzegani.

PROCENT UŚMIECHÓW NA ZDJĘCIACH UMIESZCZONYCH W INTERNECIE

● mężczyźni ● średnia ● kobiety

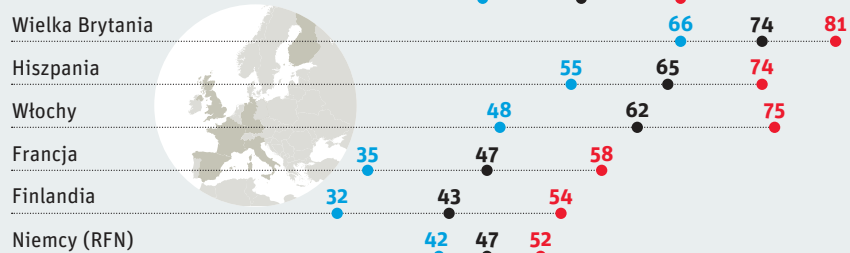
Mieszkańcy dawnego bloku wschodniego:

REGION OGÓŁEM



Mieszkańcy dawnego bloku zachodniego:

REGION OGÓŁEM



NA PODSTAWIE: P. SZAROTA (2010). THE MYSTERY OF THE EUROPEAN SMILE: A COMPARISON BASED ON INDIVIDUAL PHOTOGRAPHS PROVIDED BY INTERNET USERS. JOURNAL OF NONVERBAL BEHAVIOR, 34

→ Co się okazuje? Jak widać na załączonej powyżej infografice stworzonej na podstawie artykułu Szaroty, kobiety w każdym kraju uśmiechały się wyraźnie częściej niż mężczyźni. Poza tym 20 lat po upadku muru berlińskiego wciąż widać było spore różnice między mieszkańcami bloku wschodniego i bloku zachodniego – choć poziom uśmiechu w Niemczech w zasadzie się wyrównał, a Finowie poważnie zaniżali statystyki Zachodu. Dla nas najistotniejsze jest to, że wśród przedstawicieli wszystkich krajów najrzadziej uśmiechali się mieszkańcy Polski, a w ponuractwie nasi mężczyźni wręcz deklasowali konkurencję.

Uśmiech ma więc narodowość i płeć. Polscy mężczyźni uśmiechali się aż trzykrotnie rzadziej niż najbardziej roześmiane w całej stawce Brytyjki, Włoszki czy Hiszpanki.

A zatem na jedno pytanie znamy już odpowiedź. Natychmiast pojawiają się jednak kolejne. Dlaczego tak jest? Skąd wzięła się kulturowa norma, która każe nam zachować powagę? Jest w tej sprawie kilka ciekawych tropów.

Kto się śmieje jak głupi do sera?

„Nie wychodź z domu bez uśmiechu, bo na ulicy go tu raczej nie znajdziesz.

Dla dyrektorów i polityków
uśmiech stał się
narzędziem dominacji
– wywierania wpływu
i demonstrowania sukcesu.
Dla pracowników
czy obywateli
był więc obcy, narzucony,
budzący nieufność.

Uśmiechanie się do obcych jest w Polsce postrzegane jako objaw głupoty – ostrzega przewodnik Lonely Planet z 2008 r. Kuba Kryś i Karolina Hansen, też z PAN, od wspomnianego już Piotra Szaroty – postanowili pójść tym tropem i zaprojektowali bardzo ciekawe badanie. Z pomocą kolegów i koleżanek z zagranicznych uniwersytetów zgromadzili grupę ponad pół tysiąca ludzi z siedmiu krajów i pokazywali im fotografie uśmiechniętych i poważnych ludzi, zadając jedno proste pytanie: jak oceniliby inteligencję osoby na zdjęciu. Hipoteza

była taka, że istnieją dwa typy kultur: w jednych uśmiech postrzegany jest jako znak inteligencji, w drugich przeciwnie – uznaje się, że śmieją się zwykle głupcy.

I faktycznie, Niemcy oraz Chińczycy postrzegali osoby uśmiechnięte jako inteligentniejsze, podczas gdy Iranczy – jako mniej inteligentne. Tyle tylko, że badanie nie pozwala rozwiązać zagadki polskiego uśmiechu, gdyż ta zależność dla naszego kraju nie wystąpiła. Generalnie nasi, polscy badani ocenili wszystkich oglądanych ludzi najsurowiej, przypisując im niewielką inteligencję bez względu na to, czy się uśmiechali, czy nie.

A więc nierozstrzygnięte. Przynajmniej w perspektywie wizualnej. Bo w sferze językowej mamy sporo przykładów na to, że nasza kultura wyraża wobec śmiechu spory sceptycyzm. „Poznać głupiego po śmiechu jego” czy „śmiać się jak głupi do sera” łączą śmiech z niską inteligencją. Z kolei „ten się śmieje, kto się śmieje ostatni” albo „nie śmieć się bratku z cudzego wypadku” prezentują śmiech jako narzędzie zemsty czy poniżenia. Czy dałoby się te wyrwane z kontekstu przykłady jakoś uogólnić?

Tu z pomocą przychodzi Narodowy Korpus Języka Polskiego. To ogromna kolekcja tekstów dobranych tak, aby uwzględniały całe bogactwo naszej komunikacji – od druków specjalistycznych i artykułów naukowych po transkrypcje rozmów czy teksty ulotek. Towarzyszące korpusowi narzędzia pozwalają ocenić nie tylko częstotliwość występowania poszczególnych słów, lecz także szanse ich współwystępowania w różnych tekstach. Innymi słowy, wykorzystując NKJP można sprawdzić, „jaki jest polski uśmiech” w perspektywie języka – np. znajdując najczęściej towarzyszące mu przymiotniki.

Szukając rozwiązania zagadki polskiego uśmiechu, przeprowadziłem taką właśnie analizę kolokacji. Zamieszczona na stronie obok infografika przedstawia 50 najbardziej typowych przymiotników towarzyszących słowu „uśmiech” w języku polskim. Rozmiar słowa odzwierciedla częstość jego występowania (a dokładniej: o ile częściej towarzyszy słowu „uśmiech” niż innym słowom, zastosowano skalę logarytmiczną). Kolorem niebieskim oznaczono określenia pozytywne, czerwonym negatywne, szarym – neutralne lub ambiwalentne.



ŹRÓDŁO: OPRACOWANIE WŁASNE Z UŻYCIEM NARODOWEGO KORPUSU JĘZYKA POLSKIEGO

→ W tych pierwszych stanem domyślnym jest pewien stopień optymizmu, a nawet euforii, a typowym wyrazem twarzy – uśmiech. W drugim modelu społeczną normą jest dzielenie się troskami i demonstrowanie złego samopoczucia. Polacy zaliczają się do tej drugiej grupy.

Na tym jednak nie koniec uśmiechologicznych badań. Istnieje bowiem jeszcze jedno fascynujące studium, rzucające nowe światło na zagadkę polskiego uśmiechu. Nim jednak do niego przejdziemy, przyjrzyjmy się jeszcze przez chwilę najważniejszym źródłom negatywnego obrazu uśmiechu.

Coście tacy ponurzy?

Być może Polacy nie uśmiechają się po prostu dlatego, że nie jest im do śmiechu. Zmuszanie ludzi, żeby robili coś, na co nie mają ochoty, i jeszcze się z tego cieszyli, jest szczególnie perwersyjną formą przemocy. Kilka lat temu pisałem o tym w „Tygodniku” przy okazji premiery „Jokera”. Miliony pracowniczek i pracowników zatrudnionych w handlu, obsłudze klienta czy wspinających się mozolnie po drabinie korporacyjnej hierarchii poddawane są dziś przymusowi uśmiechu. Słyszą, że uśmiech jest drogą do sukcesu. Mają być wdzięczni za pracę, bo przecież wkrótce może zabrać ją kto inny – imigrant, robot, sztuczna inteligencja...

Sądzę, że to właśnie ta „inżynieria zadowolenia” w dużej mierze odpowiada za fatalną prasę, jaką uśmiech ma dziś

Uśmiech jest dobrym sposobem na dogadanie się w sytuacji, w której nie do końca wiadomo, czego się spodziewać. Ludzie czasem uśmiechają się nie dlatego, że im wesoło albo że są zadowoleni z życia.

w Polsce. Im bardziej opresyjna staje się importowana kultura uśmiechu, im częściej nazywają nas ponurakami, tym bardziej nieufni stajemy się wobec wymuszonej wesołości.

Zaczął się już na początku lat 90. Nowa fala biznesowych podręczników zalecała wprowadzanie uśmiechu w miejsce ponuractwa, które kojarzono z dawną rzeczywistością upadającego socjalizmu. Uśmiech najpierw zapanował w reklamie, później stał się obowiązkowy w handlu. Kolorowe czasopisma i poradniki dla biznesmenów promowały go jako skrót sukcesu. Wszak szczęście przyciąga szczęście – uśmiechaj się, jakbyś już był bogaty, a wkrótce bogaczem się staniesz! Piotr Szarota (autor cytowanego wcześniej badania zdjęć) opisuje ten okres w swojej książce „Psychologia uśmiechu” z 2006 r.

Krytycznie odnosi się m.in. do roli uśmiechu w szkoleniach pracowniczych. Przywołuje nawet ironiczny termin „zarządzanie kącikami ust”, używany podobno do opisywania takich praktyk.

Logika rynku mówi, że w uśmiech pracowników warto inwestować. Wedle jednego z branżowych raportów uśmiechnięci pracownicy są o „43 proc. bardziej produktywni” oraz aż „86 proc. bardziej kreatywni”. Stąd niesłabnąca popularność „narzędzi inżynierii społecznej”, które Zofia Smełka-Leszczyńska świetnie opisuje w swojej nowej książce „Cześć pracy!”. Składa się na nie cały „przemysł lubienia pracy” zatrudniający tysiące specjalistów – od szeregowych happiness managerów, przez korporacyjnych „strażników szczęścia” i „ambasadorów szczęścia”, aż po „dyrektorów do spraw szczęścia”.

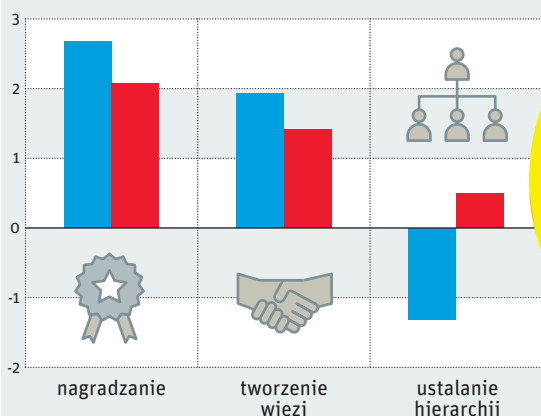
Smełka-Leszczyńska cytuje artykuł Martyny Śmigiel z „Gazety Wyborczej” opisujący codzienną pracę takiej właśnie dyrektorki. Podczas sesji zdjęciowej do artykułu kobieta „wyciąga ręce, uśmiecha się, robi zwariowane miny”. Wyraźnie czuje się władczynią korporacyjnej przestrzeni pełnej kolorowych puf i stoików z cukierkami. Wokół szeregowi pracownicy firmy stłoczeni w swoich boksach. Całą sytuację obserwują z zażenowaniem. „Nikt nie odrywa się od pracy i nie zagaduje. Nikt się nie uśmiecha”.

Ta dziwaczna scena idealnie oddaje główny problem potransformacyjnej

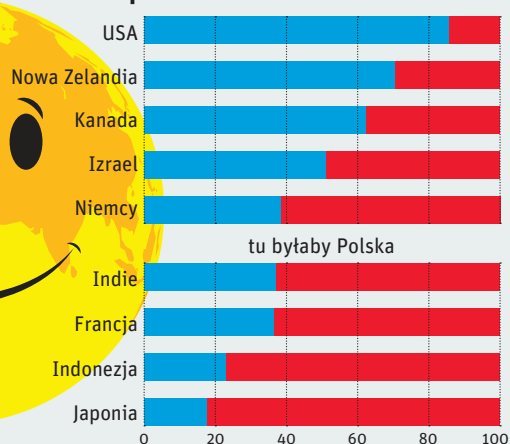
DWA MODELE UŚMIECHU:

■ życzliwy ■ hierarchiczny

Rodzaje uśmiechu używane zależnie od okoliczności



Rozpowszechnienie modeli uśmiechu



NA PODSTAWIE: M. RYCHŁOWSKA I INNI (2015). HETEROGENEITY OF LONG-HISTORY MIGRATION EXPLAINS CULTURAL DIFFERENCES IN REPORTS OF EMOTIONAL EXPRESSIVITY AND THE FUNCTIONS OF SMILES. PNAS, 112(19)



kultury uśmiechu. Dla dyrektorów i polityków uśmiech stał się narzędziem dominacji – wywierania wpływu i demonstrowania sukcesu. Dla pracowników czy obywateli był zwykle czymś obcym, narzuconym, budzącym nieufność. Uśmiech z biznesowych kursów i poradników dobrego życia, choć ma podobno topić lody i budować poczucie wspólnoty, w rzeczywistości jest zwykle bardzo hierarchiczny. Uśmiechamy się „w dół”, manifestując, że żyje nam się dobrze, albo „w górę” – aspiracyjnie lub przymilnie. Taki uśmiech, mimo pozornej serdeczności, buduje między ludźmi mury, a nie mosty.

I sądzę, że to jest właśnie ten uśmiech, który ma dziś w Polsce bardzo złą prasę: wymuszony, związany z hierarchią.

Uśmiech, który nie przyjmuje do wiadomości, że wielu bliźnim zwyczajnie nie jest do śmiechu. Ten, kto się nie uśmiecha, zostaje zaklasyfikowany jako ponurak. Trudności, biedę, porażkę traktujemy jako coś wstydlivego, co należy wysiedlić, zepchnąć w cień i odgrodzić, żeby nie psuło nam humoru albo wido-ków z okien; żeby nie kompromitowało nas w oczach sąsiadów, korporacyjnej centrali albo Starej Europy.

Odzyskanie uśmiechu jako pozytywnej wartości w naszej kulturze nie może więc polegać na tym, by całej populacji zaaplikować „szkolenie z zarządzania kącikami ust”. Może nam jednak pomóc coś innego – uświadomienie sobie, że ten hie-

rarchiczny wyszczerz zadowolenia to nie jest jedyny rodzaj uśmiechu, jakim obdarzyły nas natura i kultura.

Z pomocą znów przychodzą badania naukowe.

Hipoteza różnorodności

Kilka lat temu na łamach „PNAS” – jednego z najbardziej szanowanych periodyków naukowych na świecie – ukazał się artykuł badający związki między częstotliwością uśmiechania się a różnorodnością społeczną. Także tu warto podkreślić polski akcent – pierwszą autorką tekstu jest Magdalena Rychłowska (też kiedyś współpracowała z Szarotą i jego zespołem). Może więc w uśmiechaniu się nie jesteśmy mistrzami świata, za to w badaniach nad uśmiechem – owszem!



→ Opublikowane badanie pokazało, że historyczne zróżnicowanie społeczeństwa – to, skąd pochodzą nasi przodkowie – ma silny związek z tendencją do uśmiechania się. Im większa różnorodność naszych korzeni, tym mniejsza hierarchizacja (dystans) i większa akceptacja dla wyrażania emocji, w tym uśmiechu. Dlaczego?

Wygłąda na to, że uśmiech jest po prostu dobrym sposobem na dogadanie się w sytuacji, w której nie do końca wiadomo, czego się spodziewać. Ludzie czasem uśmiechają się nie dlatego, że im wesoło albo że są zadowoleni z życia. Uśmiechają się, żeby otworzyć i podtrzymać komunikację w sytuacji, gdy normy nie są jasne. „Witaj! – mówi ten rodzaj uśmiechu. – Nie mam złych intencji. Pogadamy?”.

Współczesna Polska, jako kraj dość jednorodny, jest ojczyzną ludzi stosunkowo mało uśmiechniętych, co potwierdziły badania. Nasi przodkowie mogli przybyć ze Śląska, Pomorza albo nawet z Bugu, ale zwykle nie pochodzili z Irlandii, Maroka albo Boliwii. Zróżnicowanie skryptów zachowania nie wymuszało więc częstego stosowania „uśmiechu na dzień dobry” – przyjazne intencje mogliśmy komunikować także na wiele innych sposobów. W ten sposób „hipoteza różnorodności” całkiem nieźle wyjaśnia zakres naszej ekspresji emocji, lokując Polskę stosunkowo nisko na skali krajów uśmiechniętych.

Wszyscy jesteście ludźmi.

A wobec braku kłów
i pazurów naszą
ewolucyjną siłą
jest to, że potrafimy
współpracować.

Na tym jednak Rychłowska i jej współpracownicy nie poprzestali. Zgłębiając temat, przyjrzeni się kilku krajom uważniej i pytali ludzi z różnych kultur, co tak właściwie wyrażają za pomocą uśmiechu. Na tej podstawie wyodrębnili dwa modele (zob. grafikę na s. 18). Model hierarchiczny to właśnie uśmiech, o którym mówiliśmy wcześniej. Może nagradzać za dobre zachowanie, w pewnym stopniu tworzy więzi społeczne, przede wszystkim jednak pozostaje pozytywnie skorelowany z poczuciem hierarchii. Uśmiechamy się, żeby zaznaczyć podległość lub dominację w społeczeństwie, w którym każdy powinien znać swoje miejsce.

Badanie pokazało jednak, że istnieje także drugi model – uśmiech, który jeszcze bardziej nagradza i buduje więzi, a w dodatku w przeciwieństwie do tamtego drugiego komunikuje też brak hierarchii, równość, wspólnotę i solidarność.

Moglibyśmy go nazwać „uśmiechem życzliwym”.

Przyglądając się odpowiedziom respondentów z różnych krajów, badacze uszeregowali je według rozpowszechnienia poszczególnych modeli. W tej części badań Polska niestety się nie znalazła, ale na podstawie analizowanego wcześniej związku różnorodności historycznej z modelami uśmiechu możemy z dość dużym prawdopodobieństwem odgadnąć jej położenie.

Oznacza to, że jesteśmy na rozdrożu – wciąż po stronie uśmiechu hierarchicznego, ale z niezłym potencjałem na odkrycie w sobie tego drugiego modelu. A jest to kierunek, w którym naprawdę warto podążyć.

Przetwarzają najżyczliwsi

Interesujące odpowiedzi w tym zakresie znaleźć możemy w książce „Przetwarzają najżyczliwsi”. Jej współautor, Brian Hare, jest jednym z twórców „hipotezy samodomowienia”. Nieco sprawę upraszczając – w pewnym momencie największym atutem ludzkości stała się nie zdolność do konkurencji, lecz właśnie umiejętność kooperacji. „Współpraca stanowi klucz do naszego przetrwania jako gatunku” – pisze Hare.

Natura wyposażała nas w szereg niezwykłych cech, które pozwalają ten potencjał wykorzystywać. Jedną z takich adaptacji są białe twardówki. Pozostałe gatunki ssaków maskują ruch żłreń mocno pigmentowanymi twardówkami.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Keskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rabiń, Piotr Śmiałowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięćk (kierownik)
Historia: Wojciech Pięćk
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak,
Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka,
Patrik Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczyk, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Fiis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieźun,
Piotr Kłotkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Zbigniew Parańanowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdziborska,
Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET GRUPA TOŻA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEŻONE SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Gdy wilk i zając stoją naprzeciw siebie w śmiertelnym zwarciu, choć obserwują się uważnie, żadne z nich nie wie dokładnie, w którą stronę kieruje się spojrzenie tego drugiego. Zając niepostrzeżenie spogląda w bok, szukając drogi ucieczki. Wilk łapie, przewidując jego ruchy. Przetrwanie każdego z nich zależy od umiejętności zamaskowania swoich intencji.

U ludzi jest zupełnie inaczej. Nasza twarz to otwarta księga. Nasz wzrok komunikuje nasze intencje. Już niemowlęta podążają za ruchem gałek ocznych rodziców. Patrzymy tam, gdzie inni. Synchronizujemy nasze spojrzenia. Dążymy w ten sposób nie do maksymalizacji jednostkowego wyniku, lecz do stworzenia warunków pozwalających wykorzystać unikalny potencjał współpracy, jakim obdarzyła nas natura.

Na takiej właśnie zasadzie działa życzliwy uśmiech opisywany w badaniu Rychłowskiej i współpracowników. Uśmiech hierarchiczny, choć oczywiście komunikuje intencje i emocje, lokowałby się jednak po stronie rywalizacji. To uśmiech zwycięzcy, uśmiech zachęcający do rywalizacji lub podporządkowania. Uśmiech, który – jak boleśnie pokazuje negatywna reakcja zwrotna ostatnich miesięcy – wiele osób pozostawia z poczuciem zepchnięcia na margines.

Stoimy dziś na rozdrożu. Możemy albo podzielić Polskę na uśmiechniętych i zgorzkniałych, albo połączyć ją uśmiechem życzliwości. Uśmiechem solidarności, zapraszającym, a nie wykluczającym; budującym mosty, a nie mury. Uśmiechem, który pojawia się nie tylko wtedy, gdy jest dobrze, lecz przede wszystkim wówczas, gdy jest źle.

Taki uśmiech nie ma politycznych barw. Nie należy do żadnej partii, nie promuje ideologii. Przeciwnie – stanowi warunek dialogu, przypominając nam, że wszyscy jesteśmy ludźmi. A wobec braku kłów i pazurów naszą ewolucyjną siłą jest tylko to, że potrafimy współpracować, nawet jeśli mówimy bardzo różnymi językami.

Mocy takiego właśnie uśmiechu życzę wszystkim Państwu w rozpoczynającym się roku!
© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Autor jest dyrektorem Muzeum Historii Polski. Stale współpracuje z „TP”.

GRAŻYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH XT



Monika Ochędowska:

Chcę patrzeć na literaturę szerzej, opowiadając o książkach przez pryzmat aktualnych wydarzeń. Wierzę, że opowieści powstające w tym samym czasie w różnych miejscach mają moc komunikowania się ze sobą, tworząc mapę naszych emocji, pragnień i lęków.

Na zdjęciu
w towarzystwie
koleżanek z „Tygodnika”:
Grażyny Makary,
Anny Łabuszewskiej,
Eweliny Burdy,
Anny Golus,
Katarzyny Kubisiowskiej
i Antoniny Pałarczyk

Autorki „Tygodnika” odważnie prowadzą Czytelniczki i Czytelników przez nasz skomplikowany świat, zachęcają do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw.



powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Twoje wsparcie
dla Fundacji Tygodnika Powszechnego
pozwala zmieniać świat. Naprawdę**

OPP

MAŁGORZATA

Kordowicz: Drzwi życia



„BO NIE ZAMKNAŁ DRZWI MOJEGO BRZUCHA” – tak można dosłownie oddać pierwszą połowę pewnego biblijnego wersu (Hi 3, 10). Zostawmy niepotrzebny tutaj szerszy kontekst. Wystarczy wiedzieć, że podmiot w tym zdaniu to noc, która po hebrajsku

jest rodzaju męskiego (w wyższym rejestrze języka istnieje też forma żeńska) i że narrator rozważa swoje życie płodowe. Oto wyzwanie dla tłumaczy. Rabin Cylikow kieruje się bardziej ku metaforze: „Ponieważ nie zawarła bram matczynego łona mego”, ks. Józef Kruszyński – przedwojenny rektor KUL-u – decyduje się na bardziej dosłowne: „Ponieważ nie zamknęła drzwi żywota mego”, zaś ciekawie łączy oba kierunki Biblia Tysiąclecia: „bo nie zamknęła mi drzwi życia”. W świeżutkim Przekładzie Toruńskim czytamy: „nie zamknęła przede mną drzwi łona”.

„Drzwi łona”? Czyż nieistnienie czegoś takiego zakładają poniższe wersy? „I okazało się w czasie porodu jej, a oto – bliźnięta w jej łonie. A gdy rodziła, wysunął jeden rękę; i wzięła położniczką, i uwiązała u ręki jego nić purpurową, mówiąc: »Ten wyszedł pierwszy!«. Lecz gdy wciągnął rękę swoją, a oto wyszedł brat jego” (Rdz 38, 27-29; Cylikow). Zapewne nie od razu wiemy, o kogo chodzi – pierwsze skojarzenie z bliźniętami w Księdze Rodzaju to Jakub i Ezaw. Tutaj mowa jest o Perecu i Zerachu, których Biblia Tysiąclecia nazywa Peresem i Zerahem w Pierwszym Testamencie, a w Nowym – Faresem i Zarą (zob. Mt 1, 3). Te bliźnięta – kluczowe zarówno dla żydowskiej, jak i chrześcijańskiej genealogii – powiła swojemu teściowi Tamar. Jak do tego doszło, możemy przeczytać w rozdziale 38., który przerywa ciągłość narracji dotyczącej Józefa i jego braci (rozdział 37-50).

Podobieństwa z narodzinami Jakuba i Ezawa nasuwają się same. Przy okazji ciąży Rebeki padają słowa: „a oto bliźnięta w żywocie jej” (Rdz 25, 24). Czerwień – skóry (Ezaw) lub nici (Zerach) – „wiąże się” z dzieckiem, którego linia jest z punktu widzenia makro-historii mniej istotna. Ważniejszy „wychodzi” (Jakub) lub początkowo ma „wyjść” (Perec) jako drugi. Per analogiam: w macicy Tamar również odbywa się kotłowanie – pewnie Perec ściąga Zeracha za nogi, a nie – Zerach daje znać, że dobrowolnie oddaje pierworództwo. Jakub rodzi się, trzymając Ezawa za piętę – czyżby też mógł wyciągnąć rączkę, otworzyć „drzwi łona” i stamtąd nam zamachać? ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: Korzenie świata



„TRZEJ KRÓLOWIE JADĄ Z KRÓLEWSKĄ paradą z dalekiej krainy do Dzieciny”. Czy byli to królowie, czy było ich trzech, czy kilkunastu, i skąd przyjechali, a nawet czy w ogóle takie wydarzenie miało miejsce – nie wiadomo. Co nie znaczy, że ten opis,

nawet jeśli jest literacką fikcją, jak wiele innych biblijnych opisów, za którymi nie stoją naoczni świadkowie, jest bez znaczenia.

Znamy porzekadło, że nikt tak dobrze nie kłamie, jak naoczny świadek. Nie oczekujemy też od pisarzy biblijnych, żeby spełniali wymagania stawiane współczesnym historykom. Fikcyjne nie musi oznaczać nieprawdziwe. Mowa, pismo mają ucieleśniać to, co niedostępne dla oczu i rąk, odsłaniać niewidoczne w widocznym, są gwiazdą oznajmującą istnienie światów, o których „napisano: czego oko nie zdołało ujrzyć, a ucho usłyszeć, i co ludziom nawet na myśl nie przyszło, to Bóg przygotował tym, którzy Go kochają”.

To odwieczne, szaleńcze pragnienie przeniknięcia do wnętrza wszystkiego, co istnieje, sprawia, że wzorem ewangelicznych Magów-Mędrców, wiedząc o tym czy nie wiedząc, idziemy w nieznane w poszukiwaniu „nowonarodzonego króla”. Ten wewnętrzny przymus wędrowania to nic innego, jak owa bełtewska gwiazda, głos sprzed wieków oznajmujący nam, że jesteśmy nie tylko dziećmi gwiazd, ale dziećmi Kogoś, kto jest, gdyż nie potrafi nie być, jako że jest.

Uroczystość Objawienia Pańskiego, ze względu na owych Magów, ma charakter ekumeniczny, ale można je też uznać za święto ludzi nauki i sztuki, w ogóle kultury, dlatego nie od rzeczy będzie oddać głos filozofowi. „Im bardziej usiłujemy poznać historię pierwotnego chrześcijaństwa, tym mniej ją rozumiemy” – mówi Leszek Kołakowski. I zadziwiony stwierdza: „Reformator religijny z małego, ciemnego plemienia, pogardzanego przez wielkich i uczonych, żyjącego na peryferiach cesarstwa rzymskiego, stał się symbolem duchowym par excellence najpotężniejszej i najbardziej twórczej (niekoniecznie najbardziej cnotliwej) cywilizacji świata (...). To, że ze słabych, pozbawionych ozdób rąk galilejskiego Żyda wyłonił się nowy wszechświat, jest niepojęte, jeśli próbujemy spojrzeć z perspektywy Jego epoki. Korzeniem tej przemiany – świat chrześcijański zawsze był zgodny w tym punkcie – jest miłość”. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:

Moje dwa życzenia

Szukaj swoich przyjaciół,
dla innych miej męstwo,
Miłość nie bitwą żyje,
życiem jej zwycięstwo.

CYPRIAN KAMIL NORWID



Są tacy, którzy
sprawniej
wykonują życie.

Mają w sobie
i wokół siebie porządek.
Na wszystko sposób
i słuszną odpowiedź.(...)
Czasami im zazdroszczę
– na szczęście to mija.

WISŁAWA SZYMBORSKA



Wybrał PIOTR SIKORA



W WIGILIĘ WIECZOREM Franciszek w bazylice św. Piotra otworzył Drzwi Święte, rozpoczynając Rok Jubileuszowy.

Takie jubileusze obchodzi się w Kościele co 25 lat właśnie, dla upamiętnienia tajemnicy Wcielenia. Tym razem papież zaprasza do doświadczenia nadziei. Motem jest zapewnienie św. Pawła: „Nadzieja nie zawodzi!” (Rz 5, 5). W pierwszej reakcji chcielibyśmy może zapytać: „czy na pewno?”. Bo naszym codziennym doświadczeniem bywa lęk, nieprzewidywalność jutra, zniechęcenie, sceptycyzm, pesymizm. Nierzadko myślimy, że wszystko, co w naszym życiu najlepsze, już było. Dlatego pozwolę sobie w ślad za papieżem przekazać Wam dwa życzenia.

Wzroku, który jest w stanie zobaczyć wokół nas znaki nadziei: „Konieczne jest – pisze Franciszek – zwrócenie uwagi na wiele dobra obecnego w świecie, aby nie ulec pokusie przekonania o byciu pokonanym przez zło i przemoc”. Doświadczenie Bożego Narodzenia to odkrycie, że w środku stajni można znaleźć Boga. Czy wśród smrodu i brudu można znaleźć dobro? Co znaczą te urodziny wobec śmierci dzieci w Ukrainie, na Bliskim Wschodzie, w tyłu miejscach Afryki? Wobec rozpalonego, bezczelnego zła, wojny, prze-

mocy, gwałtu? Pośród całej tej stajni – jest małe Dziecko, Jego rodzice, kilku pasterzy. Czy tak ma wyglądać początek nowego świata? Czy to możliwe? Potrzeba przenikliwego wzroku. Takiego wszystkim życzę.

I drugie życzenie: życzę, byśmy mieli odwagę sami się stawać znakami nadziei. Być ludźmi pokoju. Odwiedzić kogoś w więzieniu. Ofiarować uwagę choremu. Przełamać uprzedzenia wobec migrantów. Otworzyć im drzwi z wielkoduszną gościnnością. Wyjść do ubogich. Dać czas samotnym: młodym i seniorom. Odważyć się na odpowiedzialne, ale i hojne „macierzyństwo i ojcostwo” w różnych wymiarach.

Stać się znakiem nadziei, tego serdecznie wszystkim życzę. Skąd wziąć tę nadzieję? Papież odpowiada: „Nadzieja rodzi się z miłości”. Mam nadzieję, bo kocham, bo wiem, że jestem kochany. I że nic nie jest w stanie przetrącić tej miłości. Patrzę na Boga, który dla mnie nie cofnął się przed narodzinami w stajni. Jego miłość nie umiera. Dlatego nie umiera też moja nadzieja. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekoлекcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (5–19 I)

2. niedziela po Narodzeniu Pańskim:
Syr 24, 1-2. 8-12; Ps 147; Ef 1, 3-6. 15-18; J 1, 1-18;
Poniedziałek, uroczystość Objawienia Pańskiego:
Iz 60, 1-6; Ps 72; Ef 3, 2-3a. 5-6; Mt 2, 1-12;
Wtorek: 1 J 3, 22 – 4, 6; Ps 2; Mt 4, 12-17. 23-25;
Środa: 1 J 4, 7-10; Ps 72; Mk 6, 34-44;
Czwartek: 1 J 4, 11-18; Ps 72; Mk 6, 45-52;
Piątek: 1 J 4, 19 – 5, 4; Ps 72; Łk 4, 14-22a;
Sobota: 1 J 5, 5-13; Ps 147;
Łk 5, 12-16;

1. niedziela zwykła: Iz 40, 1-5. 9-11;
Ps 104; Tt 2, 11-14; 3, 4-7; Łk 3, 15-16. 21-22;
Poniedziałek: Hbr 1, 1-6; Ps 97; Mk 1, 14-20;
Wtorek: Hbr 2, 5-12; Ps 8; Mk 1, 21-28;
Środa: Hbr 2, 14-18; Ps 105; Mk 1, 29-39;
Czwartek: Hbr 3, 7-14; Ps 95; Mk 1, 40-45;
Piątek: Hbr 4, 1-5. 11; Ps 78; Mk 2, 1-12;
Sobota: Hbr 4, 12-16; Ps 19; Mk 2, 13-17;
2. niedziela zwykła: Iz 62, 1-5;
Ps 96; 1 Kor 12, 4-11; J 2, 1-11.

BITWA O ŚRODEK POLA

JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG:

W PiS i Konfederacji zacierają ręce dopingując lewicę,
by stawiała się jak najbardziej radykalna,
bo to gra na ich korzyść i rozbija obóz rządzący.
W tym kontekście fakt, że Trzaskowski spuścił z tonu, jest rozsądny.

MAREK KĘSKRAWIEC: Te wszystkie boje związane z zaciąganiem Zbigniewa Ziobry przed komisję śledczą albo ze zbitą szybką na wieńcu przez Jarosława Kaczyńskiego, to są tematy warte wielkich dyskusji w czasach, gdy mamy wojnę za rogiem oraz kryzysy polityczne w krajach Unii, takich jak Niemcy, Francja czy Rumunia?

JAROSŁAW FLIS: Rzeczywiście, czas poświęcony na dyskusję o takich zdarzeniach jest nieproporcjonalny do ich wagi. Widzę tu klasyczny infotainment, czyli powiązanie informacji z rozrywką. Na szczęście ważne sprawy też się dzieją, jak choćby wyjazd Donalda Tuska do Szwecji na szczyt Nordycko-Bałtyckiej Ósemki. To przecież znak mocnego przeorientowania polskiej polityki zagranicznej z kierunku południowego, czyli Grupy Wyszehradzkiej, czy też zachodniego, w postaci Trójkąta Weimarskiego – na rzecz skandynawsko-bałtyckiego teamu. Tam są dziś nasze najważniejsze interesy obronne, ale media i społeczeństwo tym nie żyją. Większe emocje wywołuje sprawa wieńca albo tego, czy prezes Kaczyński potrafi stukać w klawiaturę i napisać „dzień dobry” na portalu X, czy też musi to za niego zrobić ktoś inny.

Przejdźmy więc do spraw fundamentalnych. Rząd Mateusza Morawieckiego miał więcej przeciwników niż zwolenników dopiero

po pięciu latach PiS u władzy, gdy Trybunał Konstytucyjny wydał niefortunne orzeczenie ograniczające jeszcze bardziej prawo do aborcji. Rządowi Tuska przydarzyło się to już po siedmiu miesiącach.

Widać to w prowadzonych cyklicznie badaniach CBOS, ale ważniejsza jest chyba analiza opinii obywateli na temat poziomu ich życia, bo to one wpływają najbardziej na nasz stosunek do władzy. Otóż ten poziom życia rósł nieustannie od 2002 r. aż do kryzysu w 2008, kiedy zaczyna się pewien zastój, a potem spadek po podwyższeniu wieku emerytalnego, czemu zresztą przeciwny był PSL. Jednak pod koniec rządów PO i gabinetu Ewy Kopacz zadowolenie Polek i Polaków rusza w górę, a odsetek tych, którzy uważają, że ich rodzinom żyje się źle, systematycznie spada. Tak jest przez całą epokę PiS, aż do sierpnia 2020 r. To zaś oznacza, że pozytywna tendencja zaczęła się odwracać jeszcze przed wyrokiem TK. Trochę się to poprawiło pod koniec rządów PiS, ale dla tamtej władzy było już za późno.

W czasie wyborów i tuż po powołaniu rządu Tuska mieliśmy nawet mały pik, ale potem nastroje siadły.

*Konwencja „Trzeciej Drogi”,
na której Szymon Hołownia ogłosił swój
ponowny start w wyborach prezydenckich.
Warszawa, 7 grudnia 2024 r.*



PIOTR HUKALO / EAST NEWS

Szczerze mówiąc, ja na tych wykresach nie widzę, żeby w ostatnim okresie miało dojść do wielkiego tąpnięcia. To nie gwałtowny regres, bardziej marazm, który jednak przekłada się na stosunek do władzy, która wiele nam obiecała, zarówno w kwestiach gospodarczych, jak też naprawy wymiaru sprawiedliwości. Niemniej nawet w przywołanych badaniach stosunku do rządu liczba przeciwników obecnej ekipy jest jednak sporo niższa niż w czasach zmierzchu PiS, mają oni 5 proc. przewagi. Tymczasem po wyroku Trybunału w październiku 2020 r. przeciwnicy gabinetu Morawieckiego przeważali 45 do 30. To też było ledwie rok po wyborach parlamentarnych.

Może więc nie jest to marazm, ale jakiś rodzaj stabilizacji? Ludzie prze-

cież nie marzą masowo o powrocie ekipy Kaczyńskiego do władzy.

W obecnym roku wykres zadowolenia z życia drga w dół delikatnie, trochę na poziomie błędu pomiaru. Wciąż jest dziesięć razy więcej tych, którzy uważają, że żyje im się dobrze, niż tych, którym żyje się źle. Można by rzec, że jest to wynik mniej więcej 60 do 40, reszta społeczeństwa nie ma w tej sprawie jasnego zdania.

Bez wątpienia jednak obecny rząd ma pewien problem, sam Tusk też. Jego pomysł, by zrobić z koalicjantami to, co zrobił w samej Platformie, w której wszyscy grają na niego i czekają na jego łaskę – najwyraźniej niezbyt wypalił. W KO nikt przecież głośno nie powie, że Izabela Leszczyna nie nadaje się na ministra. Z koalicjantami tak już nie jest, oni wyciągnęli wnioski z bolesnych lekcji tzw. przystawek z czasów pierwszego rządu PiS, ale

Donald Tusk chyba nie. Nawet wielki solista powinien wiedzieć, że podczas koncertu trzeba czasem dać pograć swoim instrumentalistom.

Czy te problemy mogą być groźne podczas kampanii prezydenckiej, kiedy kandydaci lewicy i Trzeciej Drogi będą musieli się jakoś odróżnić od nominata KO?

Trudno dziś prorokować, jesteśmy przed kampanią, ale może być jak z klejem użytym do niewłaściwego tworzywa. Jakiś czas działała, ale w pewnym momencie wszystko zaczyna się rozłazić. To nie zawsze musi być wina aktualnie rządzących, tylko systemu pozostawionego przez PiS, który wymusza kontrowersyjne decyzje. Spójrzmy na rozliczenia z poprzednią ekipą. Przez całe lata różnica programowa w kwestiach wymiaru



→ sprawiedliwości pomiędzy PiS a PO była taka, że Platforma uważała, iż prokuratura powinna być niezależna, a PiS że minister sprawiedliwości, czyli członek rządu, powinien być prokuratorem generalnym i gonić prokuratorów do roboty. A najlepiej by było, jakby ci prokuratorzy od razu wykonywali wyroki.

Pod koniec drugiej kadencji PiS to wszystko odwrócić.

Przeczuwając porażkę Kaczyński wyrzucił do kosza cały swój program z 20 wcześniejszych lat, ubezwłasnowolnił prokuratora generalnego i wszystko zostawił w rękach niezależnego od niego prokuratora krajowego. Spełniałby on wszystkie wymogi PO, gdyby nie to, że jest wieloletnim współpracownikiem Ziobry. PiS chciał, by ten człowiek stał się nie do ruszenia bez zgody prezydenta i zadbał o bezpieczeństwo poprzedniej władzy, przynajmniej do wyborów w maju.

No dobrze, ale czy aż tak wielu z nas drażni ślimaczący się proces rozliczeń?

Sporą część społeczeństwa, tak. Lecz ważne jest też zdanie tych, którzy opowiadając się za rozliczeniami mówią zarazem: nie róbmy z nich teatru, jak to robił Kaczyński czy Ziobro. I tu się pojawia spór w rządzie, który w dodatku toczy się publicznie, choćby w postaci krytycznych uwag polityków Trzeciej Drogi na temat historii z pociąganiem Kaczyńskim do odpowiedzialności za wieniec. Widać przy tym, że główna siła koalicji nie ma zamiaru albo nie umie sojuszników do swych racji przekonać. Nie ma też pomysłu na jakiś handel z nimi, tylko woli ich pouczać i dyscyplinować, stosując metody, które zadowolą radykalny nurt rozliczeniowy, w rodzaju Silnych Razem, uradowanych dociskaniem PiS przed komisjami. Tyle że nie oni przesądzą o wyniku wyborów w maju.

Komisje się nie sprawdziły, nic ważnego nie ustaliły, i widać wyraźnie, że to są sprawy dla prokuratorów, a nie posłów.

Nawet przyjaźnie nastawione do władzy media nie są w stanie znaleźć w pracach komisji niczego, czego wcześniej byśmy nie wiedzieli. A przecież w tych już dość odległych wydarzeniach są ciekawe kwestie do wyjaśnienia, na przykład sprawa znalezienia przed planowanymi przez PiS wyborami kopertowymi paczki z kilkoma tysiącami kart do głosowania pod Szczecinem. Miały być identyczne z tymi, które wydrukowano oficjalnie. To afera mocno pachnąca sposobem działania służb specjalnych, niekoniecznie polskich. Pomyślmy, co się stanie, jeśli np. pod Siedlcami ktoś znajdzie 100 tys. kart do głosowania, wydrukowanych w Rosji – i to dwa dni przed wyborami, a nie parę tygodni wcześniej.

To także jest argument za tym, że być może obecna władza zajmuje się sprawami niewłaściwego kalibru. Wciąż jednak nie tłumaczy on „mijanki” przeciwników i zwolenników rządu.

Mamy jeszcze kwestię problemów gospodarczych i towarzyszących im wzrostów cen. Być może Tusk wyobrażał sobie, że będzie miał podobny komfort jak PiS na początku, ale tak nie jest, mamy poziom życia cały czas rość, wszystko kwitło aż do pandemii. Baza społeczna opozycji też wówczas nie biedniała. Pamiętajmy zarazem, że mimo wszystkich grzechów PiS w kwestii demolowania ważnych instytucji państwa jego zaplecze medialne biło mu tylko brawa, w tym państwowa telewizja i radio. Teraz jest inaczej, media są w swym przekazie dużo bardziej zróżnicowane i nawet te uznawane za prorządowe zwracają uwagę na grzechy obecnej władzy, choćby partyjny nepotyzm w spółkach albo historię w odcinkach z ministrem Wiercorkiem.

Czy odpuszczenie w ostatnim czasie agendy progresywnej, czyli liberalizacji prawa do aborcji oraz zalegalizowania związków partnerskich, może mieć wpływ na ocenę rządu?

Oczywiście, ale to działa w różne strony, bo mamy w tych sprawach odmienne poglądy. Odzwierciedla się to

m.in. przy wspomnianym już pouczeniu mniejszych koalicjantów: z Trzeciej Drogi, a zwłaszcza z PSL, który może czuć się wręcz wypychany z koalicji przez swój stosunek do aborcji czy związków partnerskich. W związku z tym w PiS i Konfederacji zaciera się ręce dopingując lewicę, by stawiała się jak najbardziej radykalna, bo to gra na ich korzyść i rozbija obóz rządzący. W tym kontekście fakt, że Rafał Trzaskowski spuścił z tonu, trzeba uznać za posunięcie rozsądne, aby znowu nie nakręcać tego ognia, który i tak wciąż się tli. I na który liczy PiS, wierząc, że PSL się w końcu złamie i zmieni front.

W tej chwili wydaje się, że zdecydowanym faworytem majowych wyborów pozostaje Trzaskowski. Czy uważa Pan, że on może w ogóle przegrać? Błędów Bronisława Komorowskiego z kampanii w 2015 r. raczej nie popełni.

Tę lekcję odrobili wszyscy kandydaci; ludzie w KO są dziś ostrożniejsi w prognozach, a ponadto prezydent Warszawy naprawdę nie jest zdecydowanym faworytem. W historii III RP zwykle zwyciężał kandydat, którego partia prowadziła w sondażach, więc warto dziś je śledzić. Tak było w 2010 i 2020 r., ale też w 2015, z tym że wówczas PiS przegonił Platformę dopiero na samym końcu. Pamiętajmy jednak, że wtedy część wyborców miała nadzieję, że PiS „znormalnieje”. To oczywiście nie nastąpiło, a dziś podstawy do takiej wiary są jeszcze słabsze. Z drugiej strony, prezydent Andrzej Duda zawsze miał najlepsze notowania z całego obozu, gdyż nie uczestniczył bezpośrednio w inicjowaniu wielu ze spraw, które pociągnęły partię Kaczyńskiego w dół. To jednak jest trochę inna funkcja w państwie. Nawrocki może to wykorzystać.

Zazwyczaj w wyborach prezydenckich mieliśmy pojawiającego się znienacka kandydata, np. Pawła Kukiza.

Dziś wygląda na to, że takiej osoby nie będzie, za to PiS może być w sondażach najsilniejszą partią. Jak będzie wyglądała walka polityczna, jeśli Nawrocki stanie się liderem sondaży?

Jeśli tak się stanie, pojawią się obawy, że po wyborach może dojść do zmiany rządu, bo PSL przejdzie na stronę opozycji. Rozważany jest również gambit z Krzysztofem Bosakiem, wedle reguły:

wasz prezydent, nasz premier. Przy takich scenariuszach i ewentualnych spadkach notowań Trzaskowskiego w elektoracie antypisu mogą się pojawić głosy: „nie chcecie powrotu Kaczyńskiego, to głosujcie na Hołownię, bo jako człowiek z centrum może zebrać większość”. Zresztą, gdyby w 2020 r. PO nie wystawiła własnego kandydata i postawiła na Hołownię, to on miałby rzeczywiście większą szansę pokonać Dudę.

Słowem, choć Trzaskowski jest faworytem, wiele się jeszcze może zdarzyć. Prezydenci w Polsce wybierani są niewielką przewagą głosów, większość sejmowa też. Ciągłe zapominamy, że to wielkie zwycięstwo z października 2023 r., potężna mobilizacja, Jagodno – przyniosły na mecie wcale nie miażdżącą przewagę, a pokonany przeciwnik mimo wszystko okazał się partią z najwyższym poparciem.

Kandydatura Nawrockiego ma jednak też swoje ograniczenia.

Głównym problemem jest to, jak zachowa się PiS. Czy będzie pracował na niego, czy na siebie, jak przez ostatni rok, gdy nie przyznawał, że zrobił cokolwiek złego przez osiem lat, a nawet jeśli kradł, to zgodnie z procedurami. Pozostaje pytanie, czy taki przekaz nie jest samokompromitujący. Poza tym Duda wygrywał pięć lat temu bez ścisłego poparcia Kaczyńskiego, który został przez partię wręcz schowany, a na czoło wysunięto Morawieckiego, który też nie pochodził z samego jądra PiS. Niedługo się przekonamy, jak będzie w tej kampanii i czy PiS sam się nie pograża i nie ośmieszy, ustawiając Nawrockiego w szeregu swojej walki z „koalicją 13 grudnia”.

Jak Rafał Trzaskowski może uciekać przed Nawrockim?

Jest doświadczonym politykiem, prezydentem największego miasta, w kampanii 5 lat temu udowodnił, że potrafi pracować od świtu do nocy. Tak samo było, gdy z Krakowa startował na posła w 2015 r. Jest ludzki, widać, że woli zachować dobre relacje, niż tylko pokazać, że ma rację. Ma też za sobą i zwycięstwa, i porażkę, a to ważne doświadczenie. Tego wszystkiego brakuje Nawrockiemu, który odszczekuje się dziennikarzem, jakby właśnie miał z nimi na ring wchodzić. Ale może szybko się poduczyć. Zobaczymy.



GRAŻYNA MAKARA

PROF. JAROSŁAW FLIS jest socjologiem i komentatorem politycznym, pracuje na Wydziale Zarządzania i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”.

Gdzie Trzaskowski będzie łowił brakujące głosy, by go pokonać?

Podstawowe pytanie brzmi, czy Trzaskowski będzie przekonywał do głosowania na siebie lewicę, czy konserwatystów w rodzaju Marka Sawickiego, a może potrafi połączyć jedno z drugim. Pewne jest, że wybory wygrywa się na środku. Zapewne dlatego Trzaskowski stąpił ideologiczne ostrze; on chce wygrać. Pamiętajmy, że źródłem sukcesu Tuska w jego najlepszych latach było to, że „Gazeta Wyborcza” popierała go z pewnym obrzydzeniem, a jak już go pokochała, to zaczął przegrywać.

Te same mechanizmy dotyczą jednak Nawrockiego. Jeżeli chce zdobyć 50,1 proc., musi się odnieść np. do wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji z 2020 r. Jeżeli powie jak PiS, że uznaje go za właściwy, raczej przegra. Jeśli będzie promowany jako jedyny kandydat, który uwolni Polskę spod obecnej niemieckiej okupacji, będzie tak samo. To nie są komunikaty dla elektoratu środka.

Jak Nawrocki ustawi się wobec Konfederacji?

Jeśli zacznie pięć się w sondażach, to ten sukces na początku będzie kosztem Konfederacji i Sławomira Mentzena. Czy oni powiedzą wtedy: „dobra, pogódźmy się, to nie nasza dyscyplina sportu”, czy też uznają, że trzeba atakować tych „kościółkowych socjalistów” z PiS za rozbuchane programy społeczne, w tym 800 plus. Być może zobaczymy to w debacie kandydatów, bo że ona będzie, to raczej pewne. No chyba że w sztabie Nawrockiego przyjmą styl Tuska, że „negocjować to możemy warunki kapitulacji”, tego zaś nie ma co robić w świetle kamer – i tą me-

todą wyłgają się z debaty. Lecz tego się nie spodziewam.

Czy kandydatowi „obywatelskiemu” PiS mogą zagrozić ujawnione kontakty z półświatkiem? Nie za wcześniej wyszły na jaw?

Przed chwilą na kandydata KO w wyścigu prezydenckim rozpatrywano Radosława Sikorskiego, głównego bohatera kelnerskich nagrań i „ośmiorniczek”. Jakoś mu nie zaszkodziły w karierze, skoro jest dziś szefem MSZ. Drugi z bohaterów tej afery, Bartłomiej Sienkiewicz, odpowiadał do niedawna w tym samym rządzie za kulturę. Polskie państwo jako „kamieni kupa” go nie zniszczyło. To są raczej historie dla twardych elektoratów.

Zanim poznamy nowego prezydenta, mamy wciąż obecnego lokatora w Pałacu. W co dziś gra Andrzej Duda? Nie widać, by chciał się angażować po stronie Nawrockiego.

Nie jestem przekonany, że sam prezydent wie, w co gra. Gambity Marcina Maśtalerka nie okazały się genialne, nie sądzę też, by jego zaangażowanie cokolwiek dodało Nawrockiemu. Tu możemy postawić kropkę. Porozmawiajmy może o tym, co różni Dudę i Nawrockiego w momencie startu. Kandydatura tego pierwszego w 2015 r. była dla wielu wyborców nadzieją na zmianę charakteru PiS. Czy ta nadzieja jest dziś do odtworzenia, skoro PiS nie ma najmniejszej ochoty na to, by się zmienić? Nie wiemy też, na ile skończyła się w PiS wewnętrzna gra i ludzie, którzy promowali Przemysława Czarnka czy Morawieckiego, włączając się w kampanię, walcząc o to, żeby mieć obrońcę przed prokuratorami i uzyskać ewentualne ułaskawienia.

Czy Magdalena Biejat ma szansę w prezydenckim wyścigu?

Nadzieję lewicy może być pięć kandydatki oraz przesunięcie Trzaskowskiego do centrum, czym będzie zabierał elektorat Hołowni. To wszystko nie zapewni jej realnych szans na zwycięstwo, ale ma znaczenie dla rozgrywki między koalicjantami, choćby w kontekście pogłosek o tym, że Trzecia Droga chce utrzymać stanowisko marszałka Sejmu. W tych wyborach wynik każdego kandydata będzie miał znaczenie.

© Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC



Telewizyjna debata prezydencka pomiędzy Aleksandrem Kwaśniewskim a Lechem Wałęsą. Warszawa, 1995 r.

Co by było gdyby

PIOTR ŚMIŁOWICZ

W dziejach III RP było kilka momentów, w których z pozoru mało znaczące wydarzenia mogły zmienić naszą historię. Gdyby do nich doszło, być może Aleksander Kwaśniewski nie zostałby prezydentem, a PiS i PO nigdy by nie powstały.

W POWIEŚCI STEPHENA KINGA „Dallas 63” bohater, skromny nauczyciel Jake Epping, przechodząc przez drzwi spiżarni obskurnego baru w stanie Maine, może nagle ze współczesności przenieść się do roku 1958. Postanawia to wykorzystać, żeby „poprawić” nieco historię. Najpierw zapobiega morderstwu rodziny swojego ucznia, a potem decyduje się wpłynąć na dzieje Stanów Zjednoczonych i świata, uniemożliwiając zabójstwo prezydenta Johna Kennedy’ego.

Każda ingerencja w przeszłość wywołuje konsekwencje w teraźniejszości, i to w wielu jej obszarach, co bohater stwierdza, gdy przez te same drzwi wraca do

współczesności. Wyobraźmy sobie więc teraz, że bohater powieści Kinga mieszka w Polsce i odkrywa, że w jakiejś zapomnianej komórce – założmy, że w Biłgoraju – również odkrywa drzwi, po przekroczeniu których można się cofnąć w czasie o rok albo wręcz o dziesięciolecie.

Gdyby polski Jake Epping postanowił namieszać w naszej współczesności i zmienić bieg wydarzeń politycznych, to które z kluczowych momentów zdecydowałby się wybrać? Które z nich, na zasadzie tzw. efektu motyla, mogłyby oznaczać z pozoru niewielką ingerencję, która z czasem zamieni się w potężną kulę śnieżną?

Poseł w toalecie

Pierwszym momentem, który mógł dynamicznie wpłynąć na zmianę historii III RP, było uchwalenie wotum nieufności dla centroprawicowego rządu Hanny Suchockiej 28 maja 1993 r. Zostało przyjęte jednym głosem – do uratowania gabinetu pani premier zabrakło jednego członka jej armii, posła koalicyjnego ZChN Zbigniewa Dyki, byłego ministra sprawiedliwości, zdymisjonowanego kilka miesięcy wcześniej przez Suchocką. Dyka nie wziął udziału w głosowaniu, bo rzekomo zatrzasnął się w toalecie. Co by się stało, gdyby polski Epping pojawił się tego dnia w Sejmie i zdołał uniemożliwić udział w głosowaniu jednego z posłów chcących obalić rząd, dzięki czemu pobyt Dyki w łazience straciłby znaczenie?

Zapewne nie doszłoby wtedy do rozwiązania przez prezydenta Lecha Wałęsę Sejmu I kadencji. Jesienią 1993 r. nie byłoby sytuacji totalnego chaosu w podzielonych wewnętrznie środowiskach post-solidarnościowych, a tym samym przedterminowych wyborów parlamentarnych, wygranych w sposób zdecydowany przez postkomunistyczne ugrupowania SLD i PSL. Z kolei formacje prawicowe, takie jak ZChN czy Porozumienie Cen-

trum, nie przepadłyby pod 5-procentowym progrem. Sejm dotrwałby zapewne do roku 1995, kiedy polityczna konstelacja byłaby już inna. I nawet jeśli gniew ludzi rozczarowanych skutkami transformacji (głównie rosnącego bezrobocia) wyniósłby do władzy SLD i PSL – co wcale nie jest pewne, bo sytuacja gospodarcza zaczęła się poprawiać – to już lider Sojuszu Aleksander Kwaśniewski mógłby nie zostać prezydentem.

Czy w takim razie Lech Wałęsa pozostałby na drugą kadencję? To mało prawdopodobne, bo miał bardzo niskie notowania, a jego błyskawiczna odbudowa polityczna w ramach kampanii w 1995 r. w dużym stopniu wynikała z obawy przed zwycięstwem „postkomunisty” Kwaśniewskiego. W zmienionej przez hipotetycznego „Eppinga” rzeczywistości realną szansę walki o fotel prezydencki miałyby zapewne Jan Olszewski, opromieniony legendą obalonego premiera. Albo osoba pełniąca funkcję narodowego autorytetu w rodzaju Władysława Bartoszewskiego? Ewentualnie dobrze odbierany też poza lewicą Włodzimierz Cimoszewicz, którego SLD mogłoby wystawić zamiast zbyt mocno kojarzonego z PZPR Kwaśniewskiego? Może już wtedy prezydenckie aspiracje zdradziłby Andrzej Olechowski? Każda z tych opcji miałaby określone konsekwencje, które dziś trudno przewidzieć.

Feralny bój o stolicę

Drugi moment, w którym nasz polski Jake Epping mógłby wpłynąć znacząco na naszą rzeczywistość, to data 29 lutego 2000 r. Taki dzień przypada raz na tysiąc lat, bo co prawda lata przełomowe dla stuleci (1800, 1900) nie są przestępne, to kończące całe tysiąclecia już tak, i luty ma wówczas 29 dni.

Tego dnia Rada Warszawy wybierała na prezydenta stolicy Pawła Piskorskiego z Unii Wolności. Był on już co prawda prezydentem Warszawy od marca 1999 r., łącząc to stanowisko z funkcją burmistrza Gminy Warszawa-Centrum, jednak po wyroku Trybunału Konstytucyjnego powstała konieczność rozdzielenia obu stanowisk i Piskorski musiał być ponownie powołany na prezydenta Warszawy. Burmistrzem Gminy Centrum miał z kolei zostać ktoś z sojuszniczej AWS. Jednak kilku radnych tej formacji (m.in. Julia Pitera) zbuntowało się i w efekcie tegoż 29 lutego 2000 r., wbrew koalicyjnym

ustaleniom, nie udało się Piskorskiego wybrać.

Zdarzenie wywołało konflikt w koalicji i cały łańcuch politycznych wstrząsów – Unia Wolności zawarła w Radzie Warszawy koalicję z SLD, Piskorski został prezydentem stolicy, a burmistrzem Gminy Centrum przedstawiciel SLD. To z kolei rozjuszyło AWS, odstawioną od władzy w największym mieście, i ta wymogła na swoim premierze Jerzym Buzku, by wprowadził w Gminie Centrum zarząd komisaryczny. Po tej decyzji premiera Unia Wolności w ramach protestu oświadczyła, że opuszcza koalicję rządową z AWS. Mimo negocjacji na najwyższym szczeblu nie udało się sojuszu uratować i od czerwca 2000 r. Jerzy Buzek stał na czele mniejszościowego rządu.

Premier musiał w tej sytuacji uzupełnić wakaty po ministrach z Unii Wolności, m.in. po minister sprawiedliwości, a dawnej premier – Hannie Suchockiej. Buzek wpadł na pomysł, że zastąpi ją znajdującym się od lat poza polityką Lechem Kaczyńskim, profesorem prawa pracy z Uniwersytetu Gdańskiego. Jego brat bliźniak Jarosław, kiedyś największy rozgrywający, który pomógł Wałęsie stać się prezydentem, był wówczas kompletnie zmarginalizowanym posłem kilkuosobowego koła Ruchu Odbudowy Polski.

Nominacja dla Lecha Kaczyńskiego okazała się gamechangerem – z miejsca, jako surowy i zdecydowany minister sprawiedliwości, zdobył popularność, na fali której wiosną 2001 r. powstało Prawo i Sprawiedliwość.

Ówczesny lider Unii Wolności Leszek Balcerowicz, po opuszczeniu rządu Buzka, w którym był wicepremierem i ministrem finansów, nie mógł sobie znaleźć miejsca w polityce. Postanowił kandydować na prezesa NBP w miejsce Hanny Gronkiewicz-Waltz, która otrzymała ofertę wejścia do władz Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. By jednak zostać szefem banku centralnego, musiał zrzec się fotela szefa partii. To uruchomiło rywalizację o stanowisko przewodniczącego UW. Wygrał Bronisław Geremek, pokonując Donalda Tuska, a przy okazji związani z tym ostatnim dawni działacze Kongresu Liberalno-Demokratycznego zostali wycięci z władz Unii. Sfrustrowani postanowili na początku 2001 r. opuścić UW i założyć nowe ugrupowanie, wspólnie z opromienionym dobrym

wynikiem w wyborach prezydenckich w 2000 r. Andrzejem Olechowskim oraz popularnym marszałkiem Sejmu Maciejem Płażyńskim z AWS. Tak powstała Platforma Obywatelska, która kilka lat później wspólnie z PiS opanowała polityczną scenę – aż do dziś.

Gdyby więc nasz bohater rodem z powieści Kinga w jakiś sposób wpłynął na kilku warszawskich radnych, by 29 lutego 2000 r. zagłosowali na Piskorskiego, być może nie byłoby dziś ani PiS, ani PO, a scena polityczna wyglądałaby zupełnie inaczej.

Zandberg zatapia lewicę

Trzeci moment, w którym niewiele zabrakło, a historia zmieniałaby swój bieg, to wybory parlamentarne w 2015 r. Wówczas Zjednoczona Lewica (koalicja SLD, Twojego Ruchu, PPS, UP i Zielonych) minimalnie poległa na 8-procentowym progu (wyznaczanym dla koalicji), uzyskując 7,55 proc. głosów. Nie ma dziś wielkich wątpliwości, że najważniejszym powodem klęski okazały się głosy oddane wtedy na startującą samodzielnie i debiutującą w parlamentarnym wyścigu Partię Razem. Otrzymała ona ponad 3,6 proc. głosów, a decydujący wpływ na ten wynik mogła mieć debata telewizyjna między liderami list, podczas której szczególnie błyskotliwie zaprezentował się lider Partii Razem Adrian Zandberg.

Gdyby nie ta debata, zapewne Zjednoczona Lewica weszłaby do Sejmu. Zmieniłoby to układ sił, bo PiS nie zdobyłby samodzielnej większości. By rządzić, musiałby zawrzeć koalicję. Najbardziej prawdopodobnym kandydatem na koalicjanta byłoby nowe wtedy w parlamencie ugrupowanie Kukiz'15. Z czasem zapewne zostałyby „zjedzone” przez PiS, jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że przynajmniej początek kadencji mógłby wyglądać inaczej i nie doszłoby do scen i działań kompromitujących polską demokrację.

Zapewne nie byłoby awantury z Trybunałem Konstytucyjnym i powoływaniem tzw. sędziów dublerów w miejsce sędziów wybranych przez Sejm VII kadencji. PiS, nie mając większości, zapewne poczekalby na orzeczenie samego Trybunału, które zapadło na początku grudnia i stwierdzało, że niekonstytucyjny był też wybór (w poprzedniej kadencji Sejmu) dwóch sędziów z pięciu. A prezydent →

→ Andrzej Duda w nocy przed tym orzeczeniem nie przyjmowałby przysięgi od pięciu sędziów, wybranych przez PiS-owską większość. Można tak zakładać, gdyż Paweł Kukiz w tamtym czasie wypowiadał się krytycznie zarówno o postępowaniu Platformy, która pod koniec swoich rządów wybrała awansem aż pięciu sędziów, ale także o decyzji PiS, który w ich miejsce wybrał pięciu swoich. W tym trzech, którzy po werdykcie TK byli przez opozycję nieuznawani i nazywani „sędziami-dublerami”.

Wojna o Trybunał z 2015 r. mocno zaciążyła na eskalacji politycznego konfliktu za rządów PiS i pogłębiła podziały społeczne. Gdyby nie ona, TK może do trwałaby do obecnych czasów jako instytucja uznawana przez wszystkich.

Szansa dla PO-PiS-u

Wywrócenie politycznej rzeczywistości do góry nogami mogłoby też nastąpić, gdyby w wyborach prezydenckich – tych z 2005 i z 2010 r. – padł inny wynik. A było do tego blisko. W pierwszym przypadku Donald Tusk wygrał pierwszą turę z Lechem Kaczyńskim. Jednak poparcie, które ten ostatni uzyskał przed ostateczną rozgrywką od Andrzeja Lepera (zdobył on 15 proc.), prawdopodobnie przesądziło o jego zwycięstwie.

Gdyby wygrał wtedy Tusk, skutki mogły być doniosłe, bo PiS i PO stanowiłyby równoważne siły postsolidarnościowe. Zapewne w 2005 r. powstałaby koalicja PO-PiS i nie byłoby raczej przedterminowych wyborów w 2007 r., a Polska nie zostałaby tak radykalnie podzielona. Kolejne odbyłyby się w 2009 r., w których pozycję najsilniejszej opozycji odbudowałaby zapewne lewica. Niewykluczona jednak byłaby też niezła pozycja Samoobrony czy LPR. Roman Giertych zapewne wciąż pełniłby rolę pieszczocha Radia Maryja, a Andrzej Lepper by żył. Kto wie, może w ogóle nie doszłoby do katastrofy smoleńskiej.

Także zwycięstwo Bronisława Komorowskiego nad Jarosławem Kaczyńskim w 2010 r. było nieznaczące. Co by było, gdyby wygrał Kaczyński? Zapewne próbowałby zmieniać ustrój w kierunku systemu prezydenckiego i nie przejmowałby się, swoim zwyczajem, ustrojowymi ograniczeniami urzędu. Niewykluczone, że w państwie zapanowałby chaos. Ale też w samym PiS, pozbawionym przywódcy

zajętego sprawami w Pałacu, mogłoby dojść do rozłamu, przez co ugrupowanie to miałoby poważne problemy ze zwycięstwem nie tylko w 2011, ale i w 2015 r. Nie wiadomo też, czy przy zadowolonym ze sprawowania władzy Kaczyńskim w takim samym stopniu rozwinęłaby się „religia smoleńska” – o ile doszłoby w ogóle do katastrofy.

Historycy zwykle sceptycznie patrzą na dywagacje, co by było gdyby. Bogusław Wołoszański, znany popularyzator historii, a dziś poseł KO, uważa, że zastanawianie się nad historią alternatywną możliwe jest tylko w kategoriach zabawy intelektualnej. – Zwykle znamy tylko niewielki fragment rzeczywistości, więc wyświadczenie zbyt daleko idących wniosków nawet przy założeniu, że coś przebiegłoby inaczej, jest trudne – mówi Wołoszański.

Gdyby udało się wpłynąć
na kilku warszawskich
radnych AWS,
by w lutym 2000 r.
zagłosowali na Pawła
Piskorskiego z Unii Wolności,
**być może nie byłoby dziś
ani PiS, ani PO.**

O ile jednak na zdarzenia przypadkowe, nawet jeśli przesadzają o czymś „o włos”, nikt nie ma wpływu, nieco inaczej jest z sytuacjami, które są wynikiem zupełnie świadomych decyzji. Do dziś trwają dyskusje o racjach stojących za stanem wojennym. Czy generał Wojciech Jaruzelski musiał go wprowadzać, bo inaczej groziłaby nam sowiecka interwencja, czy wręcz przeciwnie? Dywaguje się też, czy słuszne było powołanie ostrożnego Tadeusza Mazowieckiego w 1989 r. na pierwszego niekomunistycznego premiera. Wielu historyków za błędne uważa też przeprowadzenie w 1990 r. powszechnych wyborów prezydenckich, zamiast wyboru głowy państwa przez Zgromadzenie Narodowe, i upatruje w tym dzisiejszych ustrojowych problemów ze względu na polary-

zujący charakter osoby posiadającej silny mandat ze strony narodu, który każe mu się „rozpychać”.

Gdyby Hitler się utopił

Historyk i autor książek historycznych Piotr Zychowicz przyznaje, że historia alternatywna może być traktowana w sposób poważny i niepoważny. Ta druga opcja to rozważania w rodzaju: „co by było, gdyby Hitler utopił się jako dziecko, jeżdżąc na łyżwach po zamrażniętym stawie”. Natomiast czym innym jest analizowanie decyzji polityków, którzy stali przed określonym wyborem. W tym przypadku historia alternatywna bywa narzędziem użytecznym. Bo jeżeli nie przeanalizujemy wszystkich możliwych opcji, nie będziemy wiedzieć, czy podjęto właściwą decyzję. Polityków dotyczy to tym bardziej, że takie decyzje jak wejście do wojny przeciwko Niemcom, a nie Sowietom w 1939 r., albo wywołanie powstania warszawskiego 1 sierpnia 1944 r. – pociągały za sobą fundamentalne konsekwencje dla państwa i narodu. Tym bardziej, zdaniem Zychowicza, powinniśmy analizować wszystkie opcje, które były na stole.

W powieści „Dallas 63” bohaterowi udaje się udaremnić zamach na Johna F. Kennedy’ego. Gdy jednak wraca do współczesności, zastaje świat po wojnie nuklearnej, rodem z wizji George’a Orwella. To oczywiste memento, pozwalające postawić tezę, że jeśli historia potoczyłaby się innymi torami, to wcale nie znaczy, że lepszymi – w którymś momencie mogłoby się zdarzyć coś, czego sobie nawet nie potrafimy wyobrazić. Dotyczy to także polskiej polityki. Zapewne gdyby nie wspomniane wyżej przedterminowe wybory w 1993 r. i przytłaczające zwycięstwo SLD i PSL, nie byłoby konstytucji z 1997 r. i innych fundamentalnych ustaw, na czele z kodeksem karnym. Uchwalonych właśnie dlatego, że Sejm II kadencji nie był rozdrobniony. Nie wiadomo też, czy w innej konstelacji politycznej udało by się wejść do NATO i Unii Europejskiej, albo doszłoby do tego kiedy indziej i na innych warunkach.

Jest oczywiście jedno zdarzenie w najnowszej polskiej historii, zapobieżenie któremu nie ma politycznej ceny. To katastrofa smoleńska. W tym jednym przypadku pozostaje żal, że moje dywagacje to jedynie zabawa w *political fiction*.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



WOJCIECH OKRUSNIK / EAST NEWS

Armatohaubice K9 Thunder podczas pokazu uzbrojenia w Ośrodku Szkolenia Wojsk Lądowych w Bemowie Piskim. 17 września 2023 r.

Wielki kaliber

MAREK RABIJ

Na wyposażeniu polskiej armii pojawia się coraz więcej nowoczesnego uzbrojenia. Nie do końca wiadomo, czym wojsko będzie z tego sprzętu strzelać.

TYM RAZEM NIE BYŁY TO POMARAŃCZE, choć wojskowym pamiętającym PRL skojarzenia z przedsięwziętymi dostawami cytrusów mogły istotnie przyjść do głowy. Dokładnie na tydzień przed Wigilią w porcie w Gdyni wyładowano ostatnią z zaplanowanych na ten rok partii uzbrojenia zakupionego dla Wojska Polskiego w Korei Południowej. Do kraju przyплыło siedem czołgów Black Panther, 16 armatohaubic K9A1 oraz sześć modułów wyrzutni rakietowych Czunmu, które po zamontowaniu na samochodach Jelcz produkowanych pod Wrocławiem wejdą na wyposażenie polskiej artylerii rakietowej jako wyrzutnie Homar-K. Dwa dni później z USA dotarły nagrania z oblotu kolejnego myśliwca F-35 z polską szachownicą na ogonie, a według niepotwierdzonych przez resort obrony informacji (względny bezpieczeństwa) w dro-

dze nad Wisłę jest także pierwsza partia 28 czołgów Abrams w najnowszej wersji M1A2 Sepv3, których wojsko ma łącznie otrzymać 250.

Z IMPORTU | Agencja Uzbrojenia, która odpowiada za zamówienia dla wojska, ma obecnie w koszyku sprzęt wart łącznie około 500 mld zł i choć płatności za te zakupy rozłożą się na dwie dekady, aktywność Polski w tej dziedzinie robi wrażenie nawet na krajach znacznie bogatszych. Budujemy najsilniejszą armię lądową Europy, która za kilka lat dysponować będzie większą liczbą czołgów niż Francja i Wielka Brytania razem wzięte. W tym roku na wojsko i uzbrojenie dla niego wydamy rekordowe 187 mld zł, czyli aż 4,6 proc. PKB – licząc z pozabudżetowym Programem Wsparcia Sił Zbrojnych.

Część zamówień właśnie trafia do realizacji – jak wspomniane F-35. Inne, np. koreański kontrakt na 180 czołgów K2, z których do Polski dostarczono już 84 – są mocno zaawansowane. Wojsko nie komunikuje tego wprost, ale niemal każdemu zamówieniu towarzyszy dodatkowy kontrakt na dostawy amunicji do uzbrojenia, gdyż krajowi dostawcy nadal nie są w stanie jej zapewnić. Dopiero 11 grudnia prezydent Duda podpisał wyczekiwaną od miesięcy ustawę amunicyjną, dzięki której polskie firmy zbrojeniowe mogą otrzymać łącznie 3 mld zł na inwestycje w produkcję pocisków artyleryjskich kalibru 155 i 120 milimetrów. Realizacją tego pilnego projektu zajmie się głównie konsorcjum PGZ, zapewne we współpracy z partnerami z Korei Południowej. Tyle że efekty tej współpracy – o ile w ogóle

do niej dojdzie – będą widoczne najwcześniej za dwa-trzy lata. Do tego czasu Wojsko Polskie, systematycznie wyposażane w coraz nowocześniejszy sprzęt, będzie skazane na amunicję z importu. Krajowe zakłady są dziś w stanie zaspokoić zapotrzebowanie tylko na amunicję strzelecką standardowych NATO-wskich kalibrów 5,56 i 9 milimetrów.

PRZESPANE ZAGROŻENIE | W marcu 2023 r. rząd Morawieckiego przyjął niejawną uchwałę, która powoływała do życia Narodową Rezerwę Amunicyjną. Plan zakładał zakup miliona sztuk amunicji artyleryjskiej i rozbudowę produkcji takich pocisków w kraju, ale pozostał na papierze. Do końca epoki PiS na zwiększenie krajowych zasobów Polska nie wydała ani złotówki. Dopiero w grudniu 2023 r., tuż po zaprzysiężeniu, rząd Tuska podpisał umowę zakupu ok. 285 tys. sztuk amunicji 155 mm od Polskiej Grupy Zbrojeniowej. W umowie rząd nie zawarł jednak warunków, które zobowiązywałyby PGZ do rozbudowy mocy produkcyjnych i w gruncie rzeczy – jak wskazywali krytycy – dostawca pocisków mógł je nabyć od jakiegos zagranicznego kontrahenta i z zyskiem odsprzedać polskiemu wojsku.

Zarówno w armii, jak i wśród polityków różnych partii nadal nie brak orędowników zakupu uzbrojenia i amunicji za naszą zachodnią granicą. Kierunek niemiecki ma oczywiście wiele plusów, na czele z bliskością źródła dostaw, ale dyskwalifikuje go wydłużony czas realizacji. Niemieckie firmy zbrojeniowe produkują w ślimaczym tempie. Koncern Rheinmetall nadal nie wywiązał się z zawartego jeszcze w 2022 r. kontraktu na dostawę do Polski około 50 tys. sztuk amunicji kalibru 155 mm. Na razie nie ma też szans, by pustkę, jaką zostawiły polskie firmy państwowe, szybko wypełnił kapitał prywatny. Największy nasz prywatny producent amunicji, Grupa Niewiadów, planuje wprowadzić rozbudowę swojej fabryki amunicji wielkokalibrowej w Łódzkiem, ale produkcja ma w niej ruszyć za dwa lata i docelowo wynosić 180 tys. pocisków 155 mm rocznie. Nawet po zwiększeniu mocy produkcyjnych fabryki w Niewiadowie będą w stanie dostarczyć co roku tyle amunicji wielkokalibrowej, ile w warunkach pełnoskalowej wojny polska armia zużyje – w złych okolicznościach – w trzy dni.

©P

Krajobraz z raną

JULIUSZ PIELICHOWSKI

Jest mu wszystko jedno, bo na pewno tu nie wróci. Ciężko mu będzie pożegnać się z tym miejscem, ale jeszcze trudniej byłoby zostać. – Jestem jak ten dom – mówi, pokazując budynek bez szczytowej ściany, odstawiający to, co powinno pozostać skryte.

NA PROGU ZIMY KRAJOBRAZ NAD BIAŁĄ Łądecką wydaje się bardziej огоłocony niż na równinach rozciągających się na północ od gór. Brzegi rzeki, która pod koniec lata wylała się z koryta, w większości są uprzątnięte. Dawno nie było tu tak czysto. Dawno nie było tu tak pusto. Drzewa i zarośla, niegdyś panoszące się nad wodą, w wielu miejscach zniknęły. Z daleka wzrok przyciągają pomarańczowe plamy – wnętrza ściętych przy samej ziemi olch.

Gdzieś mieszkać muszą

Wyżej w górach w nocy spadł śnieg. Gdzieniedzie widać przewrócone płoty, których przez trzy miesiące nikt nie podniósł. Jednak krok po kroku życie wraca do dawnego rytmu. W sobotnie przedpołudnie mieszkańcy Żelazna i Ołdrzychowic oddają się codziennej krzątaniu; ich spojrzenia wyglądają na spokojne. Słysząc śmiechy, można też dostrzec świąteczne dekoracje i ulec złudzeniu, że atmosfera jest tu taka sama, jak w tysiącach innych miast i wsi, gdy rok gładko wpada w znajome koleiny grudnia. Tylko blaknące zacieki na niektórych domach zdradzają, jak wysoko sięgała woda. Na większości budynków tynki zostały skute, zaświadczaając, że ich właściciele się nie poddali, walcząc o domy, w których wielu z nich nie chce dłużej mieszkać. Ale gdzieś mieszkać przecież muszą.

Zatrzymuję się w Trzebieszowicach. W sobotni wieczór 14 września musiałem zostawić tu samochód, bo droga na Łądek była już nieprzejezdna – od tamtego dnia upłynęła epoka. Całą jesień trwało wielkie sprzątanie i walka z materią, która przypląnęła gwałtownie, czyniąc niewyobrażalne spustoszenie. Ten chaos jest dziś już „tylko” w pamięci.

Na moście spotykam faceta, który przygląda się pracy koparki. Przez chwilę patrzymy razem w milczeniu, jak maszyna unosi w górę ziemię i kamienie. Większość terenów nad rzeką została już wyrównana przez wojsko, ale wydaje się nienaturalnie naga, jak gdyby oczekując na wypełnienie treścią. Nie tak dawno wszystko wokół było pod wodą, brunatną i rwącą. Dziś płytka rzeka jest krystalicznie czysta, wręcz błękitna od przecierają-

cego się nieba. Ostatnie słowa wypowiedam na głos.

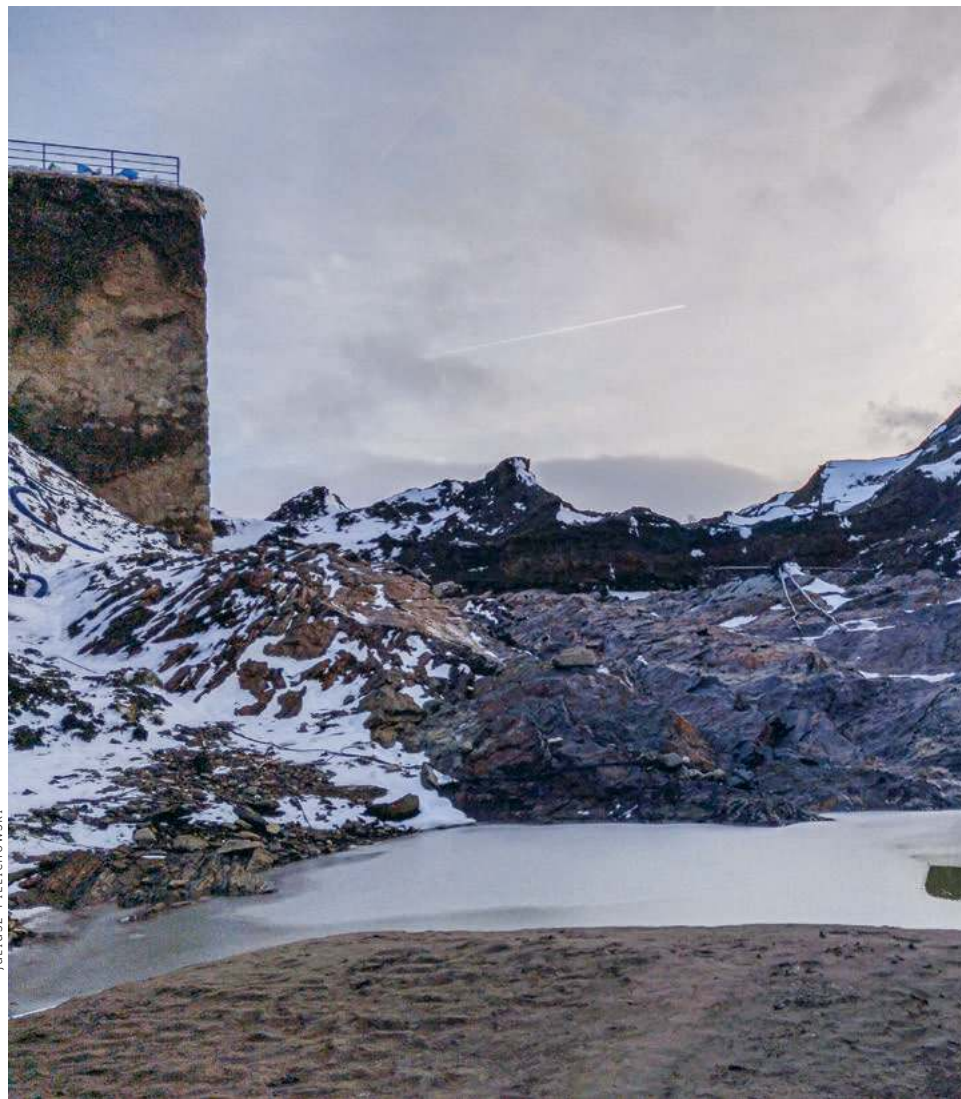
– Seledynowa – poprawia mnie mężczyzna obok. W jego głosie słyszę obojętność.

Ruszam dalej w górę rzeki. W stronę Radochowa, Łądkę, Stronia, nadrzecznej krainy, gdzie rany jeszcze się nie zabiły.

Szkielety w słońcu

Przy jednym z wjazdów do Radochowa, w zwiedłej trawie, wciąż tkwi wrak samochodu, który stał się ofiarą rozjuszonych rzeki. W całej dolinie były ich dziesiątki, jeśli nie setki. Niektóre, pogięte w fantazyjne kształty, wyglądały jak po najcięższych *crash* testach. Z tych, które dostały się w sam środek nurtu, rwąca woda zdarła niemal cały lakier. Ich budzące grozę szkielety lśniły potem w słońcu.

Tegoroczna jesień była wyjątkowo łaskawa dla powodzian. Słyszę to z ust niemal każdego, z kim rozmawiam. Gdyby nie kilka suchych i ciepłych tygodni,



zima byłaby dużo trudniejsza. Choć i tak będzie trudna.

W dolnej części Radochowa, w okolicy dawnego gospodarstwa rybnego, wciąż zieje szeroka na kilkadziesiąt i długa na dwieście metrów wyrwa. Nic nie zostało z wału przeciwpowodziowego ani pokrytej asfaltem drogi. Uwagę od razu przykuwa dom, którego ściana szczytowa zawalila się, odsłaniając skryte przez przeszło sto lat wnętrza. Zaglądam do widmowych sypialni, pokoi, kuchni. Być może właśnie tu dramat objawia się najmocniej: w brutalnym odsłonięciu tego, co w każdym życiu najbardziej prywatne.

Jeden z mieszkańców opowiada o ostatnich miesiącach, które spędził w przydzielonym przez gminę mieszkaniu w Łądku-Zdroju. Choć otrzymał już część pieniędzy obiecanych przez rząd, a ubezpieczyciel wypłacił – zaniżone, ale jednak – odszkodowanie, blisko 70-letni człowiek nie potrafi powiedzieć, co dalej. Mówi, że sam nie wie, po co tutaj przyjeżdża. Na odchodnym rzuca,

że po 1997 r. niemal wszyscy wzięli sobie do serca słowa ówczesnego premiera i się poubezpieczali, przynajmniej tyle. Gdy pytam, czy jest za budową zbiornika, który mógłby zapobiec kolejnej katastrofie, przystaje i przez chwilę milczy. W końcu odpowiada, że jest mu wszystko jedno, bo na pewno tutaj nie wróci. Ciężko mu będzie pożegnać się z tym miejscem, ale jeszcze trudniej byłoby tu zostać.

– Jestem jak ten dom – mówi, wsiadając do auta.

Podbierak, regał, książka

Tuż po powodzi w całej dolinie przez długie tygodnie można było spotkać poszukiwaczy przygód i skarbów. Razem z żołnierzami WOT i strażakami, kierując się jednak odmiennymi pobudkami, przetrząsali okolicę. Jeszcze w listopadzie, kilka kilometrów w górę rzeki, spotkałem dwóch. Spojrzeli na mnie nieufnie i wrócili do metodycznego przerzucania głazów i otoczków.

Na początku grudnia nad rzeką ostały się już tylko resztki, które na nic nikomu się nie zdały: stary podbierak, przemozczony materac, napuchnięty regał, zniszczone książki. Podnoszę jedną, jest bez okładki, króć czcionki zdradza, że zaadresowana była do dzieci. Przewracam kilka kartek, są posklejane, przybrudzone. Mój wzrok przykuwa obrazek krasnala na tratwie. Odczytuję pierwsze zdanie bajki: „Szeł krasnalsi spacerował brzegiem Odry”. Sam po chwili idę dalej piaszczysto-kamienistym brzegiem rzeki, której szum dobiega mnie od strony pobliskiego urwiska. I ono zostało podmyte, odsłaniając przed ciekawskimi oczami czarne, ziemiste wnętrza wzniesienia.

Wieś tonie w ciszy. Dolina zasnuta jest dymem z ognisk i kominów. Ci, którzy musieli zostać – albo ci, których los oszczędził na tyle, że zostać mogli – korzystają z pogody i wykonują drobne prace wokół ciężko doświadczonych domów. Stoje przed drewnianą chałupą z końca XVIII wieku, pozbawioną fundamentów; trzy miesiące temu ogromna woda uniosła ją i przesunęła o kilka metrów. Nadaje się już tylko do rozbiórki.

Dolina, którą nieźle znałem, przestała istnieć. Przed odjazdem z belki nad połamanymi drzwiami wejściowymi odbijam

szczytorem tabliczkę z numerem. Radochów 69 przechodzi do historii.

Martwa ulica

Jadę do Łądku. Poniżej szosy, nad samą rzeką, ciągnie się ulica Langiewicza. W tle widać ośnieżone szczyty Śnieżnika i Czarnej Góry. Większości z raptem kilku budynków, które ostały się po powodziach w 1997 i 2010 r., nikt już nie będzie ratował. I tu nieistniejące ściany odsłoniły to, co powinno pozostać zasłonięte.

Jeden z mieszkańców – którego dom jakimś cudem nie ucierpiał tak bardzo jak pozostałe, mimo że woda wlewała się do środka oknami, a nurt wylała drzwi z kuchni do przedpokoju – za otrzymane w ramach ubezpieczenia i pomocy państwa pieniądze zdążył już kupić mieszkanie w centrum miasteczka. W miejscu, którego woda nigdy nie dosięgnie. Choć dzięki jego zapobiegliwości los obszedł się z nim lepiej niż z wieloma innymi, w wypowiedzanych słowach i zachowaniu dostrzegam cień rezygnacji.

– Zostały mi psy – mówi poruszony, wskazując na dwa nieduże mieszańce, poszczekujące przyjaźnie zza siatki ogrodzeniowej. – Codziennie przyjeżdżam je karmić. Śpią w domu. Wstawiłem im tapczan, żeby miały wygodniej.

Mężczyzna, który całe życie przeżył w promieniu kilkunastu kilometrów, wyciąga zza pazuchy roboczego płaszczka plik zdjęć z poprzednich powodzi. Zabrał je ze sobą do urzędu, by udokumentować skalę strat. Pokazuje mi m.in. fotografię czerwonego malucha, którego w 1997 r. woda przewróciła na dach. Pytam, czy ma nadzieję. Mówi, że tak. Przeżył 84 lata i nadal kocha życie. Wydaje się być zawstydzony tym, jak to powiedział. Kocha życie, ale tutaj wracać nie chce – choć wie, że domu najpewniej nie uda się sprzedać, a nawet jeśli, to za ułamek wartości.

– To jest martwa ulica. Kto chciałby tu mieszkać?

Gdy się rozstajemy, wręcza mi na pamiątkę kilka zdjęć. Na jednym przed domem otoczonym białym płótem stoi elegancka kobieta. Obok niej krwistoczerwony fiacik.

Herbaciarnia się nie poddaje

Na wjeździe do centrum miasteczka moją uwagę przykuwa balustrada mostu drogowego. Sfatygowana i pogięta przez napierającą wodę, po wszystkich jeszcze raz →



Zniszczony wał ziemny przy tamie w Stroniu Śląskim, 7 grudnia 2024 r.

→ została postawiona do pionu, by do czasu remontu wciąż służyć mieszkańcom. Na środku mostu, w niszy, w której dawniej można było przystanąć, by popatrzeć na rzekę w dole, jaśnieją w słońcu zielonkawie cyfry: 1928.

Łądecki Rynek sprawia wrażenie uprzątniętego. Gdy jednak przyjrzeć mu się bliżej, widać, że to tylko pozór, któremu ulega oko przyzwyczajone do obrazów niewyobrażalnych nieszczęść. Gdzieniedzie braki w kostce i zacieki na murach zdradzają, co całkiem niedawno miało tu miejsce. W niektórych oknach wciąż brakuje szyb. Upłynęła lata, zanim podupadający również i przed powodzią plac rzeczywiście odżyje.

Kieruję się w stronę pierzei, na której swoją siedzibę miał teatr lalkarski. Dawna witryna, z zawieszonym nad wejściem szyldem „Akademia Wyobraźni”, jest dziś zabita naглуcho – teatr nie wrócił już do swojej siedziby. Kilkanaście kroków dalej mieściła się Herbaciarnia Pod Filarami. Ku mojemu zaskoczeniu widzę, że wznowiła działalność. Za szybą dają się dostrzec sylwetki ludzi. Próbuje otworzyć drzwi, ale ani drgną. Ze środka dobiegają kobiece głosy, żeby pchać mocniej; w końcu drzwi ustępują. Właścicielka tłumaczy, że wypaczyły się od wilgoci. Wewnątrz jest ciepło i przytulnie.

Na pytanie o minione tygodnie, po raz kolejny najwięcej komplementów pada pod adresem strażaków i żołnierzy. Jeśli chodzi o pomoc, państwo zdało egzamin. Ale przede wszystkim zdali go ludzie – zwłaszcza ci anonimowi, którzy tygodniami ślali pomoc do dotkniętej kataklizmem doliny. W pewnym momencie darów było tak dużo, że nikt nie wiedział, co z nimi robić. Rozmawiamy o przyszłości. Nikt nie ma wątpliwości, że będzie lepsza. Czy dobra? Nie wiadomo.

Herbaciarnia stanowi jedno z niewielu miejsc, które odżyły; wśród mieszkańców dominuje raczej poczucie niepewności. I nie wszystko – może nawet bardzo niewiele – da się sprowadzić do kwestii czyśto materialnych. Jedna z kobiet opowiada o strachu, który wciąż odczuwa.

– Wystarczy, że jeden dzień popada, i wszystko do mnie wraca.

W miasteczku wielu podpisałoby się obiema rękami pod tymi słowami. Na miejskiej tablicy ogłoszeń wzrok przykuwa przypięta pinezkami ulotka, informująca o bezpłatnej pomocy psycholo-

Przeżył tu całe życie,
ale po powodzi kupił
mieszkanie w mieście.

W starym domu zostały psy.

Codziennie przyjeżdża
je karmić. Śpią w środku.

**Wstawił im tapczan,
żeby miały wygodniej.**

gicznej dla powodzian. Choć miasteczko najgorsze ma już za sobą, to niektóre rany goją się długo. I różnią się od siebie rodzajem i głębokością. Na ulicy ktoś mówi do swojej towarzyszki, że to teraz miasto duchów. Zauważalne tu i ówdzie pozostałości upiornego oblicza wielkiej wody na swój sposób zdają się to potwierdzać.

Rana w Stroniu

Ruszam w stronę miejsca, w którym wrześniey dramat się rozpoczął. W Stójkowie dolina Białej Łądeckiej zwęża się miejscami do stu, może stu pięćdziesięciu metrów. Domy położone w dole nad rzeką nie miały szans. Jak w innych miejscach, i tu widać ogrom pracy, jaką po powodzi wykonały służby, przede wszystkim wojsko. Mimo to wiele domów nadal stoi pustych, a ich los jest niepewny. Za sprawą stromych zboczy z całą wyrazistością widać, jak bezwzględnie poziom wody podzielił mieszkańców na tych, którzy stracili niemal wszystko, i tych, których los oszczędził.

I tu brzeg rzeki jest nagi. Śmieci zniknęły, ziemia została splantowana. Przypominam sobie wiśniową skodę 100, zbłąkaną przybystkę z lat 70., która jeszcze kilka tygodni temu stała pod jedną z wielkich mobilnych lamp, ustawionych w okolicy przez żołnierzy. Rozświecłały mroki odciętych od prądu miejscowości. Trafiłem na to auto któregoś późnojesiennego wieczoru. Na nagiej nadrzecznej ziemi, zanurzona w mocnym świetle reflektorów, skoda sprawiała wrażenie, jakby spoczywała tu poza czasem.

W Stroniu język i wyobraźnia zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Nigdzie ogrom zniszczeń nie był równie duży. Przestały istnieć nie domy, a całe ulice. Nagle tworzyły się widoki i perspektywy,

których od dziesięcioleci nikt tu nie widział.

Jadę w stronę tamy na Morawce. Pierwszy most drogowy, na wjeździe do miasteczka, wciąż jest nieczynny. Droga prowadzi wzdłuż budynku dawnej huty szkła kryształowego Violetta. Znam te miejsca od zawsze, ale ich nie rozpoznaję. Jak gdyby zostały podmienione. Nie wiem, dlaczego przypomina mi się biblioteka po drugiej stronie rzeki. Na zawsze zrosła się dla mnie z lekturą „Jesieni patriarchy” Márqueza. Surrealizm niekończącej się agonii.

Większość budynków, które runęły pod naporem wody, jest już rozebrana. Pnę się w górę rzeki i próbuję ośwoić wzrok ze Stroniem, które dopiero odzyskuje przytomność po ciosie, jaki spadł na nie w nieodległe niedzielne południe. Nie mam wątpliwości, że miasto podniesie się z ruin. Jak będzie z jego mieszkańcami? Czy wszyscy zechcą mu zaufać i nadal wiązać z nim swój los? Wciąż nic tu nie wydaje się pewne. Matka stojąca obok z córką, która jak ja przygląda się pustym przestrzeniom, na których być może staną nowe domy, wykonuje pełen rezygnacji gest i mówi, że nie ma już siły rozmawiać.

Po kilkunastu minutach stoję na koronie ziemnego wału, który 15 września pękł i sprowadził kataklizm na położone poniżej ulice, domy oraz miejscowości rozłożone na brzegach Białej Łądeckiej. Woda odsłoniła tu fragment czerwonej skały. Robię zdjęcie, wysyłam bliskiej mi osobie i podpisuję: tama w Stroniu. Być może robię to niedokładnie, bo autokorekta zmienia „tama” na „rana”. Tak. Rana w Stroniu.

■■■

Zbliża się zachód słońca. Z dna suchego zbiornika nagle podrywa się ptak i odlatuje na południe, w stronę gór. Czapla. Kilka godzin wcześniej, gdy szedłem wzdłuż pozbawionego drzew i jakiegokolwiek roślinności brzegu Białej Łądeckiej, szarego od kamieni, widziałem jeszcze jedną czaplę. Od zawsze można je spotkać w tych stronach. A więc to jedno się nie zmieniło. Choć z ludzkiej perspektywy zmieniło się niemal wszystko. Chłód nadciągającego wieczoru sprawia, że ziemia i woda na powrót zamarzają. Ruszam w drogę powrotną.

© JULIUSZ PIELICHOWSKI



Trudna miłość

ANNA GOC

Lubimy nasz język, wystawiamy sobie z jego znajomości piątki i szóstki. Toczymy spory o poprawność. Dlatego każda reforma ortografii budzi tyle emocji.

PRZYPOMNIJMY SOBIE NAPIERW TEN ścisk żołądka, który wywoływało wypowiadane regularnie przez polonistki i polonistów słowo „dyktando”.

Książeczka jest niewielka, w czerwonej, miękkiej oprawie: „Zbiór dyktand dla klas I-VIII szkoły podstawowej”. Niedługie cytaty, różne poziomy trudności. Weźmy coś z rozdziału dla klas siódmych i ósmych.

„O majowym poranku deszcz ciepły i prząsny / Trafia w liście na oślep – prawie beżalaśny. / Kropki spadły i kurzu pociągnięte błoną, / Podskakują na piachu i wzajem się chłoną, / I wspólnie obrzmie-

wając, trwają same przez się / Aż je ziemia powoli uszczupli i wessie”.

Te małe tortury, fragment wiersza „O majowym poranku”, zawdzięczamy Bolesławowi Leśmianowi.

Czy tortury?

Choć dyktand nie wspominamy najlepiej (od tej reguły są wyjątki), to z badania przeprowadzonego przez Radę Języka Polskiego przy Prezydium PAN wynika, że co piąty Polak postawiłby sobie szóstkę z języka polskiego, a blisko czterdzieści procent – piątkę. Na trójkę i mniej oceniliby się zaledwie co dziesiąty ankie-

towany. Mężczyźni wystawiliby sobie nieco słabsze oceny od kobiet.

Lubimy nasz język. Być może wzmacnia nas w tym przekonanie, że jest jednym z najtrudniejszych języków świata, co potwierdziła połowa badanych. I chętnie się o niego kłócimy. Spory przy stole, w wiadomościach, w publicznych komentarzach, a nawet na stronach internetowych powstałych właśnie po to, by wytknąć komuś błędy – to nasza specjalność. Najchętniej o poprawność językową kłócą się młodzi (18 do 24 lat). Częściej spierają się mieszkańcy małych miast, rzadziej – dużych. „To tam, w małych miasteczkach, bije więc w internecie poprawnościowe serce Polski” – piszą autorzy badania.

I zapewniamy: „Nawet dla ortografii – tej szkolnej zmyry – mamy dużo przyjaznych uczuć. 68 proc. ankietowanych osób lubi »kropeczki« i »kreseczki« odróżniające ó od u, a 66 proc. ż od rz. I nie ma nic przeciwko rozróżnieniu w piśmie *h* i *ch*, choć różnicy w wymowie między nimi już się nie słyszy”.

Rację miał więc prof. Witold Doroszewski, który już w 1948 r. napisał: „Nad powierzchnią naszego zbiorowego życia od czasu do czasu wytryskują strumienie gorącej lawy uczuć, które się w ludziach gromadzą pod wpływem spraw ortograficznych”.

Nic dziwnego, że każda zapowiedź reformy ortografii budzi emocje.

Dla ludzi o mocnych nerwach

Tamten numer „Przekroju” wyszedł 29 września 1963 r. Tekst Walerego Piśarki, wówczas młodego magistra, sekretarza Komisji Kultury Języka PAN, pismo opublikowało na pierwszej stronie [wyżej na zdjęciu – red.].

„Za kilka dni ukaże się nowe wydanie »Pisowni polskiej« i wtedy co najmniej pół miliona słowniczków ortograficznych, znajdujących się obecnie w rękach nauczycieli, uczniów, w urzędach, wydawnictwach i u osób prywatnych, częściowo się zdezaktualizuje. Tym wszystkim, którzy nie będą mieli szczęścia zapoznać się w najbliższym czasie w nowy słowniczek, radzimy wymienione w tym artykule hasła poprawić w starym słowniku” – zaczął Pisarek.

I dalej: „Niewiele rzeczy potrafi tak poruszyć umysł i namiętność naszego społeczeństwa, jak sprawa zmiany ortografii. →

→ Dlatego uczestnictwo w pracach Komisji Kultury Języka PAN, która przygotowała właśnie nowe, trzynaste wydanie »Pisowni polskiej« to zajęcie dla ludzi o mocnych nerwach».

Walery Pisarek musiał mieć mocne nerwy, bo jego artykuł spowodował, że zapowiadana reforma ortografii została wstrzymana, a trzynaste wydanie „Pisowni polskiej” poszło na przemiał.

Ciąg dalszy jednak nastąpi

Część zmian, które w 1963 r. proponowali językoznawcy, wejdzie w życie dokładnie za rok – 1 stycznia 2026 r. I już raczej żaden artykuł ich nie powstrzyma.

Z prof. Piotrem Żmigrodzkiem, który kierował Zespołem ds. Reformy Ortografii Rady Języka Polskiego, spotykam się w jego gabinecie w Instytucie Języka Polskiego Polskiej Akademii Nauk w Krakowie.

– Największe spory o ortografię toczyły się chyba na linii Kraków–Warszawa? – zaczynam.

Profesor mówi, że do końca XVIII wieku ortografia polska nie była unormowana. W traktatach ortograficznych, które powstawały już od renesansu, zastanawiano się raczej nad tym, jak najlepiej zapisać dźwięki języka polskiego za pomocą alfabetu łacińskiego. Próby te analizują dzisiaj historycy języka i nie mają one wpływu na współczesną normalizację oraz kodyfikację ortografii.

– Poważna dyskusja o ortografii zaczęła się na przełomie XIX i XX wieku. Wtedy wykształciły się równoległe dwie grafie – warszawska i krakowska – mówi prof. Żmigrodzki.

Z jednej strony byli językoznawcy związani z Akademią Umiejętności w Krakowie, którzy opracowali własne zasady pisowni. Z drugiej twórcy ortografii warszawskiej – Jan Karłowicz, Adam Kryński i Władysław Niedźwiedzki – którzy upowszechnili ją w „Słowniku języka polskiego”, tzw. warszawskim, opublikowanym po raz pierwszy w 1898 r.

– W 1918 r. ukazała się „Pisownia polska ustalona” – z dwóch grafii, warszaw-

skiej i krakowskiej, językoznawcy pod przewodnictwem prof. Jana Łosia z Uniwersytetu Jagiellońskiego stworzyli spójny system – opowiada prof. Żmigrodzki.

I wyjaśnia, że instytucją, która miała kompetencje tworzenia normy ortograficznej, była Akademia Umiejętności, a od 1919 r. Polska Akademia Umiejętności, z siedzibą w Krakowie. Językoznawcy, którzy nadawali ton tej kodyfikacji, byli związani z Krakowem: Jan Łoś i Kazimierz Nitsch, a w późniejszych latach jego następcą Zenon Klemensiewicz.

– Inicjatywa była cały czas w rękach krakowskich. Choć kiedy w 1936 r. powołano komitet ortograficzny do przeprowadzenia kolejnej reformy, w jego skład weszło kilkadziesiąt osób, także przedstawiciele wydawców i dziennikarzy, warszawskie środowisko naukowe miało swoją reprezentację przede wszystkim w osobie prof. Stanisława Szobera. To jeden z głównych twórców tej reformy, nazywanej dziś niekiedy „wielką reformą”, gdyż większość zmian wówczas wprowadzonych obowiązuje do dziś. Wtedy nastąpiło ustalenie standardu ponadregionalnego, czyli pisowni ogólnopolskiej. Sporo miejsca poświęcono sprawom, które dzisiaj mogłyby się wydawać oczywiste, np. że piszemy „spichlerz”, a nie „śpichlerz” czy „szpichlerz” – mówi prof. Żmigrodzki.

– Wraz z powstaniem Polskiej Akademii Nauk w 1952 r. ciężar zaczął przesunąć się w stronę warszawskich językoznawców, przede wszystkim przez udział prof. Witolda Doroszewskiego – mówi prof. Żmigrodzki. – Kolejne zmiany uchwalono w 1956, ogłoszono w 1957 r., ich zakres był jednak stosunkowo niewielki.

Zagadkowa sprawa

I tak dochodzimy do 1963 r., czyli kolejnej, choć nieudanej, próby reformy ortografii.

– Sprawa do dzisiaj jest zagadkowa. Potrzebę wprowadzenia zmian ortografii zasygnalizowało Ministerstwo Oświaty,

a potem przygotowane przez językoznawców propozycje zatwierdziło. Po burzy, którą wywołał artykuł Walerego Pisarka, ministerstwo wydało komunikat, że proponowane zmiany powinny zostać jeszcze przedyskutowane. Ale już żadnej dyskusji nie było, zmiany nie weszły w życie. To był fundamentalny moment dla dalszej kodyfikacji ortografii – tłumaczy prof. Żmigrodzki.

Od tamtego czasu drobne zmiany ustalone przez Komisję Kultury Języka Komitetu Językoznawstwa PAN nie były ogłaszane publicznie, ale po prostu wprowadzane do kolejnych wydań słowników ortograficznych. Istotnym momentem stała się publikacja dużego słownika ortograficznego PWN pod redakcją Mieczysława Szymczaka w 1975 r. Zamieszczono w nim obszerny zbiór zasad pisowni i interpunkcji, który, uzupełniany i modyfikowany w kolejnych latach, zyskał status obowiązującej kodyfikacji pisowni. – Gdy w 1996 r. powstała Rada Języka Polskiego przy Prezydium PAN i uzyskała prawo do ustalania zasad pisowni, a jej pierwszym przewodniczącym został prof. Walery Pisarek, wróciły pytania o reformę ortografii – opowiada prof. Żmigrodzki.

Najczęstsze błędy

Zmiany, które wejdą w życie za rok, dotyczą konwencjonalnych zasad pisowni, czyli tych, które nie wynikają z historycznych czy systemowych uwarunkowań, tylko zostały ustanowione przez językoznawców.

– Staraliśmy się znaleźć te reguły, które sprawiają szczególnie kłopot. Użytkownicy języka nie wiedzą, dlaczego niby-artysta piszemy z łącznikiem, a nibynóżki – łącznie. Nie wiedzą, bo te zapisy nie mają żadnego uzasadnienia lingwistycznego – wyjaśnia prof. Żmigrodzki. – Ważne było także ujednolicenie pisowni tam, gdzie popełniamy najwięcej błędów.

– Czyli?

– Na przykład wystarczy przeanalizować pisownię nazw cmentarzy w lokalnej prasie, by zobaczyć, że wyraz „cmentarz” jest zapisywany raz wielką, raz małą literą – mówi. – Obecna zasada regulująca tę pisownię jest trudna do praktycznego zastosowania.

Zmian jest jedenaście. Najpierw pracował nad nimi Zespół ds. Reformy Pisowni, który spotykał się regularnie.

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Wynikiem były propozycje, które przedłożono na posiedzeniu plenarnym Rady Języka Polskiego. Każda ze zmian była głosowana osobno, zwykle przyjmowano je przytłaczającą większością głosów lub jednogłośnie.

Tuż-tuż albo tuż tuż

Prof. Ewa Kołodziejek, członkini Zespołu ds. Reformy Ortografii RJP, omawia wybrane zmiany.

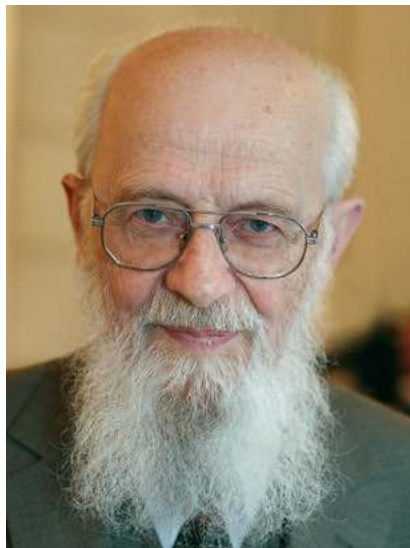
Od 1 stycznia 2026 r. wielką literą będziemy pisać nazwy mieszkańców miast, wsi, osiedli, dotąd pisane literą małą.

Wielką literą będą zapisywane nazwy firm, marek i modeli wyrobów przemysłowych, lecz także pojedyncze egzemplarze tych wyrobów. – Teraz trzeba pisać „samochód marki Mazda”, ale „jeźdź mazdą”. Wielu użytkowników języka nie rozumie tej różnicy, dlatego w nowych zasadach w każdym kontekście markę samochodu czy innego produktu będziemy pisać wielką literą – mówi prof. Ewa Kołodziejek.

Małą literą zapiszemy przymiotniki, które tworzymy od nazw osobowych, na przykład „dramat szekspirowski”. – Teraz decyduje kontekst: wielką literą piszemy przymiotniki dzierżawcze odpowiadające na pytanie „czyj?”, a małą przymiotniki jakościowe, odpowiadające na pytanie „jaki?”. Na przykład: „epopeja Mickiewiczowska”, czyli epopeja Mickiewicza, ale „rok mickiewiczowski”, tj. rok poświęcony Mickiewiczowi. Niewielu piszących potrafi to odróżnić – komentuje prof. Ewa Kołodziejek.

Człon „pół” będzie zapisywany łącznie w połączeniach dwóch wyrazów oznaczających jedno pojęcie, np. „(mówić) półzartem, półserio”. Obecnie obowiązujące zasady nakazują rozłączną pisownię tych wyrazów, chociaż liczebnik „pół” pisze się łącznie w wyrazach występujących samodzielnie: „półgłosem” albo „półbokiem”.

Pisownia wyrazów równorzędnych, podobnie brzmiących będzie trojaka. Będzie można pisać z łącznikiem: „tuż-tuż”, z przecinkiem: „tuż, tuż”, rozłącznie: „tuż tuż”. – Obecne zasady nie są konsekwentne, na przykład „hop, hop” pisze się z przecinkiem, ale „tuż-tuż” z łącznikiem. W efekcie każdy pisze po swojemu. Niektórzy pytają, czy na przykład „kogel-mogel” będziemy pisać z przecinkami. Zgodnie z zasadą będzie taka możliwość, ale nie sądzę, by piszący zmienili swoje



TOMASZ BARAŃSKI / REPORTER

Walery Pisarek musiał mieć mocne nerwy, bo jego artykuł spowodował, że zapowiadana **reforma ortografii została wstrzymana.**

przyzwyczajenia. „Kogel-mogel” piszemy głównie z łącznikiem, rzadziej rozłącznie, pisownia z przecinkiem nie jest notowana – wyjaśnia.

Ujednoliconą zostanie też pisownia nazw obiektów przestrzeni publicznej. – Obecnie wszystkie wyrazy stojące na początku nazwy pisze się małą literą: aleja, brama, bulwar, park itp. Choć są wyjątki, np. pałac Łazienkowski, pałac Pod Globusem, ale Pałac Staszica, Pałac Kultury i Nauki. Można się pogubić. W praktyce przeważa pisownia wielką literą wszystkich członów nazwy własnej: Pomnik Czynu Polaków, Zamek Książąt Pomorskich, Brama Warszawska, Most Poniatowskiego, Pałac Ziemstwa Pomorskiego, Park Kasprzowicza. Jedynie wyraz „ulica” będzie pisany małą literą, gdyż nie uznajemy go za element nazwy własnej – mówi prof. Kołodziejek. – Chodzi o uspojnienie zasad, eliminację wyjątków, o ujednolicenie pisowni poszczególnych grup wyrazów i połączeń wyrazowych. Ortografia jest dla nas ważna, a zasady powinny być dostosowane do potrzeb użytkowników języka – podsumowuje.

Ostateczny argument

Prof. Iwona Burkacka, która także uczestniczyła w pracach Zespołu ds. Reformy

Ortografii RJP, podkreśla, że o niektóre z proponowanych zmian dopytywali użytkownicy języka.

– Dlaczego „super” powinno się pisać łącznie z rzeczownikiem? W pytaniach dodawano czasem, że przecież nikt tak dzisiaj nie pisze. Nie jest tak, że „nikt tak nie pisze”, ale wystarczy szybki przegląd mediów czy ogłoszeń, by znaleźć „super okazję” pisaną oddzielnie. Czasami ktoś argumentował: dlaczego „superksiążka” ma być pisana łącznie, a „interesująca książka” – oddzielnie?

I dodaje: – Zapożyczamy wyrazy, nadajemy słowom nowe znaczenia, zmieniają się też nasze językowe upodobania. Dlatego głos użytkowników języka jest dla językoznawców ważny.

– O co ludzie pytają najczęściej?

– O pisownię wielką i małą literą, np. o to, dlaczego nazwy mieszkańców miast zapisujemy małą literą. Pytano o zapis nazw kościołów czy zamków, a także innych obiektów przestrzeni publicznej, bo widziano różne warianty pisowni, trudno było się w tym odnaleźć. Pałac Staszica czy Pałac Kultury i Nauki wielką, a inne małą?

– Dlaczego ortografia jest tak ważna dla Polaków?

– W jednym z artykułów prof. Mirosław Bańko napisał, że dla Anglika czy Niemca najważniejszym słownikiem będzie słownik ogólny danego języka, dla Polaka – słownik ortograficzny. Żywe jest też przekonanie, że nieznaną regułę ortograficzną świadczy o brakach w wykształceniu, wpływa na ocenę innych umiejętności – mówi prof. Burkacka. – Gdy w publicznych dyskusjach brakuje argumentów merytorycznych, wytknięcie błędu ortograficznego traktowane jest jako coś dyskredytującego.

Za rok o tej porze

Czy w styczniu 2026 r. będziemy mogli napisać, że „co najmniej pół miliona słowniczków ortograficznych częściowo się zdezaktualizuje”?

– Nowe wersje słowników będą musiały powstać, choć dzisiaj to będzie znacznie łatwiejsze, bo spora część z nich jest dostępna także w wersji elektronicznej – mówi prof. Żmigrodzki. – Warto pamiętać, że z zasadami pisowni nie jest tak jak z przepisami prawa: żadna sankcja nam nie grozi za popełnienie błędu. Poza społeczną.

© ANNA GOC



TYGODNIK POWSZECHNY

*Pragniemy wyrazić naszą wdzięczność
Partnerom, Mecenasom i Przyjaciółom Tygodnika
za okazaną w minionym roku życzliwość i wsparcie.*

*Reklamodawcom, instytucjom i firmom współpracującym z Tygodnikiem
dziękujemy za udział w realizowanych projektach.*

Życzymy Państwu wielu sukcesów w 2025 roku

TOMASZ

Stawiszyński: *Mangione i inni, opowieść o przemocy*



ZAUWAŻALNA CZĘŚĆ INTERNETU (A ZATEM po prostu społeczeństwa) ma od niedawna nowego idola. Posty chwylące jego dokonania osiągają rekordowe liczby polubień i udostępnień, teoretycy „walki z systemem” tworzą kolejne przychylne mu interpretacje,

a gadzety z jego wizerunkiem sprzedają się znakomicie. Nie dzieje się to wyłącznie w Ameryce, zresztą w epoce wirtualnej globalizacji nic nigdy nie dzieje się w jednym miejscu, wszystko wydarza się wszędzie i równocześnie. Także w Polsce wyroili się już rozmaici apostołowie owego bohatera, który wślawił się tym, że – jak czytamy na pewnym skrajnie lewicowym profilu – „odklikał” (cytat dosłowny) Briana Thompsona, dyrektora generalnego firmy UnitedHealthCare. Chodzi oczywiście o Luigię Mangione, starannie wykształconego, pochodzącego z rodziny potentatów w branży handlu nieruchomościami 26-latkę, który 4 grudnia na Manhattanie zamordował Thompsona z zimną krwią, strzelając mu kilkukrotnie w plecy.

Co w tym czynie jest bohaterskiego, co jest bohaterskiego w samym Mangione? Otóż – przekonują jego polscy fani – jest to bojownik z niesprawiedliwym systemem. Mściciel, który wziął odwet na bezwzględnych krwiopijcach, od lat żerujących na znojach zwykłych obywateli. Może nawet prorok nadchodzącej rewolucji, która zaprowadzi wreszcie wolność, równość i braterstwo. Czemu na pierwszy ogień wziął Thompson? A czym się szef wielkiej korporacji różni od dyktatorów, których polityczne zabójstwa jakoś nas nie oburzają? Dlaczego mielibyśmy przykładać inną miarę do „zbrodniarzy kapitalistycznych” (znowu dosłowny cytat)? Beneficjentów barbarzyńskiego systemu, którego ofiarą – takie są domniemania – padł może sam Mangione, cierpiący na poważne kłopoty z kręgosłupem. Czy odmówiono mu finansowania z ubezpieczenia? Czy przekonał się na własnych niedolach, jak bezwzględnyymi zasadami rządzi się rynek usług zdrowotnych w USA?

Co ciekawe, na tym samym profilu można znaleźć ubolewania nad przemocą, jaką państwo polskie stosuje wobec aktywistów Ostatniego Pokolenia (chodzi o zapowiedź nieinwazyjnego przenoszenia ich na chodniki, jeśli postanowią blokować ulice bez uzyskania zgody na organizację protestu). Gdzieś indziej ci sami ludzie, którzy rozważają zalety Mangione i skwapliwie lajkują biorące go w obronę wywody, głośno potępiają pomysł wyemitowania w Kanale Zero wywiadu z Januszem

Walusiem – zabójcą afrykańskiego lewicowego polityka Chrisa Haniego. Ci z kolei, którzy Walusia uważają za śmiałką, walczącego z komunizmem w RPA, lamentują nad upadkiem moralności tych gloryfikujących zabójcę Thompsona...

Cóż, wbrew pozorom nie ma w tym nic osobliwego. Zarówno skrajna prawica, jak i skrajna lewica usprawiedliwiają przemoc jako środek, odpowiednio, przywracający harmonię przedustawną (skrajna prawica), albo przyspieszający nastanie harmonii przyszłej (skrajna lewica). Przy czym pojęcie „skrajna” rozumiem tutaj – najogólniej rzecz biorąc – jako „uznająca prymat idei nad faktami”. Czyli – co z tego prymatu wprost wynika – nie licząca się z potrzebami, wrażliwością, a nawet istnieniem tych, którzy mają odmienne wartości, przekonania i potrzeby. Słowem, nie licząca się z rzeczywistością. Za bardzo zapatrzona w teoremat, któremu realia, jak na złość, nieustannie stawiają opór. Żeby ten opór wyjaśnić, a jednocześnie zachować teoremat w mocy, potrzebny staje się ktoś, kogo da się za to obciążyć winą. Choć pod wieloma względami bardzo różne, zwłaszcza na poziomie deklaracji i retoryki, obie te postawy spotykają się więc tam, gdzie wyłania się figura uosobionej przeszkody. „Zbrodniarz kapitalistyczny”, „kułak”, „Żyd”, „lewak” itd. Element w ideologicznej układance, który należy przestawić, wyeliminować, „odklikać”, żeby cała reszta płynnie wskoczyła na właściwe miejsce. Nie-człowiek, pojęciowa abstrakcja.

W takim zideologizowanym krajobrazie zacierają się wszelkie różnice, w tym różnica pomiędzy krwawym dyktatorem a prezesem firmy działającej zgodnie z prawem i logiką rynku. Brutalną i niesprawiedliwą, to prawda, niemniej ustanowioną przez ustrój, który zmianę dopuszcza wyłącznie w ramach gry polityczno-wyborczej, nie przy pomocy karabinu. Dokładnie z tego samego powodu w takim zideologizowanym krajobrazie dochodzi do absurdałnych zniekształceń i inwersji. Młodociany psychopata zabijający niewinnego na chodniku to bohater, ale policja przenosząca na chodnik ludzi bezprawnie blokujących ruch drogowy to przykład straszliwej przemocy i opresji. Wróg polityczny zabijający jednego z naszych to degenerat i morderca, ale nasz pobratymiec robiący to samo to heros, którego wynosimy na sztandary (czy raczej T-shirty).

Na koniec zasadna wątpliwość: czy nie za wielką wagę przykładam tutaj do ideologii? Ostatecznie ludzie od dawna, zwłaszcza w epoce mass mediów, fascynują się zbrodniarzami bez żadnych teoretycznych kontekstów. Nic więc w przypadku Mangione nowego nie ma, może poza skalą, ale to z kolei efekt internetu i społecznościówek. Odpowiem, że przemoc rozprzestrzenia się najszybciej tam, gdzie pojawia się opowieść pozwalająca ideologicznie ją uzasadnić. Wpisać w etos, kodeks, szlachetny cel, projekt budowy lepszego jutra. Dlatego właśnie wobec wszelkich opowieści, w których jakaś grupa lub jednostka uporczywie blokuje nadejście nowego wspaniałego świata, należy zachowywać daleko idącą nieufność. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książki, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.



MROCZNA DOLINA

U progu 2025 roku z Doliny Krzemowej
płyną antydemokratyczne idee,
zimnowojenny militarizm i pochwała eugeniki. Dlaczego?

JAKUB DYMEK

BYŁ 6 LISTOPADA 2024 R. DONALD TRUMP ROZGOŚCIŁ SIĘ NA scenie. Za plecami mur amerykańskich flag. Na twarzy cwany, choć daleki od euforii uśmiech. Przyszedł czas, by podziękować rodzinie i bliskim, wyborcom i sztabowi, wolontariuszom i tym, którzy choćby dolarem wsparli go w walce. Słowem – ludziom, którym zwycięzca amerykańskich wyborów podziękować musi. Jednak ze wszystkich obecnych to nie jego małżonka, dzieci ani wnuki doczekały się wyrazów miłości. Człowiekiem, do którego powiedział „I love you”, był ktoś inny.

Adresatem najdłuższych i najbardziej wylewnych podziękowań był Elon Musk. Miliarder i człowiek, którego lista podbojów zdaje się nie mieć końca. Właściciel jednej z najważniejszych na świecie platform komunikacyjnych (X, dawniej Twitter), marki samochodów będącej synonimem elektrycznej rewolucji (Tesla), pożądaną przez rządy, wojsko i służby całego świata sieci satelitów i bezprzewodowej łączności (Starlink) oraz rakiet kosmicznych budzących zazdrość NASA (SpaceX).

Musk nie podbił jeszcze Marsa – co planuje – ale pomógł podbić Białą Dom. Był bowiem jednym z największych donatorów sztabu Trumpa, *spiritus movens* ostatnich tygodni jego kampanii i najbardziej medialną twarzą ruchu konserwatywnej technooligarchii, która postawiła w tym wyścigu na zwycięską kartę. Kartę Trumpa.

Liberalni komentatorzy, którzy z rosnącym niepokojem obserwowali prawicowy zwrot w Dolinie Krzemowej, uzyskali potwierdzenie swoich obaw.

Oto prezydenturę można sobie kupić, a granice żenady, korupcji i bezwstydu przestają obowiązywać. Prawdziwym zwycięzcą jest – przekonali – najbogatszy człowiek na świecie i jego głupkowate poglądy. Bo Elon – jeśli ktoś nie wie – z modelowego liberalnego demokracie przeistoczył się ostatnimi laty w marudnego wuja. Takiego, który kłóci się z własnymi dziećmi i pomstuje w internecie na neomarksizm, depopulację, podatki oraz migrantów. Teraz cały świat zostanie wzięty



Elon Musk (w środku) obserwuje start rakiety SpaceX Falcon 9 z załogowym statkiem kosmicznym Crew Dragon. Cape Canaveral, Floryda, USA, 30 maja 2020 r.

na zakładnika kryzysu wieku średniego jednego faceta! – łapali się za głowę.

Prawda jest jednak bardziej skomplikowana. Dolina Krzemowa nie dokonała zwrotu w prawo, tylko wróciła do korzeni. A Musk jest skutkiem, nie przyczyną.

KTO WYGRAŁ WYBORY | Co więc stało się w ostatnim roku w USA – a biorąc pod uwagę dominację amerykańskiego sektora technologicznego, na świecie? Nie chodzi przecież wyłącznie o „zwycięstwo Elona Muska”. Ani nawet wyłącznie samych Tech Bros, czyli „techno-ziomali”, jak protekcyjnie pisze o nich amerykańska prasa. Za Trumpem stoi nie jeden Musk, lecz sztafeta wywodząca się ze skrzyżowania światów technologii, przemysłu zbrojeniowego i funduszy typu *venture capital*. Synowie Trumpa i jego zięć Jared Kushner sami udzielają się w przedsięwzięciach technologicznych, w tym w sektorze kryptowalut. Również entuzjaście kryptowalut, Howardowi Lutnickowi, Trump powierzył rolę wiceszefa swojego gabinetu przejściowego przed inauguracją 20 stycznia i obiecał kluczowe stanowisko sekretarza handlu w nowej administracji.

Wiceprezydent JD Vance również był związany z branżą technologii i funduszy *venture capital*. Zaś firmą, której akcje urosły dzięki zwycięstwu Trumpa najbardziej, jest Palantir. Na-

zwany od widzącego kamienia z „Władcy Pierścieni”, zajmuje się dostarczaniem algorytmów predykcyjnych wojsku i agencjom wywiadowczym. I tak się składa, że założyciel Palantira, Peter Thiel, to nie tylko partner biznesowy Muska i mentor Vance’a. To właśnie Thiel był jednym z pierwszych ludzi, którzy przed 2016 r. postawili na Trumpa.

O ile w 2016 r. wsparcie Trumpa było gestem ekstrawagancji, dziś największe nazwiska sektora technologii i funduszy *venture capital* – jak choćby Mark Andreessen i Ben Horowitz – podjęły wręcz licytację, kto poprze go głośniejsze. No i nie można zapominać, że sam Trump – będąc np. współwłaścicielem platformy cyfrowej TruthSocial – jest przedsiębiorcą i inwestorem sektora technologii.

Powiedzieć, że ta część branży „zyskała wpływ” dzięki wygranej Trumpa albo „odcisnę piętno” na kolejnej administracji, byłoby eufemizmem. Jednak nie chodzi też wyłącznie o to, że wybory „kupił” Elon Musk.

PRZYGDODNI SOJUSZNICY | Światy wielkiej technologii i demokracji to przygodni sojusznicy. I często występuje między nimi napięcie. Z jednej strony każdy powie, że prawdziwy postęp, przedsiębiorczość i innowacyjność mogą kwitnąć wyłącznie w warunkach liberalnej demokracji – z jej wolnym rynkiem, ➔

→ swobodnym obiegiem idei, szacunkiem do różnic i pluralistycznym społeczeństwem. Z drugiej jednak, w demokracji można rozwojowi technologii postawić granice. Pracownicy i obywatele mogą się zbuntować, firmy muszą płacić podatki i poddawać się regulacjom, a pomysły innowacyjnych rozwiązań społecznych rozbijają się o przepisy, wyroki sądów i cykl wyborczy. Pojawia się sprzeczność. Bardziej zależy nam na postępie czy przestrzeganiu norm? I kiedy warto je zawiesić?

Inżynierowie i programiści postrzegają często innowację jako usuwanie „tarcia” – oporu, który czyni jakiś proces niepotrzebnie długim i kosztownym. Kiedyś, żeby mieć piękny koc, najłatwiej było samemu go utkać, spędzając na tym długie jesienne wieczory. Dziś można kliknąć i wkrótce pojawi się u nas paczka. Innowacja polega na tym, że po drodze od potrzeby do jej realizacji usunęliśmy mnóstwo kroków – tarcie.

Nietrudno zgadnąć, do jakich wniosków prowadzi przyjęcie tej optyki do życia społecznego i polityki. Demokratyczne głosowania, regulacje, prawa pracownicze, wyroki sądów, zakazy testowania produktów na ludziach, wreszcie podatki i sam monopol państwa na emisję pieniądza i kontrolę stóp procentowych – to wszystko tarcia, które spowalniają nas na drodze do utopii. Albo odwrotnie: blokują rozwiązanie najbardziej palących problemów współczesności. A problemy społeczne trzeba rozwiązywać. Kto umie rozwiązywać problemy? Inżynierowie i programiści. Wszystko, co stoi między problemem i rozwiązaniem, to zawracanie głowy. Logicznym rozwiązaniem jest więc dać więcej władzy (a przynajmniej nie krępować!) tym, którzy chcą i umieją. Jedynym rozsądnym sposobem uratowania demokracji jest ograniczenie demokracji. To chyba oczywiste!

ILUZJE I WIZJE | „Im bardziej rządy krajów w świecie zachodnim wycofywały się z obietnicy dobrobytu, postępu i wielkich wizji społecznych jako takich, tym większa była luka w naszym myśleniu o przyszłości. I ona aż się prosiła, by ją wypełnić. W tę lukę weszli technologiczni miliarderzy i Dolina Krzemowa” – tłumaczy Paris Marx, autor podcastu „Tech Won’t Save Us”. Teraz, jak przekonuje, to najbogatsi obiecują wielkie wizje i zaprzęgnięcie technologicznej precyzji do rozwiązywania problemów świata. W zamian oczekują tylko tego, by im nie przeszkadzać. „Ta narracja pozwala na osiągnięcie dwóch celów – dodaje Marx. – Z jednej strony na wypełnienie pustki po wizjach przyszłości, jakie porzuciło państwo. Z drugiej, na ugruntowanie wyjątkowego statusu Doliny Krzemowej i technologicznych miliarderów. Skoro tylko oni mogą nas uratować...” – mówi.

Nie może więc dziwić, że Musk zajmuje tak ważne miejsce w masowej wyobraźni. Jako twarz przedsięwzięć w rodzaju Tesli, SpaceX czy Starlinka dowodzi, że sektor prywatny dalej myśli o przyszłości. Z drugiej strony to maruda, który nie chce płacić podatków i wszędzie widzi przeszkody. W końcu sam decyduje się wejść do rządu, by poddać go terapii odchudzającej. W tym celu powołany zostanie dla niego nawet specjalny „departament” – choć niewchodzący w skład waszyngtońskiej administracji – do zwiększania rządowej efektywności. Niech rządzi ci, którzy przeszli prawdziwy test sprawczości, a nie banda biurokratów!

Jest w tej logice coś kuszącego – i pokusa, by przekazać ster władzy wąskiej elicie liderów biznesu, nauki i przemysłu, wraca

z porażającą regularnością. Ale, prawdę mówiąc, nawet ci miliarderzy, którzy głoszą antypaństwowe i libertariańskie poglądy, w rzeczywistości nie chcą upadku państwa i rządu federalnego. Przeciwnie: w ich projektach jest on niezbędny. Rząd i państwo nie ma przestać istnieć, tylko ma pracować na nich i ich interesy zabezpieczać.

NOWY WYŚCIG ZBROJEŃ | Słownik i świat skojarzeń Big Techów pełen jest dziś wielkich wizji i wielkich zagrożeń. Albo kolonizacja Marsa, albo ekologiczna katastrofa Ziemi. Albo życie wieczne i cyfrowa superświadomość, albo depopulacja i koniec cywilizacji. Albo służąca wszystkim, otwarta i powszechna Sztuczna Inteligencja, albo AI w rękach wrogów Zachodu i tyrania algorytmów narzucanych nam przez autokratów.

To istotna zmiana. Jeszcze 20 lat temu, z wyjątkiem odwołań do zagrożenia terroryzmem albo krzywdzenia dzieci, retoryka Doliny Krzemowej była ciepła i wesoła jak pocztówka z Kalifornii. Nowe technologie i smartfony miały nas uratować przed nudą i samotnością. A dziś słyszymy, że zagraża nam wymarcie gatunku, ugotowanie na płonącej planecie, bunt robotów i kolonizacja przez Chiny.

Przykłady? Proszę bardzo. Sam Altman, szef OpenAI, czyli twórcy ChataGPT, przekonuje, że ludzkość wchodzi w „decydującą epokę”. Jeśli nie podejmiemy właściwych decyzji, rządzić będą nami władcy „autorytarnego AI” z Rosji i Chin. Albo korzyści z wdrożenia AI przypadną w udziale USA i ich sojusznikom, albo... nie. I choć Altman nie mówi, co stanie się w tym drugim scenariuszu, to kategorycznie dodaje, że „nie ma trzeciej opcji”, a czas wyboru jest teraz.

Musk od lat przekonuje, że na świecie rodzi się za mało dzieci. „Załamane populacyjne wynikające ze zbyt niskiej liczby urodzeń jest dużo większym zagrożeniem dla ludzkości niż globalne ocieplenie” – obwieścił w 2022 r. na Twitterze. Na ich tle Mark Andreessen, który straszy „wyłącznik” końcem kapitalizmu i stoczeniem się USA w oligarchię nudziarzy i impotentów, jest wręcz optymistą. Podobnie jak nieco bardziej zachowawczy miliarderzy starszego pokolenia, którzy podkreślają ryzyko mutacji wirusów i nowych pandemii.

Obaw związanych ze sztuczną inteligencją, autonomiczną bronią czy katastrofami klimatycznymi jest tak dużo, że mają w Dolinie Krzemowej polemizujące ze sobą nurty i subkultury – pronatalistyczni *AI Doomerzy* przecinają się z libertariańskimi *longtermistami*. Jedno ich łączy. Za horyzontem zawsze czyhają zagrożenia związane z końcem amerykańskiego kapitalizmu i tryumfem naszych cywilizacyjnych i kulturowych wrogów. Musimy się bać, że pokonają nas ci, którzy pierwsi posiadają cudowną broń, uspią naszą czujność i wykorzystają dekadencję Zachodu przeciwko niemu samemu. Albo po prostu zalegą nas falą dzieci.

Jeśli komuś kojarzy się to z cyfrowo podkoloryzowaną wariacją na temat zimnej wojny, to słusznie. „W czym interesie jest przedstawianie rozwoju AI jako przestrzeni rywalizacji mocarstw i swego rodzaju wyścigu zbrojeń?” – pyta Amba Kak, dyrektorka w think tanku AI NOW Institute. I odpowiada: oczywiście, mają w tym interes ludzie zajmujący się dostarczaniem technologii na potrzeby militarne. Ale metafora służy całej branży. „Przyjrzyjmy się tej narracji, która dziś sprzedawana jest rządowi na całym świecie. Sztuczna inteligencja jest

tak kluczowa, że wspierania jej rozwoju nie można odpuścić. I nie chodzi już o to, żeby po prostu nie kępować rozwoju regulacjami i biurokracją. Państwa mają zadbać o to, by dostarczyć energię, infrastrukturę i inwestycje niezbędne do tego, żeby branża AI odniosła sukces. To wyjątkowy i ciekawy przypadek polityki przemysłowej. Widzimy tak naprawdę przedstawicieli przemysłu – w tym przypadku przemysłu AI – przekonujących rządy, że zadaniem państwa jest zasponsorować lub w inny sposób zagwarantować powodzenie tej konkretnej branży. Że to wręcz kluczowe dla samej demokracji...” – tłumaczy.

I to właśnie się dzieje. Jeśli AI – a szerzej, zaawansowane algorytmy – jest współczesnym odpowiednikiem bomby atomowej, to chyba oczywiste, że chcemy, by to „nasi” ją wyprodukowali?

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI | „Tamci” w nowej zimnej wojnie to oczywiście Chiny. To pomaga wytłumaczyć zbliżenie części Doliny Krzemowej z Trumpem.

Paris Marx: „Przez lata żyliśmy w przekonaniu, że Dolina Krzemowa jest z definicji wroga rządowi, bardzo wolnorynkowa, nieskora do współpracy z administracją itd. Nie chcą regulacji, nie chcą mieszania się w ich interes. Ale jest jeden obszar, gdzie to się jednoznacznie zmieniło: obronność i produkcja broni napędzanej AI, którą można sprzedać Departamentowi Obrony i później rządowi na całym świecie”.

W tym świetle nie tylko zimnowojenna, ale i coraz bardziej apokaliptyczna retoryka części sprzyjających Trumpowi miliarderów ma logiczne uzasadnienie. Skoro zagrożenia mają cywilizacyjny wymiar, to rząd nie powinien szczędzić pieniędzy na obronę i inwestycje w nowe technologie, prawda? Pamiętajmy, że to właśnie dzięki inwestycjom rządu USA w czasach zimnej wojny cieszymy się internetem, technologią GPS i taną energią z elektrowni atomowych. Jeśli jednak chcemy cieszyć się nią dalej – suflują głosy z Doliny Krzemowej – trzeba nie tylko kolejnych inwestycji, ale większego zaufania i deregulacji.

Sam Musk i jego SpaceX mają rządowych kontraktów na 15 mld dolarów. Departament Obrony finansuje ponad 800 projektów z dziedziny rozwoju autonomicznej broni wartych miliard rocznie. Palantir dostał w zeszłym roku dwa kontrakty warte ponad 100 mln dolarów każdy. Żeby na kolejne kontrakty ostrzy sobie bliźniaczy producent AI dla celów wojskowych, w tym broni autonomicznej, Andruil.

Z czasem rozróżnienie, kto oferuje cywilne, a kto militarne produkty technologiczne, staje się coraz mniej jasne. Gdy cały świat zajęty był śledzeniem finału wyborów w USA, kolejne firmy bez większego rozgłosu zapowiadały wejście ze swoimi produktami AI na rynek kontraktów Departamentu Obrony:



Jeśli AI – a szerzej,
zaawansowane
algorytmy
– jest współczesnym
odpowiednikiem
bomby atomowej,
to chyba oczywiste,
że chcemy, by to „nasi”
ją wyprodukowali?

SAUL MARTINEZ / GETTY IMAGES

Anthropic, Amazon, OpenAI, Meta i inni. Biuletyn informacyjny Automated Decision Making Research, który śledzi doniesienia z branży rozwoju militarnego AI i autonomicznej broni, donosi o kilku nowych projektach albo partnerstwach w branży tygodniowo.

Prezesi tych firm wiedzą dwie rzeczy. Po pierwsze, decyzja o wejściu na rynek zbrojeniowy będzie kontrowersyjna – nikt nie chce być jak producent napalmu Dow Chemical w trakcie protestów przeciw wojnie w Wietnamie. Po drugie, wejście na rynek zbrojeniowy jest nieuchronne. Dolina Krzemowa wie, że pieniądze wydawane na AI czy technologie kosmiczne to wciąż drobne w porównaniu z tym, co jest do wzięcia. Trzeba tylko umościć się w kluczowym miejscu. Odpowiedź na pytanie, dlaczego widzą w Trumpie i Vancie potencjalnych sojuszników, nie jest trudna.

To, że największe nazwiska świata technologii domagają się skoku w przyszłość, to – paradoksalnie! – powrót do przeszłości. Chodzi o status, jakim Dolina Krzemowa i kłaster łączący edukację wyższą, przemysł, konserwatywną politykę i wojsko, już się cieszyły. Wczorajszą walkę z ZSRR da się zastąpić starciem o prymat z Chinami. I nawet nie trzeba będzie rezygnować z antykomunizmu, który także i w przeszłości służył za smar

dla trybów kalifornijskiej maszyny na styku biznesu technologii i polityki.

Jeszcze raz Marx: „Presja, by wyeliminować Chiny z najbardziej wymagających i technologicznie zaawansowanych sektorów gospodarki, jest przecież jednocześnie szansą, by pozbawić amerykańskie firmy konkurencji. Z jednej strony służą temu sankcje, a z drugiej strony budowa systemu sojuszy na podstawie amerykańskiej technologii – który zmusza kolejne kraje do jednoznacznego wyboru, czy będą korzystały z amerykańskiej, czy chińskiej technologii”.

MATERIAŁ LUDZKI | „Gdy pytam przedstawicieli tych firm, czy zajmują się eugeniką, zaprzeczają. Gdy jednak ich pytam, czy zajmują się »polepszaniem materiału ludzkiego«, odpowiadają »No oczywiście, że tak!«”. To słowa Malcolma Harrisa, autora bestsellerowej historii Doliny Krzemowej, „Palo Alto”.

Harris trafił w dziesiątkę. Słowo „eugenika” niesie zbyt wiele mrocznych skojarzeń, jednak program promocji diety i długowieczności dla najbogatszych i najzdolniejszych, naukowe planowanie ciąży przez surogację i in vitro dla klasy średniej, publicznie refundowana eutanazja dla najuboższych... to zupełnie co innego!

Musk ma kilkanaścioro dzieci dzięki dobrodziejstwom zapłodnienia in vitro i surogacji. Thiel funduje badania nad przeciwciepleniem ludzkiej śmiertelności i cofnięciem procesu →

→ starzenia. Zwolennicy filozofii longtermizmu przedkładają pomoc zamożnym i bogatym mieszkańcom Zachodu (bo są bardziej produktywni) niż biednym i głodnym tego świata. Do racjonalnej pomocy humanitarnej i filantropii wzywa ruch Efektywnego Altruizmu – z którym kojarzono etyka Petera Singera i twórcę słynnej piramidy finansowej Sama Bankmana-Frieda.

Jednak w tym samym czasie, gdy największe firmy Doliny Krzemowej inwestowały w nowatorskie leki, terapie i eksperymentalną medycynę, nie sposób było zmusić je do zapłacenia podatków, by wyleczyć uzależnionych i zredukować plagę bezdomności w San Francisco, gdzie mają siedzibę. Dolina Krzemowa nigdy nie ustaje w przypominaniu, że prędzej pożegna się z demokracją i zaprowadzi nową formę apartheidu, niż zajmie się rozwiązywaniem problemów we własnym sąsiedztwie.

„Czy to możliwe, by uleczyć, zapobiec lub zarządzać wszystkimi ludzkimi chorobami przed końcem tego stulecia? Wierzmy, że tak” – deklaruje filantropijny fundusz założyciela Facebooka, Chan Zuckerberg Initiative. I tylko złośliwy mógłby przypomnieć, że Facebook nie jest w stanie zarządzać sam sobą, a co dopiero światem medycyny i nauki. W żądaniu zoptymalizowania wszystkiego i podporządkowaniu życia logice algorytmów widać przesadę, co z fizyk i krytyk AI Dan McQuillan nazwał „tendencją eugeniczną”.

„Już dziś istnieją olbrzymie nierówności w dostępie do ochrony zdrowia, w szacunkowej przeżywalności – w zależności od tego, z jakiej grupy społecznej kto się wywodzi; w podejściu do migrantów – w zależności od tego, skąd pochodzą. AI służy do udoskonalenia procesów, które mają decydować o wartości ludzkiego życia. Bez względu na to, ile pudru praw człowieka i humanitaryzmu nałożymy, w rezultacie mamy precyzyjnie określić, ile osób ma umrzeć. AI nadaje się do tego wyśmienicie” – tłumaczy. I pyta retorycznie: „Czy to przypadek, że jednocześnie z Doliny Krzemowej płyną idee pronatalizmu dla mądrych i bogatych, walki o przetrwanie białego człowieka i lęku przed wielkim zastąpieniem przez migrantów?”.

REAKCYJNY FUTURYZM | Ale, powtórzmy, w Dolinie Krzemowej nie dzieje się nic nowego. Od zarania Kalifornia była miejscem, gdzie rząd federalny sprywatyzował przemoc, a następnie dał się na niej dorobić najbardziej bystrzym i cwany podczas eksterminacji Indian, gorączek złota, kolejnych wojen, wreszcie zimnej wojny i kilku przemysłowych boomów. To właśnie tam, na Uniwersytecie Stanforda wykladało najwięcej amerykańskich zwolenników eugeniki. To tam konserwatywny antykomunizm Instytutu Hoovera spotykał się z hipisowską kontrkul-



Sam Musk i jego SpaceX
mają rządowych
kontraktów
na 15 mld dolarów.
Departament Obrony
finansuje ponad
800 projektów
z dziedziny rozwoju
autonomicznej broni.

SAUL MARTINEZ / GETTY IMAGES

turą i tam libertarianizm biznesu mógł podać sobie rękę z wydajnością i dyscypliną armii. To tam spośród wszystkich miejsc na świecie najdłużej utrzymuje się wiara, że można człowieka zredukować do ciągu liczb. I że zarządzanie ludźmi jak zoptymalizowanymi przez algorytm kolumnami w tabelce nie tylko jest dopuszczalne. Jest wskazane i dużo od demokracji wydajniejsze. Malcolma Harrisa nie zawiodła intuicja.

Autonomiczna broń, kryptowaluty, satelity, wielka wojna z Chinami, elektryczne samochody, niechęć do migrantów i pseudonauka – kusi, by znaleźć wspólny mianownik między tymi wszystkimi hasłami. I odpowiedź, co łączy je z trumpizmem. „Reakcyjny futuroizm!” – ogłasza na stronach „New York Timesa” publicysta i podkaster Ezra Klein. Oni wszyscy chcą powrotu do wyobrażonej przeszłości, ale z nowoczesnymi gadżetami. Technologicznych wygod, komfortu i bezpieczeństwa, ale bez konieczności demokratycznych kompromisów. Karnego ludu, który będzie chciał bronić porządku, ładu i swoich panów – ale bez emancypacji i podziału w zyskach, jaki temu ludowi obiecał liberalizm. Czy hipoteza Kleina jest kusząca? Na pewno, wszak sami ci miliarderzy nie odżegnują się od antydemokratycznych idei.

Ale może jednak wcale tak nie jest, a związek miliarderów z funduszy *venture capital* z Trumpem jest równie przygodny, co ich wcześniejszy romans z demokratami? Tym, co łączy ich naprawdę blisko, jest nie projekt ideologiczny, lecz biznesowy. Trump jest gwarancją tego, że regulacji będzie mniej, a kontraktów wojskowych więcej. Że nawet jeśli się z miliarderami z Doliny Krzemowej pokłóci – co prędzej czy później nastąpi – to jego administracja nie będzie wszczynać przeciwko nim postępowań antymonopolowych ani oponować przeciwko rozwijaniu najbardziej nawet śmiercionośnych broni. Dalsza prywatyzacja kolejnych sfer działania państwa, w tym najbardziej wrażliwych – służby specjalne i wywiad, technologie kosmiczne, podbój innych planet i autonomiczna broń – będzie przebiegała bez zakłóceń, a zyski wezmą z tego Musk i koledzy. I nikt nie wyskoczy z pomysłem równie szalonym, co „publiczna ochrona zdrowia”. W końcu Mark Andreessen – nazywany przez niektórych „królem filozofem” Doliny Krzemowej – zapytany, co tak naprawdę poróżniło go z Partią Demokratyczną, miał na to jedną, i to dość prostą odpowiedź: „Podatki”.

© JAKUB DYMEK

Cytaty z Amby Kak, Parisa Marksa i Dana McQuillana pochodzą z cyklu rozmów Jakuba Dymka o AI, realizowanego dla Fundacji Panoptykon. Więcej: panoptykon.org



FUNDACJA
Wrocławskie
Hospicjum
dla Dzieci



POMÓŻ PÓKI JESTEM

Przekaż

1,5%

podatku

KRS 0000 287 982

www.ProcentDlaDzieci.pl



Jacek

*Jestem wcześniakiem, mam mózgowie porażenie
dziecięce i ciężkie zaburzenia karmienia.*

Moment, w którym z ust lekarzy padają słowa „leczenie dziecka jest niemożliwe” lub „więcej nie da się zrobić” to dramat dla każdego rodzica. Co dalej? W opiece nad nieuleczalnie i przewlekle chorymi dziećmi pomaga Fundacja „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci” działająca na terenie Dolnego Śląska.

Fundacja Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci działa od 2007 roku otaczając chore dzieci oraz ich bliskich kompleksową opieką paliatywną i wytnieniową. Siedziba Fundacji znajduje się we Wrocławiu, podopieczni hospicjum to obecnie 75 dzieci oraz młodych dorosłych dotkniętych chorobami neurologicznymi, genetycznymi, onkologicznymi, oraz którzy ucierpieli w wypadkach.

Fundacja świadczy pomoc bezpłatnie, przez 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Prowadzi hospicjum domowe czyli dociera do domów pacjentów, gdzie czują się oni najbezpieczniej, zapewniając pomoc lekarzy specjalistów, pielęgniarek, opiekunów wytnieniowych, opiekunów medycznych, psychologów, fizjoterapeutów, rehabilitantów, neurologopedów oraz kapelana. Opieką otaczane są całe rodziny, którym udzielane jest wsparcie psychologiczne, dostęp do sprzętu medycznego oraz pomoc socjalna (prezenty dla dzieci, pomoc w zapewnieniu leków, opłaceniu czynszu, organizacja turnusów wakacyjnych dla zdrowego rodzeństwa, itp.).

Przy Fundacji działa również hospicjum perinatalne, które otacza kompleksową opieką, a także wsparciem duchowym rodziny stojące w obliczu ciężkiej, nieuleczalnej choroby swojego jeszcze nienarodzonego dziecka.

Od 2023 roku Fundacja prowadzi Dom Opieki Wytnieniowej „Kokoszka” we Wrocławiu. Jest to pierwsza w zachodniej części Polski placówka, gdzie opieka nad pacjentami terminalnie, przewlekle chorymi, z niepełnosprawnościami świadczona jest stacjonarnie i całodobowo, wtedy, kiedy jej sprawowanie przez rodziców, opiekunów jest utrudnione lub niemożliwe. Podczas pobytu w „Kokoszce” nad dziećmi czuwa wykwalifikowany personel medyczny i opiekuńczy. W tym czasie rodzice/opiekunowie mogą zadbać o swoje zdrowie, załatwić bieżące sprawy, poświęcić czas zdrowemu rodzeństwu, pojechać na zasłużony urlop lub po prostu odetchnąć. Usługa opieki wytnieniowej w Kokoszce jest również całkowicie nieodpłatna.

Wszystko to możliwe jest w ogromnej mierze dzięki wpłatom 1,5% PODATKU od ludzi dobrej woli.

Dołącz do grona naszych darczyńców. Wspierając działania Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci masz realny wpływ na poprawę jakości życia chorych dzieci i ich rodzin. Przekazanie 1,5% podatku to z pozoru niewielki gest, który dla nich ma jednak ogromne znaczenie, i dzięki któremu udaje się codziennie zmieniać świat na lepsze. Dziękujemy!

WIARA

BÓG U SIEBIE

REZA ASLAN, RELIGIOZNAWCA:

Religia nie jest antynaukowa.
Kto tak myśli, jest ignorantem.

Religia ciągle się
adaptuje do naszego rozumienia
natury rzeczywistości.

**PIOTR SIKORA: W wielu tradycjach
duchowych funkcjonuje powiedze-
nie: „poznaj siebie, a poznasz Boga”.**

REZA ASLAN: To może być motto prób
naukowego wyjaśnienia genezy ludzkiej
idei Boga i religii. Po pierwsze trzeba pa-
miętać, że słowo „Bóg” to tylko słowo,
choć pełne znaczenia. Często zakładamy,
że każdy rozumie je tak samo. Tymcza-
sem gdy rozmawia kilka osób, to mówiąc
o Bogu, mogą mieć na myśli różne rzeczy.

Ale co ma do tego poznanie siebie?

Dla wielu ludzi, religijnych i nie, Bóg
jest niezależnym bytem, z wolą, osobo-
wością, który czegoś chce, coś lubi, cze-
goś nienawidzi. Uważam, że taka koncep-
cja Boga ma źródło w pewnym triku umy-
słu: myślimy o boskości w ludzkich ka-
tegoriach, kształtujemy Boga jako boską
wersję nas samych, obdarzamy Go naszą
osobowością, wartościami. Na wzór tego,
jak rozumiemy samych siebie.

*Reza Aslan,
Nowy Jork,
listopad 2019 r.*

Dlaczego tak się dzieje?

Działa tu kilka procesów. Najważniejszym jest, jak go nazywają kognitywiści, teoria umysłu. To skłonność do zakładania, że byty, które pod jakimś względem nas przypominają, muszą także czuć i myśleć jak my. Pojawia się ona u ludzi już w bardzo wczesnym wieku. Skłania do „obdarzania człowieczeństwem” każdej rzeczy, która przejawia jakieś cechy ludzkie, np. porusza się na dwóch nogach albo ma coś, co przypomina twarz. Moje dzieci traktowały tak np. samochodziki. Teoria mówi, że tak właśnie ludzie zaczęli pojmować boskość.

Antropomorfizujemy rzeczy konkretne na podstawie ich podobieństwa do nas. Z boskością jednak chyba tak nie jest?

Rzeczywiście. Ale tu pojawia się jeszcze bardziej pierwotny proces: „hiperaktywny wykrywacz podmiotów”. To mechanizm, który skłania nas do przypisywania sprawczości zjawiskom naturalnym: np. słysząc hałasy w nocy, uznajemy, że to ktoś hałasuje. A zatem nasz impuls do doszukiwania się sprawczości w zjawiskach naturalnych połączony z teorią umysłu przyczynił się do powstania idei, że istnieje boska, transcendentna obecność o ludzkich cechach, idea Boga.

Da się to potwierdzić empirycznie?

To hipoteza równie niepotwierdzalna jak konkurencyjna, głosząca, że taki podobny do człowieka Bóg istnieje, a On stworzył nasze mózgi, które wytworzyły ideę, która odzwierciedla tego istniejącego Boga. Jako myśliciel i badacz, ale także osoba wierząca, zostawiam konkluzję swoim czytelnikom.

Wedle tej teorii wszyscy powinniśmy mieć taką samą ideę Boga. Czy jednak historia religii nie pokazuje, że koncepcje boskości są odmienne w różnych kulturach?

W istocie nie ma tak wielu różnic w sobie, w jaki ludzkość (także humanoidy wcześniejsze niż *homo sapiens*) pojmowała Boga. To zasadniczo wszędzie ta sama idea. Różnice biorą się z odmienności cywilizacyjnych. Gdy byliśmy łowcami-zbieraczami, żyjącymi w luźno zorganizowanych, niezależnych od siebie grupach, myśleliśmy o sferze boskiej jako o składającej się z wielu niezależnych boskich bytów,

z których każdy miał swój obszar działania: byli bogowie deszczu, słońca, księżyca i drzew. Nie istniała ich hierarchia.

Później, gdy grupy zaczęły się łączyć, tworzyć miasta-państwa, a społeczna struktura hierarchiczna przeniknęła do rozumienia bogów: przestaliśmy ich traktować jako równych, pojawił się jakiś bóg bogów, podobny do ludzkiego króla. Podobnie też sposób, w jaki określony bóg zdobywał pozycję „w niebie”, odzwierciedlał sposób funkcjonowania społeczeństwa. W Babilonie i w Asyrii był to bóg-wojownik, który okazywał się najsilniejszy.

A monoteizm?

To też dobry przykład na to, jak ludzka koncepcja boskości odzwierciedla koncepcję społeczeństwa. Wiele tysięcy lat minęło, zanim idea monoteizmu się wykrystalizowała i zdobyła społeczne uznanie. Znamienny jest sposób, w jaki się to stało: polityczna idea jednego lidera, jednego faraona czy imperatora wymaga idei jednego Boga, nie tylko wyższego od innych, ale po prostu jedynego. Nasza koncepcja Boga zmienia się, ewoluuje, ale tylko o tyle, o ile zmiany te odzwierciedlają zmiany cywilizacyjne.

Z drugiej strony, jak przekonuje Pan w swojej książce „Bóg. Ludzka historia religii”, przejście od formy życia łowców-zbieraczy do osiadłych rolników dokonało się pod wpływem zmian religijnych – wykrystalizowania się zorganizowanych form kultu i wielkich centrów religijnych. To zmusiło grupy nomadów do osiedlenia się.

Gdy już osiedliśmy i zaczęliśmy uprawiać ziemię i hodować zwierzęta, zmieniły się nasze idee religijne. Zaczęliśmy pojmować Boga jako stwórcę podtrzymującego życie, na znaczeniu zyskały bóstwa żeńskie, Bogini Matka związana z ziemią. Aż do czasu, gdy społeczeństwo stało się bardziej patriarchalne i znów wzięły górę wojownicze bóstwa męskie. Wpływy są więc obustronne i dynamiczne, ale moim zdaniem zawsze zaczyna się od tego, co jest tu, na ziemi. To, jak rozumiemy siebie, fundamentalnie wpływa na to, jak rozumiemy niebo. Na przykład wynalazek pisma istotnie zmienił nasze myślenie religijne.

Dlaczego?

Pismo „zamroziło” mitologię. Wcześniej opowieści o bogach, przekazywane z pokolenia na pokolenie, nieustannie się zmieniały, dostosowywały do nowych warunków i potrzeb. Gdy je zapisano, zmieniać się mogły tylko interpretacje. Po drugie, zapisywanie idei dotyczących boskości spowodowało, że antropomorfizacja bogów stała się bardziej konkretna, szczegółowa: bogowie zaczęli prowadzić życie rodzinne, mieszkać w domach, spożywać konkretne pożywienie, według bosko-ludzkiego menu.

Co skłaniało ludzi do takiej konkretyzacji?

Mitologia służy nam do zrozumienia nas samych – jest metaforą tego, co znaczy być człowiekiem. Tak mity czytamy dzisiaj, ale często zapominamy, że starożytni rozumieli je podobnie. Pomysł, że oni rozumieli je dosłownie, jako historie o faktach, jest wyrazem współczesnej ignorancji. Nie ma żadnych danych sugerujących, że jesteśmy mądrzejsi od starożytnych. Są za to dane wskazujące, że oni rozumieli mitologię metaforycznie. Różnica polega na tym, że my dziś utożsamiamy prawdę z faktualnością, a dla nich prawda mogła być alegoryczna.

Czy to nowożytne utożsamienie prawdy i faktów ma wpływ na nasze rozumienie Boga i religii?

Z pewnością jest przyczyną rozdzielenia tego, co nazywamy nauką i religią, wiary i rozumu. Tzw. nowi ateściści, Richard Dawkins, Sam Harris, Christopher Hitchens i Daniel Dennett, argumentowali przeciw religii, że jest nierozumna. Kto rozumny wierzy, że Jozue wstrzymał Słońce albo że Łazarz wstał z grobu po trzech dniach? Z drugiej strony ludzie religijni, uznając, że ich wiara może być prawdziwa tylko wtedy, gdy dotyczy faktów, próbują interpretować teksty religijne tak, jakby opowiadały o faktach. Gdy jednak zrozumiemy, że ludzie, którzy napisali te historie, nie łączyli prawdy z faktualnością, a nawet nie za bardzo pojmowali ideę faktualności empirycznej – pozbedziemy się potrzeby rozumienia świętych tekstów jako opisów faktów. I nie będzie powodu do wrogiego podziału między rozumem a wiarą. Nauka pyta: „jak?”, a religia: „dlaczego?”. One powinny koegzystować jako odpowiedzi na różne pytania.

→ Skoro jednak starożytni nie rozumieli mitów dosłownie, lecz metaforycznie, to może również ujmowanie bogów na obraz ludzi było metaforą. Może wcale nie uznawali bogów za dosłownie podobnych do ludzi.

Zapewne tak. Co ciekawe, najstarsze przedstawienia bogów w quasi-ludzkiej postaci są raczej uproszczone, pozbawione szczegółów. I to nie jest tak, że ich twórcy nie umieli szczegółowo odwzorowywać w sztuce przyrody – istnieje wiele bardzo realistycznych rzeźb i malunków z tamtego okresu. Ale bogów przedstawiali inaczej, np. bez rysów twarzy. Jakby chcieli pokazać, że ich obraz to tylko metafora. Albo rysowali ludzko-zwierzęce hybrydy, których na pewno nie mogli zobaczyć w rzeczywistości empirycznej.

Na długo przed wynalezieniem pisma tworzyliśmy przedstawienia, które przez swą formę wskazywały: to metafora. Późniejsze przedstawienia religijne, np. z Mezopotamii, gdzie już znano pismo, są znacznie bardziej konkretne, szczegółowe, dosłownie ludzkie.

Za pomocą pisma, właśnie w odróżnieniu od obrazów, które zawsze są jakoś konkretne, można wyrażać idee abstrakcyjne. Wynalezienie pisma powinno raczej pomóc w wyzwoleniu się ze zbyt dosłownego rozumienia opowieści o bogach w ludzkiej postaci.

Gdy już nauczyliśmy się zapisywać bardzo skomplikowane mitologie, to tak było. Ale warto pamiętać, czemu pismo pierwotnie służyło – zbieraniu podatków, liczeniu, precyzyjnemu określaniu własności, czyli bardzo konkretnym celom i konkretnemu myśleniu. Więc na początku wynalazek pisma wsparł konkretyzację także myślenia religijnego.

Zauważenie związków między naszymi mechanizmami kognitywnymi i zmianami kulturowymi, takimi jak wynalazek pisma, a zmianami w naszym pojmowaniu boskości i religii, może służyć zrozumieniu współczesnych procesów. Czy wynalezienie i rozwój sztucznej inteligencji może mieć jakiś wpływ na przyszłość „Boga” i praktyk religijnych?

Jeśli to prawda, że nasza koncepcja boskości zależy od naszej wizji nas samych,

Jest bardzo prawdopodobne, że stworzymy AI, która wierzy w Boga.

Nie ma żadnego powodu, by wiara w Boga była tylko ludzką właściwością. To fascynujące: możliwość stworzenia AI, która ma wiarę religijną.

to możemy postawić kilka hipotez dotyczących przyszłości myślenia religijnego, przyglądając się naszemu społeczeństwu. Na pewno AI jest ważnym elementem współczesnej cywilizacji. Ale chciałbym najpierw zwrócić uwagę, że ostatnie dekady przyniosły ogromny przyrost wiedzy o działaniu ludzkiego mózgu, związków pomiędzy określonymi reakcjami układu nerwowego a naszymi emocjami, myślami, percepcjami.

I co z tego wynika?

Mamy dziś możliwość manipulowania reakcjami mózgowymi tak, by wywołać doświadczenia przypominające przeżycia religijne, duchowe. Niektórzy wyciągają stąd wnioski, że doświadczenie religijne nie jest rzeczywiste, bo jest produktem reakcji mózgowych. Nie przekonuje mnie to rozumowanie. Wszystkie nasze świadome doświadczenia są efektami reakcji w mózgu. Ale czy to znaczy, że miłość nie istnieje? A jeśli miłość jest prawdziwa, to i wiara może być podobnie prawdziwa. Najważniejsze pytanie brzmi: po co mamy miłość i po co mamy wiarę, doświadczenia religijne?

Ale jak to się wiąże ze sztuczną inteligencją?

Im bardziej rozumiemy mechanizmy mózgu i im bardziej jestem w stanie stworzyć coś, co działa podobnie, czyli AI – tym bardziej prawdopodobne, że stworzymy AI, która wierzy w Boga. Nie ma żadnego powodu, by wiara w Boga była tylko ludzką właściwością. Ale skoro istnieje w mózgu, można nią manipulować i ją imitować. To fascynujące: możliwość stworzenia AI, która ma wiarę religijną.

Jakie konsekwencje dla naszej wiary religijnej będzie miała realizacja tej możliwości?

Po pierwsze, uświadomienie sobie, że fakt, iż wiara istnieje w mózgu, wcale nie czyni jej nieuprawnioną i mniej wartościową. Ale spotkanie z wiarą AI może sprawić, że rozpowszechni się przekonanie, że słowo „Bóg”, reprezentujące pewną ideę, ku której ludzie dążą od tysięcy lat, że to słowo odnosi się nie do czegoś, co jest na zewnątrz, „gdzieś tam”, ale do czegoś, co jest w nas, co w nas żyje.

To wcale nie delegitymizuje wiary, ale zmienia ją. Rozpoznanie, że to, co nazywamy słowem „Bóg”, istnieje w nas, będzie miało ogromne konsekwencje dla naszego rozumienia, czym jest religia i religijne doświadczenie.

Czyli przyszłością wiary jest panteizm, jako swego rodzaju zwieńczenie ewolucji idei boskości – od animizmu, przez coraz bardziej antropomorficzne przedstawienia bogów, potem jednego Boga, aż do boskości obecnej wszędzie? Czy tak? I czy można uznać panteizm za ostateczne stadium ewolucji, koniec „historii Boga”, czy możemy spodziewać się czegoś jeszcze?

Ujmując rzecz od strony duchowej, czyli od strony ludzkiego pragnienia interakcji z rzeczywistością transcendentną, panteizm jest może nie „końcem drogi”, lecz z pewnością przyszłością, ku której zmierzamy. Co ciekawe, dążymy ku duchowości podobnej do tej, od której zaczęliśmy – czyli od animizmu. Animizm i panteizm są bardzo bliskie, mówią o duchowej czy też boskiej rzeczywistości obecnej we wszystkim.

Dominujące formy religii zawsze polegały na jakiegoś rodzaju kulcie istoty (lub istot) będących transcendentnymi partnerami, istniejącymi „naprzeciw” człowiekowi. Jeśli panteizm byłby przyszłością ludzkiej idei Boga, to jak panteistyczna mainstreamowa religia mogłaby wyglądać?

Zanim pokusimy się o przewidywania przyszłości, spójrzmy w przeszłość. Biblia Hebrajska, Stary Testament, bez wątpienia zawiera koncepcję kosmosu, którego centrum jest Ziemia, wokół której krążą Słońce i gwiazdy. Dziś wiemy, że ta koncepcja jest – na poziomie opisu faktów



CNN / ZRZUT Z EKRANU

– mylna. Ale odkrycie, że Biblia w tej kwestii się myli, nie zniszczyło judaizmu i chrześcijaństwa. One adaptowały się do nowej wiedzy, zmieniły sposób rozumienia tekstów biblijnych i poszły dalej.

Myślę, że w miarę jak naukowa wiedza o fundamentalnej naturze wszechświata stanie się coraz powszechniej zrozumiała i akceptowana, my, ludzie, w naturalny sposób zaczniemy zmieniać nasze religijne idee, tak by pasowały do wiedzy naukowej.

Już o tym mówiliśmy: nauka i religia nie muszą być w konflikcie.

Wręcz mogą – i na pewno będą – koegzystować. Już teraz zaczynają zbliżać się do siebie. Gdy słucha się fizyków teoretycznych, to można odnieść wrażenie, że brzmią jak mistycy suficy. Moje naukowe przypuszczenie brzmi, że gdy pojęcia jedności i wzajemnego połączenia elementów wszechświata stanie się coraz szerzej znane i akceptowane, zmienimy także nasze religijne koncepcje – jak zawsze to robiliśmy. Religia nie jest antynaukowa. Kto tak myśli, jest ignorantem. Religia ciągle się adaptuje do naszego rozumienia natury rzeczywistości.

A co z innym czynnikiem, który przez całą historię wpływał na religijne idee, o którym mówiliśmy już wcześniej: naszą polityczną strukturą społeczną? Święte teksty wielkich religii i ich doktryny powstawały w systemach monarchicznych, feudalnych. To jednak już chyba

REZA ASLAN (ur. 1972 w Teheranie) jest amerykańskim religioznawcą i badaczem Nowego Testamentu z Uniwersytetu Harvarda. Autor bestsellerowych książek, w tym „Nie ma Boga oprócz Allaha”, „Zelota. Życie i czasy Jezusa z Nazaretu” i „Bóg. Ludzka historia religii”. Wspólnie z Rainnem Wilsonem prowadzi podcast „Metaphysical Milkshake”, w którym z zaproszonymi gośćmi dyskutują nad najważniejszymi życiowymi pytaniami. Jest muzulmaninem.

Na zdjęciu: Kadr z dokumentalnego serialu „Believer”, w którym Reza Aslan odkrywa świat wierzeń i religii, CNN 2015-2017

przeszłość. Przyszłość należy raczej do demokracji albo globalizacji. Czy wpłynie to na religię przyszłości?

Nazywa się to „politykomorfizmem” – rzutowanie naszych idei i praktyk politycznych na sferę boską. Ale żyjemy w takim dziwnym czasie, w którym demokracja w całym świecie jest w odwrocie. Zyskuje autorytaryzm. To w latach 90. czy wczesnych dwutysięcznych myśleliśmy o jednym, globalnym, demokratycznym świecie, o Unii Europejskiej jako przykładzie przyszłości reszty świata. Okazało się, że się myliliśmy. Rzeczywistość poszła inną drogą: nacjonalizmu, autorytaryzmu. Nie potrafiliśmy przewidzieć politycznej przyszłości najbliższych kilku lat, co dopiero dekad. Ale, biorąc pod uwagę przeszłość, uważam, że jakakolwiek bę-

dzie polityczna przyszłość ludzkości, wpłynie na nasze idee i praktyki religijne. To oczywiste.

Skoro jednak wpływy są obustronne, a religia będzie się adaptować do rozwoju nauki, z jej wizją jedności wszechświata, to może taka religia zaadaptowana do nauki wpłynie na rzeczywistość polityczną?

Gdy mam bardziej optymistyczne dni, to właśnie tak to sobie wyobrażam. Czy religia, która pod wpływem odkryć nauki mówi o jedności tego, co ludzkie i boskie, o jedności świata, wpłynie na sposób organizacji i zarządzania naszymi społeczeństwami na Ziemi? Kiedyś byłem o tym bardzo przekonany.

Ostatnie kilka lat zachwiało tą pewnością. Ale może ten wzrost autorytaryzmu, ultranacjonalizmu, izolacjonizmu, ksenofobii, który obserwujemy w ostatniej dekadzie, jest reakcją na nieuchronny progres ludzkiego społeczeństwa. I może warto skupić się na tym progresie, nie na tej reakcji, która ma swój krótki moment. Tak lubię myśleć.

To nie tyle wiedza naukowa, lecz nadzieja. W sumie bardzo religijna postawa.

Trochę nadzieja, ale i trochę zdolność nabrania dystansu, porzucenia krótkowzroczności i spojrzenia na szeroką panoramę historii. Wtedy można zobaczyć większy ruch ludzkiej historii, którego kierunek może uzasadniać pewien optymizm. ©P Rozmawiał PIOTR SIKORA

Rzymski eksperyment

PIOTR DZIUBAK

Proboszcz mający żonę i dzieci oraz pracujący zawodowo jest bliższy życiowych doświadczeń parafian.

UMIESZ GOTOWAĆ? – PYTA MNIE PRZEZ telefon Andrea Sartori, stały diakon i proboszcz rzymskiej parafii św. Stanisława, biskupa i męczennika. – W każdy piątek gotuję dla potrzebujących. Zapraszam na 16.

Idę wzdłuż ogrodzenia studiów filmowych Cinecittà, które dały również nazwę dzielnicy na południu Rzymu, tuż przy obwodnicy. W 1991 r. kościół konsekrował Jan Paweł II. To pierwsza parafia w stolicy Włoch, a właściwie diakonia, której proboszczem jest stały diakon. Być może zapowiadająca przyszłość Kościoła.

Kawa z metra

– Nigdy nie byłem w Krakowie, chociaż mamy polskiego patrona parafii – mówi na powitanie Andrea. – Sos już zrobiłem. Pokażę ci naszą kuchnię.

Parter plebanii jest podzielony na strefy. W jednym z pomieszczeń są używane sprzęty AGD. Ludzie przynoszą je, żeby wesprzeć tych, których nie stać na kupno. W drugim jest ogromna, kilkunastometrowa szafa z czystymi ubraniami zimowymi. Kiedy rodziny zmieniają letnie ubrania na zimowe, przynoszą do parafii te, z których już nie będą korzystać. Będą miały drugie życie. Co roku parafia rozdaje też ok. 40 materacy i ogromną liczbę koców dla bezdomnych.

– Don Andrea, don Andrea! – rozlega się głos starszej kobiety. – Daj mi trochę makaronu, oliwy. Nie mam w domu nic, żeby coś ugotować.

– Znajdę tylko jakąś torbę – odpowiada proboszcz. – Tu się dzieje – mówi do mnie.



ANDREA SARTORI

03/10/2024 21:05

Andrea Sartori z żoną i dziećmi przy stole

Idę za Andrea i Lidia, starszą panią, do magazynu żywności. Jest tam kilka profesjonalnych dużych lodówek. Wszystkie z darów.

– Ta schładzarka szokowa bardzo się nam przydaje – rzuca, wkładając do siatki paczki makaronu, oliwę i inne produkty – zwłaszcza gdy parafianki przynoszą nam gotowe posiłki, bo w mig obniża temperaturę.

– Lidio, co ci jeszcze mogę dać? Chcesz fasolkę w puszcze? Dam ci też kawę.

Jeden z parafian pracuje w firmie, która obsługuje automaty kawowe na stacjach metra i kolei. Przełożeni zgodzili się, że bloki kawowe, które nie spełniają standardów, może zawozić do parafii. Ktoś inny podarował profesjonalny młynek, żeby bloki rozdrobnić. – W ten sposób odzyskujemy bardzo dobry produkt. I ci, którzy z kawy rezygnowali, bo brakuje im pieniędzy, teraz mogą jej smakować.

Raz w miesiącu w parafii rozdawana jest żywność z banku żywności. Pochodzi ze wsparcia Unii Europejskiej. Najpierw jednak trzeba sprawdzić dokumenty, czy taka pomoc przysługuje danej osobie. W parafii mieszka wielu imigrantów. Są tacy, którzy nie mają żadnych papierów. Wówczas dla państwa włoskiego nie istnieją.

– Obsługa pomocy unijnej jest skomplikowana. Ale dobrze, że jest. Jesteśmy z niej skrupulatnie rozliczani – wyjaśnia

Andrea. – Chociaż nie ukrywam, że czasami stawiam sobie pytanie, czy Pan Jezus prześwietlał dokładnie wszystkich głodnych.

Zdarza się, że jakaś rodzina nie może otrzymać pomocy z unijnego banku żywności. Wówczas można liczyć na pomoc ludzką.

– Nasza parafia w ciągu sześciu lat, od kiedy tu przyszedłem, stała się wspólnotą. Zjednoczyły nas małe, codzienne dzieła miłosierdzia. Teraz jak ktoś gotuje w domu dziesięć kotlecików, dorobi pięć więcej, żeby się podzielić. Ktoś inny gdy piecze ciasto, robi drugie. Osoby przygotowujące jedzenie i obdarowywane łączy więź, widzę to wyraźnie. To one goszczą przy swoim stole głodnych i potrzebujących – mówi Andrea. – Nie chcemy, żeby to miejsce było anonimowe. Zależy mi, żeby głodni czuli, że ich szanujemy. Pomagając innym, łatwo kogoś zranić.

Strzały na ulicy

– Don Andrea! – w korytarzu rozlega się kobiecy głos. – Możesz przynieść dużą miokrofalówkę?

– Już idę – odpowiada diakon.

Znowu nasze zwiedzanie pomieszczeń plebanii, która coraz mocniej kojarzy mi się z SOR-em, zostaje przerwane. Andrea funkcjonuje trochę jak lekarz na dyżurze. Szybko. Konkretnie. Nie ma czasu na zbędne zastanawianie się. Czy ktoś nad-



PIOTR OZIUBAK

W zakrystii kościoła św. Stanisława, biskupa i męczennika w Rzymie, październik 2024 r.

używa pomocy? Pewnie tak, ale to nie jest ważne.

– Kiedyś ktoś zaczął dzwonić w środku nocy do drzwi. Nie będę ukrywał, bałem się – mówi proboszcz. – Widzę, że stoi tam dwóch gości, którzy zwykle handlują narkotykami po drugiej stronie ulicy. Przyciągnęli mężczyznę, który po zażyciu jakichś środków stracił przytomność. „Don Andrea, weź zrób z nim coś albo mu pomóż” – krzyknęli do mnie odbiegając. Natychmiast zadzwoniłem po karetę. Z jakiegoś powodu chcieli uratować mu życie.

– To trudne miejsce – opowiada. – Często w dzień i w nocy słychać strzały z broni. Albo to porachunki, albo policja, a może karabinierzy kogoś ścigają.

Na terenie parafii mieszka wiele osób w areszcie domowym. Proboszcz stara się ich odwiedzać. Za każdym razem musi prosić o zgodę sędziego. – Tylko raz mi odmówił: „Don Andrea, nie dam ci pozwolenia, ten gość ma grubo za uszami”. Raz prosiłem parafian, by ktoś pomógł czuwać przy umierającej, samotnej starszej pani. Ludzie mi mówili: „Don Andrea, jak pójde, to do mieszkania mi wejdą i zrobią okupację, boję się, że nie będę miała gdzie mieszkać”. Nie dziwię się tej pani – smutno stwierdza Andrea.

– Dzikie zajmowanie mieszkań pod nieobecność właścicieli jest tutaj plagą. Stoi za tym mafia. Trzeba zapłacić

2000 euro i wtedy sobie pójda – dopowiada jedna z kobiet w kuchni.

W specjalnie wydzielonej części na parterze plebanii żyją tymczasowi mieszkańcy. Do niedawna przebywała tu kobieta z dzieckiem. Kilka zabawek leży jeszcze w korytarzu.

– Maluszek był świadkiem przemocy ojca wobec matki. Ciągłe płakał, wymiotował. Udało im się znaleźć bezpieczne mieszkanie w innej części Rzymu – dodaje Andrea i zaprasza do nowej kuchni.

Duże, ponad 30-metrowe pomieszczenie. Profesjonalne wyposażenie. W sali obok jest chłodnia i lodówki. Spełnia wszystkie normy bezpieczeństwa. Czeka na dokumenty z tutejszego sanepidu, żeby kuchnia mogła zacząć działać.

Projekt eksperymentalny

Andrea opowiada, jak 10 lat temu z żoną Laurą rozeznali na modlitwie, że Bóg chce, żeby udali się do miejsca, w którym radykalniej mogliby służyć bliźnim. Cztery lata później zadzwonił do niego biskup, mówiąc: „Andrea, rada biskupów chciałaby cię prosić, żebyś poprowadził parafię św. Stanisława”. Wspomnienie tamtej rozmowy ciągle wywołuje emocje na twarzy Andrei.

– Bóg przygotowuje wcześniej drogę – mówi. – A kiedy to powiedziałem mojej żonie, odpowiedziała: „Domyślałam się, że to będzie coś takiego”.

Biskupowi odpowiedział, że chce się narodzić z rodziną. Najstarszy syn Francesco miał wtedy iść na drugi rok psychologii. Simone zaczynał studia, Matteo siedział do czwartej klasy liceum, a najmłodsza Elisabetta zdawała do gimnazjum.

W 2018 r. rozeszła się wśród ludzi plotka, że parafia św. Stanisława zostanie zamknięta. Przyjedzie tu diakon i wszystko zamkna, a powstanie centrum dla obcokrajowców.

– Ja o tym nic nie wiedziałem – wspomina Andrea. – Był natomiast projekt, żeby przekształcić parafię w diakonię otwartą na pomoc człowiekowi w potrzebie. Dużo rozmawialiśmy z moim biskupem. Nie ma przecież diakonii bez liturgii, sakramentów, nie ma stołu miłosierdzia bez stołu eucharystycznego. Tego rozdzielić nie można.

W starożytnym Kościele diakonie były miejscem konkretnej pomocy materialnej potrzebującym, dzisiaj można by to określić mianem grupy wsparcia. Zbierano datki na biednych. Katechumenów przygotowywano do chrztu. W początkach średniowiecza księża stawali się coraz ważniejsi, a wspólnoty parafialne zaczęły przybierać formę zbliżoną do naszej nam dzisiaj.

– Raz przyszedł do mnie porozmawiać mężczyzna w sile wieku. Jego życie było pełne wydarzeń, także złych. Na koniec poszliśmy do kościoła. Mówię mu: ➔

→ „Wybierz teraz, czy chcesz żyć dla twojej przyszłości, czy dla tego, co się dzieło kiedyś”. Pomodliliśmy się. Powoli jego życie się zmieniało. Ma pracę, nie popełnia już przestępstw. Myślę, że znaczenie i sens diakonii tkwi w takich sytuacjach, w towarzystwie ludziom – mówi Andrea.

Butelka z kamieniami

Parafia Andrei jest rzymskim eksperymentem duszpasterskim. Prawo kanoniczne przewiduje, że parafia może być powierzona diakonowi, ale też wspólnocie świeckich pod nadzorem kapłana.

Po przyjeździe do parafii Andrea zaczął odwiedzać mieszkańców, rozmawiać z nimi. W ten sposób się poznawali. Jedną z pierwszych decyzji nowego proboszcza była codzienna adoracja eucharystyczna. Potem nastał czas covidu. Dużo się zmieniło w parafii. Na dobre. Ruszyła pomoc dla głodnych. Najpierw objęła 30 osób. W ciągu tygodnia – 140.

– Wtedy eksplodował wręcz wolontariat – mówi Andrea. – Każdy, kto miał zaświadczenie, że jest wolontariuszem, mógł się swobodnie poruszać. Kiedy skończyła się pandemia, ludzie dalej przychodzili, żeby przygotowywać jedzenie dla potrzebujących. Jak mnie ktoś pyta, czy mamy w parafii Caritas, odpowiadam: mamy grupę miłości, żeby ludzie mogli odczuć miłość bliźniego, miłość Boga.

Co Andrea myśli o kryzysie w Kościele? – Kiedyś pracowałem w firmie, która miała ok. 200 ha pastwisk. Widziałem, jak pasterze wyprowadzali codziennie owce. Niektórzy z nich szli ze zwierzętami. Inni siadali w cieniu drzewa i wyjmowali telefony, owce ich nie interesowały. Była też i trzecia grupa pasterzy. Do dużych butelek plastikowych po wodzie wrzucali kamyczki, potrząsali nimi, robiąc przy tym dużo hałasu, i wrzucali między owce. Zwierzęta bardzo się tego bały. Myślę, że dzisiaj księża postępują jak te trzy grupy pasterzy. Niektórzy podążają z ludźmi, inni mają swoje sprawy, a są też tacy, którzy przede wszystkim straszą. I to jest smutne – mówi diakon. – Miłość do innych nie jest wygodna. Myślisz, że już wszystko opanowałeś, a Bóg pokazuje coś nowego, na co nie jesteś gotowy.

Plebania jako dom

W liście misyjnym od ówczesnego wikariusza diecezji rzymskiej kard. Angelo

De Donatisa jest napisane, że diakon Andrea ma trwać w jedności z proboszczami z okolic, nigdzie się nie śpieszyć, a jego priorytetem ma być słuchanie ludzi.

Niedzielnny poranek. Przyjeżdżam na 8.30. Andrea wita mnie w bramie. Powoli kościół zaczyna się napełniać. Jeden z posługujących tu księży, Plinio Poncina, już na emeryturze, spowiada. Pytam proboszczą, jak ta obecna misja oddziaływała na jego rodzinę.

– Zaraz po ślubie w 1996 r. pojechaliśmy z Laurą na misję do Togo w Afryce. Ze względów zdrowotnych musieliśmy jednak wrócić do Włoch. W 2003 r. zaczęliśmy razem przygotowywać się do mojego diakonatu. Trochę tego, czym jest misja, doświadczyliśmy. Chodziliśmy na wspólne modlitwy z misjonarzami, na posiłki. Pan Bóg nas trochę do obecnej misji przygotował. Jeden z młodszych synów bardzo się ucieszył, ponieważ zaraz przy plebanii jest boisko do piłki nożnej, w salkach są stoły bilardowe, piłkarzyki. Od razu krzyknął: „Tato, będzie super!”. Natomiast najstarszy syn powiedział, że nie o takim życiu myślał.

Mówi o domu: – Starałem się zawsze zachować intymność naszej rodziny. Kiedy zapytano mnie, czy na plebanii mógłby zamieszkać ksiądz, odpowiedziałem, że nie. Mam żonę, czwórkę dzieci. Moja żona musi czuć się swobodnie, jeśli będzie chciała chodzić w koszuli nocnej po korytarzu, mam dorastającą córkę. Jak moglibyśmy swobodnie rozmawiać o sprawach, które dotyczą tylko nas?

Czy ich dzieciom ciążył fakt, że mieszkają na plebanii przy kościele?

– Najmłodsza córka przez cały okres gimnazjum nie mówiła nikomu, gdzie mieszka. W liceum to się zmieniło. W sąsiedniej parafii u salezjanów przygotowuje się do bycia animatorką oratorium.

Żona Laura dopowiada: – Najstarszy syn nie miał chęci przyjechać tu z nami. Bał się, że zostanie całkiem zaangażowany w parafię. Powiedzieliśmy mu, że jest dorosły i ma swoje życie. Największym obciążeniem dla pozostałych było zerwanie kontaktów z kolegami. Mieszkamy teraz z drugiej strony miasta.

– Wcześniej mieszkaliśmy w dzielnicy Portuense, w zachodniej części Rzymu. Mamy tam zresztą mieszkanie, więc gdyby moja misja tutaj się skończyła, mamy gdzie wracać z rodziną – mówi Andrea.

Kilka kropel wody

Dzielnica słynie z handlu narkotykami. Wszystkie sklepy są pozamykane. Działa tylko jeden bar. Andrea żartuje, że przypomina to trochę Dziki Zachód. Mówi, że chciałby, aby ich kościół stał się „górami Tabor” w dzielnicy. Żeby wchodząc tu, można było odetchnąć innym powietrzem. – Za ołtarzem mamy płaskorzeźbę zrobioną przez młodzież z liceum artystycznego, która przedstawia *anastasis*, czyli scenę zejścia Jezusa do otchłani. Jezus nie boi się śmierci. Bierze Adama i Ewę za ręce i pociąga ich ku sobie. To się odnosi do wszystkich, którym coś nie wyszło w życiu. Mamy w parafii uzależnionych od narkotyków, od psychotropów. Nawet trzynastoletnie dzieci. Jezus nie boi się pobrudzić sobie rąk. My powinniśmy być do Niego podobni w takim działaniu, bo jesteśmy Jego rękoma. To nie jest nowe doświadczenie w Kościele.

Diakon był zapraszany przez różne diecezje we Włoszech i za granicą, by opowiedział o swoim doświadczeniu. Do wspólnoty rzymskiej ma trochę żalu. – Jest nas 150 stałych diakonów w Rzymie. Nigdy nikt z naszej diakońskiej wspólnoty nie powiedział mi: „Andrea, przyjdź i opowiedz nam, co robisz u siebie w parafii”. To decyzja jednego z biskupów, który opiekuje się diakonami u nas – dopowiada.

Andrea uważa, że przyszłość wspólnot parafialnych będzie polegała na coraz większej współodpowiedzialności. – Parafia to nie jest dom proboszcza, ale właśnie parafian. A wśród nich są ludzie, którzy znają się na ekonomii, finansach. Jeśli ksiądz musi się zająć całą biurokracją, nie będzie miał czasu na bycie z Bogiem. Ja wstaję o 4.10, żeby mieć czas na godzinę przebywania z Bogiem. Jest cisza. Nikt nie przeszkadza. O 6.30 idę do metra, żeby dojechać do pracy w rzymskim wikariacie. Tak jak inni.

Pytam: – Nie brakuje ci tego, że nie możesz odprawiać mszy i spowiadać?

– Kilka tygodni temu przyszła jedna z parafianek i mówi: „Don Andrea, dzisiaj u fryzjerki rozmawiano tylko o tobie!”. „Zrobiłem coś nie tak?”, pytam. „Jedna z pań w kolejce rzuciła: »tak chciałbym się móc spowiadać u don Andrei« i wszystkie podłapały temat”. Żarty na bok. Zdarza się, że kiedy udaje się u kogoś zburzyć mur nieufności i ten ktoś rozumie, że ty w imieniu Boga go kochasz,



Andrea Sartori z żoną Laurą przed kościołem. Rzym, październik 2024 r.

zaczyna się otwierać, dzielić swoją historią. Raz mi się zdarzyło, że na koniec doradziłem takiej osobie, że powinna pójść się wypowiadać. Odpowiedziała: „Nie pójdę. Wystarczy mi rozmowa z tobą”. Było mi smutno po tej odpowiedzi. Bóg na pewno przebaczył tej osobie. Bóg patrzy do wnętrza serca.

– Podczas mszy diakon wlewa wodę do kielicha z winem. Ten gest jest dla mnie bardzo ważny. Wypowiada się wtedy słowa: „Przez to misterium wody i wina daj nam, Boże, udział w bóstwie Chrystusa, który przyjął nasze człowieczeństwo”. To, co boskie i ludzkie, się miesza. W kropkach wody widzę łzy osób, których wysłuchałem. Wlewam do kielicha z winem łzy tych ludzi. Woda, mieszając się z winem, znika. Krew Jezusa pochłania ludzkie cierpienie.

Otwarte drzwi

Giovanna, katecheta i wolontariuszka w parafii: – Mamy świetnego przewodnika, a właściwie dwójkę, bo Andrea i jego żona Laura są wspaiałymi ludźmi. Ksiądz jest ważny, ale często nie umie zrozumieć potrzeb życia codziennego. Nasz diakon, który ma swoją rodzinę i codziennie chodzi do pracy, rozumie moje rozterki.

Carlo, katecheta: – Zaczęłem przychodzić do tej parafii dwa lata temu. Don Andrea prosił, żeby pomóc w przyjmowaniu ludzi potrzebujących, żeby czuli się jak w domu. To mnie uderzyło. Moja rodzinna parafia jest w tym sensie zamknięta. Tutaj nie ma żadnego szlabanu,

za który nie wolno wejść. Tutaj nikt nie daje kanapki i nie mówi tylko: „*Arrivederci, ciao!*”. Jest spotkanie, rozmowa.

Kto zdjął szlaban?

– Don Andrea. W parafiach „tradycyjnych” ksiądz rzadko prosi o pomoc czy współpracę. Przychodzisz na 60 minut mszy i uciekasz. Tutaj nie zobaczysz zatrzęsniętych drzwi. Ostatnio zdarzyło mi się, że na katechezę dzieci przyszedł ze swoją koleżanką, która jest muzułmanką.

W końcu udaje mi się spotkać dwójkę dzieci Andrei i Laury.

– Myśleliśmy z bratem, żeby napisać książkę „Dzieci proboszcza” – śmieje się Elisabetta.

– Dzwoni telefon. Odbieram. Słyszę: „Chciałbym rozmawiać z don Andrea”. „Tak słucham, jestem jego synem” – opowiada Matteo.

– Jak ja odpowiem przez telefon, że jestem jego córką, to z drugiej strony wyrażnie słyszę konsternację – mówi Elisabetta.

Żona

Po mszy pytam Laurę, żonę proboszcza: – Andrea w czasie kazania powtórzył włoskie przysłowie: między żoną a męża niech nikt nie wciska nawet palca. A przecież parafia to wiele rąk.

– Staramy się razem szukać rozwiązań i nie przenosić pracy do domu. Będę szczerza: nie jest to łatwe.

Bez jej pisemnej zgody Andrea nie mógłby przyjąć święceń diakonatu. Nigdy nie pomyślała o jej wycofaniu?

– Kiedy pierwszy raz zadano mi pytanie o zgodę, odpowiedziałam, że według

mnie Andrea jest urodzony do bycia diakonem. On wkłada w to całe serce. Wierzy w to, co robi. Jako rodzina staramy się go wspierać.

Czy diakonat Andrei zburzył jej plany związane ze wspólnym życiem?

– Pan Bóg nas trochę przygotowywał do tego. Zanim pojawiły się rozmowy o diakonacie, myśleliśmy, żeby powołać wspólnotę z grupą przyjaciół. W taki sposób chcieliśmy iść ku Bogu i ludziom. Zamiast tego Pan Bóg wrzucił nas w kilkutyśieczną parafię i w całkiem inną część Rzymu. Tu jest zupełnie inna mentalność. To było zderzenie z nową rzeczywistością. Nie interesują mnie komentarze na ulicy czy w sklepie, że jestem żoną proboszcza. Zazwyczaj spotykam się z serdecznością ludzi. Kiedy Andrea jest w pracy, wszyscy szukają mnie. Pomagam przy gotowaniu.

Księża zazwyczaj mówią: jeśli miałbym rodzinę, nie miałbym czasu dla parafii. A im się udaje?

– Wszystko zależy od tego, czy uda ci się znaleźć równowagę. Będzie cię za dużo w parafii, rodzina to odczuje. I odwrotnie.

Codziennie mieszkanie na plebanii bywa trudne. W niedzielę rano chciałybyś zacząć dzień na spokojnie, a tu trzeba otwierać kościół.

– Czasami trochę czegoś takiego brakuje. Ciągłe się coś tutaj dzieje. Sobotnie poranki są spokojne. Mamy czas dla nas. Tak to ustaliliśmy. W pozostałe dni tygodnia wszystko dzieje się szybko od samego rana. Od początku mówiliśmy ludziom: to wy jesteście wspólnotą, nas biskup może stąd zabrać, wy tu pozostaniecie.

Andrea mówi na koniec: – Jeden z proboszczów w Rzymie powiedział mi, że w naszej diecezji robi się teraz przede wszystkim dzieła miłosierdzia, a sakramenty zostały gdzieś z tyłu. Musimy ponownie nauczyć się służyć innym. Diakoniat wzięty na poważnie byłby w tym pomocny. Zanim ktoś zostanie pasterzem, nauczycielem, przewodnikiem wspólnoty, powinien nauczyć się służyć. Papież Franciszek powiedział, że bliskość, współczucie i czułość są rozwiązaniem bólek Rzymu. Nie tylko w Wiecznym Mieście.

© PIOTR DZIUBAK

Mecz między niebem a ziemią

ARTUR SPORNIAK

Watykan użył wybiegu, by poradzić sobie z kolejką osobliwych przypadków, z którymi dotychczas nie bardzo wiedział, co robić.

W MIJAJĄCYM ROKU BYLIŚMY ŚWIADKAMI pasjonującej rozgrywki między Niebem a Ziemią: przeżycia religijne prywatnych osób i towarzyszące im różne zjawiska były badane przez instytucję Kościoła. Wynik?

7:3 – względem siedmiu przypadków wydano pozytywną opinię, natomiast co do trzech orzeczono brak nadprzyrodzoności.

Maryja na co dzień

Prawda jest taka, że Watykan użył wybiegu, by poradzić sobie z kolejką osobliwych przypadków, z którymi dotychczas nie bardzo wiedział, co robić. Po dokonanej w maju reformie przepisów kościelnych dotyczących badania rzekomych zjawisk nadprzyrodzonych orzeczenia na temat prywatnych objawień w roku 2024 wręcz wysypały się z biura Dykasterii Doktryny Wiary. Od 27 czerwca ukazało się dziesięć dokumentów. Ostatni dotyczył najbardziej kłopotliwego przypadku: objawień w Medziugorju.

Są one pod wieloma względami wyjątkowe. Przede wszystkim nie ma innych objawień, które by trwały przez tak długi czas – widzący otrzymali zapewnienie, że będą się powtarzały do końca ich życia. Rozpoczęły się 24 czerwca 1981 r. Maryja ukazała się sześciorgu nastolatkom – tak spore grono widzjących także jest wyjątkowe. Dzisiaj są to osoby w sile wieku, mieszkające w różnych miejscach. Trojgu Gospa – jak ją nazywają – wciąż objawia się codziennie, a pozostałej trójce raz w roku.

Miedzy innymi tą zdumiewającą częstotliwość spotkań z domniemaną nadprzyrodzonością krytykował papież Franciszek. „Jestem osobicie bardziej cyniczny. Wolę Madonnę, która jest Matką Bożą, a nie kierowniczką urzędu telegra-

ficznego, wysyłając komunikaty każdego dnia o określonej godzinie. To nie jest Matka Jezusa” – odpowiedział papież na pytanie dziennikarzy: „Co sądzi o Medziugorju?”, zadane podczas powrotu z Fatimy w 2017 r. Franciszek nie mógł jednak zignorować duchowego fermentu, jakie w Kościele od czterech dekad wywołują objawienia z hercegowińskiej wioski, milionów pielgrzymów, którzy co roku odwiedzają to miejsce, oraz „owoców duszpasterskich” – nawróceń i powołań kapłańskich oraz zakonnych. „Temu nie da się zaprzeczyć” – dopowiedział dziennikarzom.

Kłopot z oceną

Do niedawna podstawowym warunkiem wydania opinii przez Kościół było zakończenie objawień. Tylko do pełnej przekazanej treści Magisterium mogło się odnieść. Ta zasada jest oczywista, skutki jej niedopełnienia były widoczne np. w Fatimie. Zatajenie przez nastoletnią Łucję faktu, że otrzymała trzyczęściową tajemnicę (jak się tłumaczyła, na polecenie Maryi), skutkowało dużymi perturbacjami w Kościele przez kilkadziesiąt następnych lat.

Tak więc „rozmowność” Gospy blokowała wszelkie ruchy Magisterium. Z drugiej strony, ze względu na zasięg oddziaływania zjawiska Kościół nie mógł go zupełnie ignorować. Stąd dość rozpaczliwe działania. W 2010 r. Benedykt XVI powołał specjalną komisję, która miała zbadać orędzia. Komisja pracowała długo, po siedmiu latach wypowiedziała się za autentycznością pierwszych siedmiu objawień. To było rozwiązanie połowiczne. Widzący przecież mają wyraźną świadomość, że wciąż im się objawia ta sama Gospa, co w pierwszym tygodniu. Nie da się przesłania Maryi i jej misji, o której często

sama mówi, zawęzić do kilku początkowych dni. A jednocześnie niektóre jej późniejsze wypowiedzi wywoływały kontrowersje.

Franciszek podszedł do problemu od innej strony. W 2017 r. powołał abp. Henryka Hosera jako swojego specjalnego wysłannika do Medziugorja z zadaniem przyjrzenia się duszpasterstwu prowadzonemu przez franciszkanów w tym słynnym na całym świecie miejscu. Hoser był pod wrażeniem tego, co zastał. Chwalił franciszkanów za propagowanie na masową skalę praktyk „niemal zapomnianych w starej Europie”: różańca, Drogi Krzyżowej, indywidualnej spowiedzi czy adoracji. Uważał, że nawet jeśli by Watykan uznał objawienia za nieautentyczne, i tak nie będzie już można zanegować kultu Matki Bożej Pokoju (tak przedstawia się sama Gospa).

Hoser został na stałe specjalnym wizytatorem apostolskim przy hercegowińskiej parafii (obecnie jest nim abp Aldo Cavalli, mianowany przez papieża po śmierci poprzednika). Ponadto w 2023 r. Franciszek powołał specjalny ośrodek, który na bieżąco monitoruje objawienia i cuda związane z tym miejscem.

To wszystko były działania, które miały okiełznać Medziugorje. Jednak nadal samo zjawisko wymyka się prostej kategoryzacji.

Sposób na decyzyjny paraliż

Kard. Víctor Fernández, nowy przewodniczący Dykasterii Doktryny Wiary, wymyślił, jak obejść problemy stwarzane przez Medziugorje, bo niewątpliwie właśnie te objawienia najbardziej spędzały sen z powiek członkom Dykasterii. Efektem pracy watykańskiego urzędu było opublikowanie 17 maja 2024 r. „Norm postępowania w rozeznawaniu domniemych zjawisk nadprzyrodzonych”.

Zmieniły one reguły gry. Przede wszystkim Magisterium zrezygnowało z wydawania opinii o nadprzyrodzoności – to ten ambitny cel blokował dotychczas rozstrzyganie spraw, których kolejka z czasem bardzo urosła. Dykasteria w tej chwili co najwyżej orzeka, że nie ma przeszkód w rozwoju kultu, któremu badane wydarzenie daje początek. Normy następnie wyliczają różne poziomy poważnych zastrzeżeń, aż do orzeczenia braku nadprzyrodzoności, gdy np. rozpoznane zostanie oszustwo.



Tamara Liz Rivera, Portret Elenity de Jesús z jej słojem krwi, 2018 r.

Jednak nawet wtedy, gdy Dykasteria wydaje pozytywną opinię (o braku przeszkód), nie znaczy to, że wszystko w danym zjawisku jest na równi akceptowalne i godne pochwały. W większości z wydanych dotychczas siedmiu pozytywnych opinii znajduje się zastrzeżenie, że Duch Święty może działać, nawet gdy w akceptowanym przez Kościół zjawisku wmieszane są elementy ludzkiej słabości (a wmieszane są zawsze).

W opublikowanej pod koniec września „Nocie na temat doświadczenia duchowego związanego z Medziugorjem” Dykasteria – oprócz ostatecznego orzeczenia o braku przeszkód i wskazywania na pozytywne aspekty – szczegółowo wylicza

swoje zastrzeżenia (wygodnie składane na karb słabości widzących, np. ich braku zrozumienia przekazanego orędzia).

Dla Dykasterii Matka Boża jest zbyt emocjonalna: „wydaje się okazywać pewną irytację, ponieważ niektóre z Jej wskazówek nie zostały wykonane; ostrzega przed groźnymi znakami i możliwością niepojawienia się więcej, nawet jeśli orędzia są później kontynuowane bez przerwy”.

Jest też natarcywa: „Wydaje się, że Matka Boża promuje słuchanie Jej orędzi tak natarcywie, że czasami to wezwanie wyłania się bardziej niż treść samych orędzi”, co grozi uzależnieniem od nich wierzących.

I chyba najważniejsze zastrzeżenie: „Problematyczne są również te orędzia, które przypisują Matce Bożej wyrażenia »Mój plan«, »Mój projekt«”. Dykasteria obawia się potraktowania Maryi jako „pośredniczki” w zbawianiu, gdy tymczasem jedynym pośrednikiem jest Jezus.

Ostatecznie we wnioskach nota stwierdza, że wydany *Nihil obstat* (nie ma przeszkód) „nie oznacza uznania domniemych nadprzyrodzonych wydarzeń za autentyczne, ale jedynie wskazuje, że »pośród« tego duchowego fenomenu Medziugorja, Duch Święty działa owocnie dla dobra wiernych”.

Łatwo poszło.

Objawienia fałszywe

Tym bardziej łatwo poszło z innymi objawieniami czekającymi w kolejce na watykańską ocenę. Zwłaszcza z tymi, wobec których wydano negatywną opinię, czyli orzeczenie o braku nadprzyrodzoności.

Pierwszym był przypadek sprytniej włoskiej księgowej, która po wycieczce do Medziugorja postanowiła, że też będzie widzącą. Od 2016 r. Giselli Cardii zaczęła się ukazywać Maryja, potem Jezus i sam Bóg Ojciec. I podobnie jak w hercegowińskiej wiosce, widzeniom nie ma końca. Nietrudno było w tych „objawieniach” dostrzec liczące na ludzką łatwość oszustwo. (Pisałem o tym przypadku w tekście „Polska stała się światowym centrum naukowego badania cudów”).

Innym odrzuconym przypadkiem są objawienia Maryi z Amsterdamu z lat 1945-59. W tym przypadku Dykasteria ujawniła utajnione orzeczenie Pawła VI z 1974 r., stwierdzające brak nadprzyrodzoności w szerzonym przez Idę Peerde-man kulcie Pani Wszystkich Narodów. Ukazująca się jej zjawia m.in. domagała się ogłoszenia w Kościele piątego maryjnego dogmatu o Maryi Współodkupicielce i Pośredniczce.

Stosowana przez Watykan przez wiele lat praktyka niepublikowania swoich orzeczeń pozwalała uniknąć krytyki wierzących, ale odpowiedzialność przerzucała na biskupa miejsca (który musiał się martwić, jak zakazać kultu, nie powołując się na Watykan). Normy kard. Fernández de la Hoya odeszły od tej wygodnej choć kontrproduktywnej dyskrekcji.

Trzecia negatywna opinia Dykasterii dotyczy kultu, który powstał w Puerto

→ Rico wokół postaci żyjącej pod koniec XIX w. misjonarki i ascetyczki – Elenity de Jesús, utożsamianej z inkarnacją Maryi Dziewicy.

Nie ma przeszkód

Po ogłoszeniu norm w ciągu kilku miesięcy Watykan zlikwidował kolejkę lokalnych kultów związanych z prywatnymi objawieniami oczekujących oceny. Zatwierdził kult Maryi Róży Mistycznej, propagowany przez mistyczkę Pierinę Gilli, doświadczającą objawień w latach 1946-83 we włoskiej miejscowości Fontanelle di Montichiari.

Podobnie pozytywnie został potraktowany kult Naszej Pani na Skale w kalabryjskiej miejscowości Santa Domenica di Placanica, gdzie powstało sanktuarium maryjne w miejscu objawień z 1968 r., których doznał osiemnastoletni Cosimo Fragomeni.

Nihil obstat otrzymał także kult Trójcy Przenajświętszej jako źródła miłosierdzia w sanktuarium w Maccio w Villa Guardia. Kult zapoczątkował swoimi pismami nauczyciel muzyki, dyrygent chóru, mąż i ojciec dwóch córek Gioacchino Genovese. Od 2000 r. zapisuje on swoje „intelektualne wizje”.

Nietypowy list od kard. Fernández de la Hoya otrzymał biskup miejscowości Vailankanni w Indiach, gdzie znajduje się Sanktuarium Matki Bożej Dobrego Zdrowia, którego początki sięgają XVI w. Jak głosi

legenda, w tym miejscu Maryja spotykała się z biednymi i chorymi chłopcami. Prefekt Dykasterii Nauki Wiary tym razem nie wydaje żadnej opinii, tylko pisze o „duchowym pięknie” tego miejsca.

Dwa ostatnie pozytywne orzeczenia dotyczą kultów wyrosłych w Hiszpanii i we Francji. Nabożeństwo do Matki Boskiej Bolesnej w Chandavila zrodziło się z duchowych doświadczeń przeżywanych w 1945 r. osobno przez Marcelinę Barroso Expósito i Afrę Brígido Blanco. Marcelinie Maryja objawiła się na kasztanowcu w „czarnym płaszczu pełnym gwiazd”. Z kolei pod koniec XIX w. we francuskim sanktuarium w Pellevoisin podczas objawień Maryi cudownie uzdrowiona została z nieuleczalnej choroby Estelle Faguette. Krzewiła ona potem nabożeństwo do Matki Bożej Miłosierdzia.

A jednak się kręci

Wróćmy do Medziugorja, bo jak widać, różni się ono znacznie od rozpatrywanych pozytywnie czy negatywnie powyższych przypadków. Czy Watykan rzeczywiście oświadczył to niezwykle zjawisko?

Z jednej strony to najlepiej zbadane naukowo objawienia w historii – za zgodą Gospa widzacy byli podczas ekstaz kilkakrotnie badani przez różne ekipy naukowców (m.in. badacze drażnili nylonową nitką źrenice widzających, co nie wywoływało żadnej reakcji). Z drugiej – orę-

dzia Maryi Królowej Pokoju zawierają mocno ezoteryczne przesłanie i kontrowersyjne elementy.

Dykasteria Nauki Wiary z dezaprobatą wypowiedziała się o „misji”, którą Gospa swoimi ukazowaniami się realizuje. Można ów element „na papierze” zignorować. Przyglądając się całości orędzi, trudno nie brać jednak owej „misji” pod uwagę. Nie da się obecnie Medziugorja pomyśleć bez dziesięciu tajemnic przekazanych widzającym (troje z nich na razie poznało dziewięć). Pierwsze trzy będą znakami zapowiadającymi apokaliptyczne wydarzenia, dającymi czas na nawrócenie ludzi. Trzecia – to trwały znak, który pojawić się ma w Medziugorju. Pozostałe to zapowiedź trudnych doświadczeń, które sami na siebie ściągamy jako kary.

Rys prorocki i apokaliptyczny nie jest obcy innym objawieniom – przypomnijmy Fatimę. To, co wyróżnia Medziugorje, to szczegółowa zapowiedź procesu ujawniania tajemnic. Gospa wybrała do tego celu jedną z widzających. Mirjana Dragičević (ur. 1965) otrzymała „nadprzyrodzony artefakt” przypominający czystą kartę pergaminu. Gdy nadejdzie odpowiednia pora, pojawi się na niej pierwsza tajemnica – będzie ona mogła być odczytana przez wybranego przez Mirjanę franciszkanina o. Petara Ljubičića (ur. 1946). To on będzie ogłaszał światu treści pojawiające się na pergaminie.

Trudno przecenić religijny potencjał tych zapowiedzi, zwłaszcza w świadomości rychłego ich spełnienia (o. Petar ma już 78 lat). Aż dziw, że na kanwie objawień w Medziugorju nie powstał jeszcze film fabularny: ich historia to prawie gotowy scenariusz thrillera z elementami fantasy.

Historia od nowa

Wygląda więc na to, że historia Medziugorja jeszcze się na dobre nie zaczęła, a Magisterium wcale nie jest na ten nowy początek przygotowane. Choć może się również i tak zdarzyć, że np. Gospa ogłosi, iż z powodu ludzkich modlitw odwołuje swój dziesięciopunktowy ezoteryczny plan, a nadprzyrodzony artefakt zabiera z powrotem do Nieba.

Gdy Niebo styka się z Ziemią, właściwie nie ma reguł, przy pomocy których moglibyśmy nad tym wydarzeniem zapanować.

© © ARTUR SPORNIAC

*Kiedy umrę, zobaczę podszewkę świata.
Drugą stronę, za ptakiem, górą i zachodem słońca.
Wzywające odczytania prawdziwe znaczenie.
Co nie zgadzało się, będzie się zgadzało.
Co było niepojęte, będzie pojęte.*

Czesław Miłosz

Naszemu drogiemu Koledze

Jerzemu Illgowi

składamy wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Brata

Jacka Illga

tłumacza i wydawcy, badacza literatury czeskiej

ZARZĄD I PRACOWNICY SPOŁECZNEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO „ZNAK”

WOJCIECH

Bonowicz: *Bez końca*



POSŁUCHAJCIE TAKIEJ HISTORII, NAWET jeśli nie jest prawdziwa. A nie mogę zaręczyć, że jest, bo musiałem wyśiąść, zanim historia dobiegła końca. Nie przyjrzałem się uważnie opowiadającej, nie mogę też zaręczyć, że wszystko usłyszałem dobrze, bo kiedy się odwracała, opowiadając, musiałem naprawdę wytężyć słuch. A słuch mam już nie tak dobry jak kiedyś.

Rzecz działa się gdzieś w centralnej Polsce, bo pojawiały się nazwy takich miast jak Radom, Łódź i Skierniewice. Bohaterami opowieści byli młodzi małżonkowie, którzy bardzo długo czekali na dziecko, a kiedy w końcu się doczekali, okazało się, że będą mieli bliźnięta – dziewczynkę i chłopca. Dzieci rosły i rozwijały się zdrowo i równo, ale z czasem dziewczynka zaczęła wyprzedzać chłopca, który zrobił się apatyczny, wycofany i zaczął mieć kłopoty w nauce. Dziewczynka pomagała bratu, jak mogła, ale kiedy przyszło do wyboru szkoły średniej, rodzice postanowili ich rozdzielić. Od tej pory chłopiec uczył się jeszcze gorzej i jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Chodził, o ile dobrze zrozumiałem, do technikum, ale skończył zaledwie dwie albo trzy klasy i w końcu zatrudnił się gdzieś jako portier. Siostra skończyła studia i wyjechała za granicę, tam wyszła za mąż i urodziła dwójkę dzieci, również bliźnięta. Jej kontakty z bratem rozluźniły się, aż w końcu zupełnie ustały. Kiedy przyjechała do Polski z nastoletnimi już dziećmi, nawet nie starała się go odnaleźć.

Oczywiście, nie musimy ufać opowiadającej. To jej wersja wydarzeń, mogły one przecież wyglądać inaczej. Ja też zresztą, streszczając tę historię, gubię niektóre szczegóły. Już widzę, że opowiadam ją zbyt gładko, gdy tymczasem powinienem użyć mowy pozornie zależnej, przywołać pewne charakterystyczne sformułowania. Opowiadająca używała na przykład mnóstwa zaimków, tak że chwilami trudno się było zorientować, kogo lub co ma na myśli. Nie wiadomo, czy siostra przyjechała do Polski sama, czy z mężem. W każdym razie ona także miała syna i córkę. Dzieci dobrze się rozwijały, syn był uzdolniony artystycznie, chodził do szkoły muzycznej, a córka miała talent do przedmiotów ścisłych. W czasie pobytu w Polsce wydarzyło się jednak coś, co kobieta określiła słowem, którego nie zrozumiałem. Zniżyła zresztą głos, jakby było to coś, o czym nie wypada mówić przy obcych. W rezultacie kobieta została w kraju, a dzieci wróciły do domu. Po kilku miesiącach przyjechały ponownie do Polski i zamieszkały z matką.

Życie całej trójki bardzo się skomplikowało. Kobieta wynajęła dom, ale z jakiegoś powodu musiała się z niego wyprowadzić. W kolejnym miejscu, w którym zamieszkała z dziećmi, było włamanie i została okradziona. Przeprowadzała się kilka razy, zmieniając, jak rozumiem, nie tylko adresy ulic, ale i miasta. Dlaczego nie nawiązała kontaktu z rodzicami, nie wiadomo. Zniknęli z opowieści, choć na początku wydawali się bardzo ważni. Cały czas nie było kulminacji. Zauważyłem, że inni pasażerowie także przysłuchują się tej historii. Miałem wrażenie, że opowiadająca, zdając sobie z tego sprawę, zastanawia się, co zrobić dalej: czy zakończyć ją szybko, czy jeszcze trochę pociągnąć. Zostały mi cztery przystanki.

W końcu kobieta z opowieści znalazła w miarę spokojne miejsce do życia i wszystko zaczęło się układać. W któreś urodziny, namówiona przez dzieci, wybrała się do schroniska, a po jakimś czasie przyprowadziła stamtąd psa. Opowiadająca poświęciła psu dwa przystanki, ale ja zapamiętałem tylko, że był to czerwony seter, trzeba było z nim wychodzić na spacer cztery razy dziennie i miał jedno upodobanie – okropnie lubił wodę. Na spacerach od razu ciągnął nad staw lub rzekę, wskakiwał do fontanny, kładł się w kałużach. Któregoś razu nad stawem zaczepił ją mężczyzna, który też spacerował z psem. Powiedział, żeby uważała, bo niedawno w tym miejscu zdarzył się wypadek: taki sam pies jak jej skoczył do wody i pociągnął za sobą swojego pana. Pan albo nie umiał pływać, albo uderzył głową w coś, co leżało pod wodą, tak czy owak nie wypłynął. Mężczyzna przyjrzał się seterowi i dodał: „On wygląda dokładnie jak tamten pies”. A kobieta odpowiedziała: „Bo to jest tamten pies”.

Nie wiedziałem, co zrobić. Mogłem przejechać jeszcze jeden przystanek, ale nie więcej. Opowiadająca jednak nagle zamilkła. Spodziewałem się – i pewnie inni pasażerowie także – że w opowieści znów pojawi się brat kobiety. Przyzwyczailiśmy się, że jeśli historia rozdzieliła jakieś rodzeństwo, to na koniec z pewnością je połączy, inaczej po co byłoby ją opowiadać. Miałem też mnóstwo pytań, bo przecież czerwony seter to dość charakterystyczny pies. Czy rzeczywiście czekałby w schronisku przez wiele miesięcy, aż ktoś się nim zainteresuje? A może ludzi odstraszała historia, w jaką był wpłątany? Kobieta jednak milczała, a ja w końcu wysiadłem.

Tego dnia było bardzo mroźno, może był to najmroźniejszy dzień grudnia, który poza tym był raczej ciepły. Powoli zapadał zmierzch. Z jednej strony podobało mi się, że historia, której wysłuchałem, nie miała oczekiwanego finału. Z drugiej wspomniane przyzwyczajenie sprawiło, że byłem rozzaczarowany, a nawet zły, że tak się to potoczyło. Zajęty swoimi myślami, omal nie wszedłem na przejście dla pieszych na czerwonym świetle. Na szczęście ktoś z tyłu krzyknął ostrzegawczo. Obejrzałem się, żeby podziękować, ale nikogo za mną nie było. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem.
Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

CO JEST CI PISANE?

Szukacie horoskopu na nowy rok?
A zastanowiliście się, dlaczego?
Co sprawia, że astrologia – jedna
z najstarszych form ludzkiej
aktywności, wydawałoby się:
skompromitowana przez naukę
i nowoczesny racjonalizm
– przeżywa renesans?

TOMASZ STAWISZYŃSKI

DOKŁADNIE WIESZ, CZEGO SIĘ SPODZIEWAĆ” – takim hasłem reklamowym aplikacja Co Star kusi potencjalnych użytkowników. Najwyraźniej bardzo skutecznie. W 2023 r., tak przynajmniej wynika z oficjalnych danych, było ich ok. 30 milionów. Dzisiaj – z pewnością więcej, projekt bowiem dynamicznie się rozwija. „Dziko popularna” – napisał o niej „The New York Times”. „Wszyscy już jej używają” – to z kolei „New Yorker”. „Oto idealna aplikacja na współczesne czasy” – ogłosił „The Verge”.

Ale Co Star to bynajmniej nie jedyny program, dzięki któremu – za stosunkowo niewielką opłatą – można uzyskać kompleksową analizę planetarnych układów określających ponoć nasze indywidualne losy. Od horoskopu urodzeniowego, czyli konstelacji ciał niebieskich w momencie, w którym przyszliśmy na świat, aż po codzienne tranzyty, czyli aktualne pozycje planet względem tej urodzeniowej konstelacji. Od precyzyjnego opisu naszych silnych i słabych punktów, przez sugestię, jakiego typu zawód jest nam „przeznaczony”, aż po możliwość sprawdzenia, czy świeżo



poznana osoba to ta upragniona, największa miłość. Analogiczne usługi oferują m.in. The Pattern, autorstwa niegdysiejszej youtuberki Lisy Donovan, czy Chani, firmowana przez Chani Nicholas, jedną z najpopularniejszych współczesnych amerykańskich astrolożek, której książka „To jest ci pisane” znalazła się ongiś na ósmym miejscu listy bestsellerów „The New York Times”.

Wszystko to jest symptomem zjawiska o szerszej skali. Ogromny wzrost zainteresowania astrologią widać nie tylko na przykładzie wspomnianych aplikacji, lecz także sprzedaży książek, gadżetów i warsztatów, statystyk wyszukiwanych fraz czy „klikalności”. Według raportu Allied Market Research, w 2021 r. globalny rynek usług ezoterycznych – którego znaczną część zajmuje astrologia – warty był prawie 13 mld dolarów. W Polsce – 2-3 mld zł w skali rocznej. Od kilku lat sporo pisze się o tym, że zwłaszcza dla ludzi urodzonych w latach 80. i 90. XX w. astrologia staje się czymś na kształt powszechnie przyjmowanego światopoglądu. Językiem, który pomaga rozumieć rzeczywistość i własne doświadczenie. Objasniać i oswajać wzloty i dramaty, porażki i sukcesy, życiowe powikłania i okresy *prosperity*.

Ale przecież musi być w tym coś więcej. Coś, co sprawia, że jedna z najstarszych form ludzkiej aktywności, wydawałoby się: doszczętnie skompromitowana i ośmieszona przez naukę i nowoczesny racjonalizm, w drugiej dekadzie XXI w. przeżywa triumfalny renesans.

Co to takiego? I dlaczego jest to, wbrew pozorom, bardzo poważna sprawa?

Żeby odpowiedzieć na te pytania, zwróćmy się do człowieka, który w znacznym stopniu się do tego renesansu przyczynił.

PODSŁUCHANA ROZMOWA | „Astrologia jest podsłuchaną rozmową bogów na nasz temat” – mawiał Carl Gustav Jung, zmarły w 1961 r. szwajcarski psychiatra i psycholog, którego uważa się za jednego z ojców chrzestnych astrologicznego boomu.

Jung nigdy się nie krył ze swoją fascynacją takimi sprawami, była ona zresztą jednym z powodów jego rozstania z twórcą psychoanalizy Zygmuntem Freudem. Ten ostatni początkowo uważał go za swojego następcę, niemal duchowego syna. Ale po krótkim okresie intensywnej współpracy zaczęły się między nimi zaznaczać nieprzekraczalne różnice. Np. dotyczące stosunku do rozmaitych form ezoteryki. Czyli rozległej duchowo-filozoficznej tradycji, która – jak twierdzą tacy jej współcześni badacze, np. zmarły w 2012 r. historyk Nicholas Goodrick-Clarke czy filozof Paul S. Macdonald – tym się przede wszystkim charak-

teryzuje, że była i jest solą w oku zarówno dla Kościoła katolickiego, jak i dla oficjalnej nauki. Charakteryzuje się także, a przynajmniej do pewnego momentu charakteryzowała, egzystencją w cieniu, na uboczu, na marginesie.

Ezoteryka to „wiedza odrzucona”, ukryta, dostępna tylko dla wybranych. Oraz wiedza o subtelnych, niewidocznych, tajemnych poziomach istnienia. Połączeniach pomiędzy człowiekiem a światem, mikro- i makrokosmosem, których szkiełko i oko naukowca nie jest w stanie pochwycić, a których lęka się i nie rozumie ortodoksyjny teolog czy kapłan. Żeby je dostrzec, trzeba specjalnych predyspozycji. Aktywacja intuicji, otwarcie „trzeciego oka”, rozwinięcie nadmysłowych władz albo znajomość symbolicznego kodu, który otwiera schowane przed wzrokiem profanów drzwi – oto niektóre do tego niezbędne elementy.

Takim właśnie kodem otwierającym schowane drzwi jest prastary, bo wywodzący się jeszcze z Mezopotamii, astrologiczny system gwiazdnych symboli. Jakości i energii reprezentowanych przez 12 znaków zodiaku, Słońce, Księżyc, Merkurego, Wenus, Marsa, Jowisza, Saturna, Urana, Neptuna i Plutona (trzy ostatnie obiekty dołączyły stosunkowo niedawno). Jeśli tylko nauczymy się odczytywać ich dialekt, a także interpretować zachodzące pomiędzy nimi interakcje – powiadają astrologi – uzyskamy dostęp do subtelnej mechaniki przeznaczenia. Arytmetyki losu świata i człowieka, ludzkości i każdej jednostki z osobna. Nauczymy się więc podsłuchiwać decydujących o naszym życiu „bogów”. Kosmiczne siły, które wcale nie rzucają kośćmi, lecz poruszają się wedle ściśle zdefiniowanych, matematycznych prawideł. Ich ilorazami i iloczynami są nasze charaktery, osobowości, jednym słowem – wszystko, co nas w życiu spotyka.

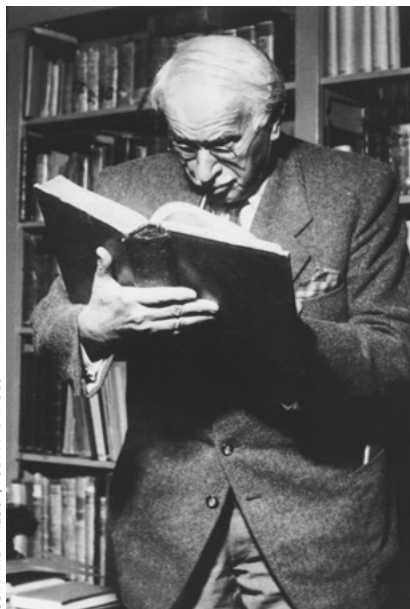
ODCZAROWANIE / ZACZAROWANIE | To właśnie nie podobało się Freudowi. Ostatecznie psychoanaliza miała być najbardziej efektywnym środkiem niszczącym złudzenia, jakie człowiek nieustannie produkuje na swój temat w jednym głównym celu: żeby nie konfrontować się z tym, jak realnie przedstawia się jego sytuacja w świecie. A przedstawia się niezbyt wesoło. Człowiek to istota wyłącznie biologiczna, powodowana instynktami. Skazana na nierozwiązywalne konflikty pomiędzy własnymi pragnieniami a rozmaitymi ograniczeniami uniemożliwiającymi ich zaspokojenie. Religia, metafizyka, mitologia – to tylko mrzonki, w najlepszym razie metafory, z pomocą których staramy się sami przed sobą ukryć przerażającą prawdę. Życie nie ma żadnego sensu poza tym, który mu sami nadamy, świat składa się z materii, wszystkim rządzą biologia i przypadek.

Natalia Polasik, *Mystery (fragment)*, 2024 r.

→ Psychoanaliza, choć uchodzi za wzorcowy przykład teorii niefalsyfikowalnej, a więc dalekiej od racjonalności, jest w prostej linii wykwitem procesu „odczarowania świata”, jak go ongiś nazywał Max Weber. Proces ten, nabierający rozpędu od czasów Oświecenia, polegał, w największym skrócie, na dekonstrukcji religijno-metafizycznych przekonań, wedle których rzeczy i myśli nie są od siebie fundamentalnie różne, lecz tworzą płynne kontinuum. W modelu zaczarowanym sens nie przysługuje wyłącznie naszemu wypowiedziom o świecie, lecz jest w świat na głębokim poziomie wpisany. Współtworzy go, nadaje mu kształt, reguluje, a wreszcie sprawia, że staje się on dostępny ludzkiemu umysłowi utkanemu z tej samej subtelnej materii. Tymczasem nauka, psychoanaliza, literatura, a także historia – która w XX w. odsoniła przed nami bezmiar chaosu i okrucieństwa – nie pozostawiają złudzeń: ludzki umysł jest produktem ewolucji, nie czuwa nad nami żadna opatrność. Sens jest wyłącznie pochodną naszych aparatów poznawczych, nie ma go nigdzie indziej poza naszymi głowami. Pierwszym nowożytnym myślicielem, który dokonał takiego radykalnego rozdzielenia i zapoczątkował proces odczarowania, był oczywiście XVII-wieczny francuski filozof Kartezjusz.

Z podobną konstatacją z kolei nigdy nie był w stanie pogodzić się Jung. Jednym z celów jego teorii było odwrócenie procesu odczarowania, a może raczej: zaczarowanie świata na nowo. Materia i ludzki umysł, materia i ludzka psychika – przekonywał – są tak naprawdę dwiema stronami tego samego medalu. Łącznikiem między nimi jest tzw. zasada synchroniczności. Wiąże ona – akauzalnie, czyli nieprzyczynowo – zdarzenia materialne i zdarzenia psychiczne, uniwersum rzeczy i uniwersum sensów. Przykłady? Ot choćby takie z pozoru przypadkowe koincydencje, jak spełniający się sen albo nagle myśl o kimś dawno niewidzianym poprzedzająca spotkanie tego kogoś na ulicy. Nie ma tu żadnego związku przyczynowo-skutkowego. Te fakty – materialny i psychiczny, sen i zdarzenia na jawie, myśl i spotkanie – w żaden uchwytany sposób nie wywołują jedne drugich. A zarazem są jakoś ze sobą splecione. Tym zaś, co je spleta, jest znaczenie. Z jednej strony, wydawałoby się, ulotne i subiektywne. Z drugiej – narzucające się jako przemożna, „znacząca koincydencja”.

Na tej właśnie zasadzie – postulował Jung – „działa” astrologia. Nie jest ona bynajmniej reliktem dawnych ciemnych czasów. Nie jest też pomyłką, pseudonauką czy ślepym zaufaniem historii wiedzy. Jest głęboką, praktyczną filozofią wyrastającą z dawnego sposobu patrzenia na świat i człowieka jako na integralną, niepodzielną całość, która – by tak rzec – pulsuje sen-



CENTRAL PRESS / GETTY IMAGES

Carl Gustav Jung (1875–1961)

Astrologia nie jest pomyłką
czy pseudonauką, tylko
głęboką, praktyczną filozofią
– przekonywał Jung.
**Filozofią wyrosłą z dawnego
sposobu patrzenia na świat
i pulsującą sensem.**

sem. W tej wizji umysł i kosmos nie są oddzielone nieprzekraczalną barierą, lecz stanowią manifestacje jednego bytu. Zarówno doświadczenie wewnętrzne, wyobraźnia, rozum, jak i formy materialne, ba, wszystko, co istnieje, układa się wedle tych samych wzorców. Ich porządek – na zasadzie synchroniczności – odbija się na niebie w skomplikowanych układach planet. Nie oddziałują one jednak na nasze życie wprost, nie da się wskazać żadnego mechanizmu, zgodnie z którym miałyby cokolwiek na ziemi „wywoływać”. W interpretacji Junga są raczej czymś na kształt lustra, które – wedle hermetycznej reguły „jak na górze, tak na dole” – odbija głęboką dynamikę jakości tworzących rzeczywistość.

LEK NA DEFICYT SENSU | O ile Freud wygrał konkurencję z Jungiem na polu humanistyki – akademicy psychologowie wprowadzili odrzucając psychoanalizę jako pseudonaukę, żyje ona jednak na wydziałach literaturoznawstwa, socjologii, filozofii czy rozmaitych *studies* – o tyle przegrał na polu zbiorowej wyobraźni. Kontrkultura lat 60. z jej fascynacją Wschodem, szamanizmem, ezoteryką czy magią, późniejszy o dekadę ruch New Age, mariaż psychoterapii i duchowości – za tym wszystkim niewątpliwie stoi Carl Gustav Jung.

Wydaje się również, że jego podstawowa intuicja – współczesny człowiek cierpi na deficyt sensu, a powodem wielu jego problemów i zaburzeń jest alienacja od jakiejś wyższej, przekraczającej doraźność struktury symbolicznej – okazała się trafna. W latach 70. minionego stulecia Mircea Eliade, inny wybitny badacz tego, co tajemnicze i irracjonalne, pisał, że kontakt z astrologią pozwala na nowo poczuć się integralną częścią wszechświata. Doświadczyć łączności z całym istnieniem. Przewyciężyć nieznośny ciężar wyobcowania z porządku natury, z nieprzyjaznego kosmosu, który w teleskopowym zbliżeniu jawi się jako odpychający, zimny, nie-ludzki bezmiar.

Już niemal sto lat temu Jung zdawał sobie sprawę z tego, że na terenie zachodniej kultury chrześcijaństwo staje się coraz mniej zrozumiałe i żywotne. Że w opustoszałe miejsce po nim wkraczać będą rozmaite inne duchowo-



ADOBE STOCK

ści. Zresztą własna psychologia Junga miała ponie-
kąd spełniać takie zadanie. Stąd w książkach „Aion”
czy „Odpowiedź Hiobowi” tak wiele miejsca poświę-
cał analizie chrześcijańskich i gnostycznych wierzeń,
w tym także (w „Aionie”) astrologicznej symbolice
ryb. W astrologii widział również „starszą siostrę psy-
chologii”. Dyscyplinę, w obrębie której przez tysiącle-
cia wypracowano niezwykle subtelny język pozwa-
lający opisywać, w najdrobniejszych niuansach, zło-
żony świat ludzkiej *psyche*. Skądinąd, astrologiczna
wizja osobowości jako konglomeratu zróżnicowanych
sił, które wchodzą ze sobą w dynamiczne interakcje,
wzmacniają się albo wręcz przeciwnie, wzajemnie blo-
kują lub zapętlają, wydaje się nadzwyczaj nowocze-
sna. Odpowiada także ludowej mądrości: każdy z nas
ma wiele różnych twarzy, które odsłaniają się często
dopiero pod wpływem jakichś zewnętrznych lub we-
wnętrznych presji.

M.in. dlatego astrologia – jak zauważył Eliade
– współczesnemu człowiekowi jawi się jako niezwy-
kle atrakcyjna alternatywa. Kompletny światopogląd,
filozofia życiowa, która ma taką przewagę nad innymi
filozofiami, że daje się stosować tu i teraz. Jej efekty do-
stępne są natychmiast, gotowe do wdrożenia w kon-
kretnych problemach, rozterkach czy dylematach.
W świecie, w którym z jednej strony narasta poczucie
niestabilności i nieprzewidywalności – z powodu eko-
nomicznych kryzysów, pandemii, wojen, widma ka-
tastrofy klimatycznej – przesłanie, że wszechświat to
sensowny organizm, w którym każdy ma swoje miej-
sce, okazuje się nadzwyczaj kojące (i nie zakłóca tego
nawet fatalizm, który przychodzi tutaj w pakiecie – ale
to już temat na inne rozważania).

KOSMOS W CHAOSIE | Aplikacje, książki, warsztaty i sesje astro-
logiczne podszeptują, że otaczający nas nieporządek jest w isto-
cie porządkiem wyższego rzędu. Chaos – kosmosem. Przypadek
– koniecznym składnikiem równania, które da się starannie
wyliczyć. Do tego w perspektywie astrologicznej nie istnieją
kryzysy permanentne, każdy jest przejściowy, każdy kiedyś
się kończy, a po nim przychodzi czas powodzenia. Owszem,
można sobie wyobrazić jakieś oplakane horoskopy uro-
dzeniowe, gdzie dominują same nieharmonijne układy,
a władzę nad całością sprawują mocno usadowione
Saturn czy Mars, energie, jak je dawniej nazy-
wano, maleficzne, czyli złowróżbne. Nie-
mniej nawet przy najbardziej nieko-
rzystnych układach urodzeniowych,
w każdym horoskopie prędzej
czy później zdarzają się dobro-
czynne transyty Jowisza. Albo
dokonujące gwałtownych
przeobrażeń – niekiedy na lep-
sze – transyty Urana.

Nade wszystko jednak
– i jest to aspekt najmniej
brany pod uwagę w anali-
zach renesansu astrologii



Katarzyna Medycejska ze swoim astrologiem Nostradamusem,
druga połowa XVI w.

– atrakcyjna jest tutaj odmienna od nowoczesnej wizja świata.
Zintegrowanego, znaczącego, celowego, dającego się opisać z po-
mocą sugestywnej symboliki. Oraz człowieka z tym światem
zrośniętego, połączonego niewidzialnymi nićmi sensu. W tej
wizji każdy z nas ma swoje gwarantowane, konieczne miejsce.
Nie jesteśmy bytami przygodnymi, nie wzięliśmy się z przy-
padku. Nie jest tak, jak podpowiadają fizyka i biologia – że nie
zaistnielibyśmy w takim czasie i miejscu, z takimi a nie innymi
cechami, gdyby tylko minimalnie zmieniły się przygodne oko-
liczności. Nie jest więc tak, że równie dobrze mogłoby nas nie
być. Przeciwnie: policzalne miliony lat do przodu i wstecz ta-
jemne rachuby wszechświata od początku zakładały, że przy-
dziemy na świat. A całe nasze życie ma w nich swój staran-
nie przewidziany przebieg, swoją starannie zaprogramowaną
logikę i trajektorię. Możemy więc na chwilę odetchnąć, mo-
żemy się zatrzymać, nie musimy się tak bardzo bać. Dokładnie
wiemy, czego się spodziewać.

A że wedle nauki to wszystko jest mitem, bajką, słowem
– nie ma prawa działać? Ze z jednego poczucia braku spraw-
czości niepostrzeżenie przenosi nas w domenę innego fatum?
Cóż, historia pokazuje, że nie raz już przedkładaliśmy piękny
mit nad brutalną prawdę. Być może tak nas właśnie ukształto-
wała ewolucja. A być może zadecydowała o tym niewidzialna
buchalteria kosmicznych sił.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI





ŚWIAT

CZARNOMORSKI POLIGON

Bułgaria, Mołdawia, Rumunia: zachodnie wybrzeże
Morza Czarnego odegra w 2025 r. istotną rolę dla całej Europy.
Widoczne tu zjawiska – w tym rosyjskie operacje wpływu
– mogą zostać przeniesione także na inne kraje.

PIOTR OLEKSY Z KISZYNIOWA (MOŁDAWIA)

W NAJLEPSZEJ SYTUACJI Z CAŁEJ GRUPY jest Valentin. Wiele wskazuje na to, że w jego ojczystej Bułgarii wkrótce odbędą się kolejne wybory parlamentarne: już ósme w ciągu czterech lat. Bułgarski serial wyborczy zdążył się co prawda znudzić międzynarodowej publice, jednak za sprawą wojny w Ukrainie i kryzysów politycznych w Gruzji, Mołdawii i Rumunii Europa znów zwróciła uwagę na region Morza Czarnego.

To wszystko nie jest oczywiście powodem do radości, ale długa historia implozji bułgarskiej sceny politycznej pozwoliła Valentinowi przemyśleć jej przyczyny. Teraz może śmiało mówić, że Bułgaria to model, który pokazuje, jak korupcja i zawłaszczenie państwa prowadzą do jego dysfunkcyjności. Co skrętnie wykorzystuje Rosja oraz lokalni gracze, którzy odwołują się do historycznych mitów i resentymentów.

Model, który niebezpiecznie rozprzestrzenia się w tej części Europy.

Kluczowe peryferia

Tymczasem zachodnie wybrzeże Morza Czarnego ma ogromne znaczenie dla europejskiej architektury bezpieczeństwa. Zarówno ze względu na układ sił na samym akwenie, obecność NATO-owskich (głównie amerykańskich) żołnierzy i systemu obrony przeciwrakietowej w Rumunii, a także prozachodnią neutralność Mołdawii, która daje Ukrainie gwarancję spokoju na południowym zachodzie.

Doświadczenia ostatnich lat ujawniły też, po raz kolejny, znaczenie tego obszaru dla dostaw gazu. Bułgaria jest kluczowa dla tranzytu, a Rumunia wkrótce stanie się ważnym eksporterem energii. Bukareszt jest też najważniejszym partnerem dla eksportu ukraińskiego zboża, co ma znaczenie nie tylko dla walczącego państwa, ale również dla światowego bezpieczeństwa żywnościowego. Nie do przecenienia jest też rola Rumunii w zaopatrywaniu Kijowa w zachodni sprzęt wojskowy.

Tak to już jest, że bezpieczeństwo Zachodu, a także jego zdolność oddziały-

wania na świat, zależą w dużej mierze od jego peryferii.

Jesienne przyspieszenie

Gdy na początku 2024 r. do pracy nad raportem na temat postaw prorosyjskich i antyzachodnich w Bułgarii, Mołdawii i Rumunii zaprosiłem właśnie Valentina Valkanova, a także ekspertów z dwóch pozostałych państw – Tatianę Cjocari i Cristiană Ghîță – wydawało się nam, że znaczenie tego tematu dostrzega tylko wąska grupa ekspertów.

Zdawało się również, że sytuacja jest wprawdzie niepokojąca, ale stabilna. Bułgaria trwa w kryzysie, do którego wszyscy się przyzwyczaili. Mołdawię szarpia niepokoję podsypane przez Rosję, ale jej proeuropejski kurs jest silnie zakorzeniony w społeczeństwie. A Rumunia jest po prostu bastionem Zachodu, impregnowanym na prorosyjskość.

Jesień 2024 r. radykalnie zmieniła obraz sytuacji. W Mołdawii referendum w sprawie integracji z UE przeszło o włos. W Rumunii pierwszą turę wyborów prezydenckich niespodziewanie wygrał kandydat, którego szybko powiązano z Rosją, a wkrótce Sąd Konstytucyjny anulował cały proces wyborczy. Dlatego to Valentin znalazł się w najlepszej sytuacji z całej grupy.

Szepty zza kulis

– Gdy ktoś mnie pyta o poparcie dla poszczególnych partii, nie muszę sprawdzać sondaży. Po prostu przywołuję wyniki wyborów, które były nie dalej niż pół roku temu – mówi Valkanov z gorzkim uśmiechem. – Nie ma w tym nic wesołego, bo parlament robi się coraz bardziej prorosyjski – dodaje. – Znów jesteśmy w sytuacji, gdy GERB, czyli partia Bojko Borisowa, przedstawia się jako gwarant europejskiego kursu. GERB, ten symbol korupcji i zawłaszczenia państwa!

Gwałtowny wzrost obecności haseł prorosyjskich i antyzachodnich w bułgarskich mediach Valkanov i jego współpracownicy notowali już w latach 2013–16. Zauważyli pojawienie się nowego zestawu pojęć i narracji, które na nowo opisywały procesy polityczne w kraju i Europie.

Opowieść ta bazowała na tezie, że Zachód słabnie, i że jest sterowany przez globalnego hegemon, czyli USA. Podkreślano, że kwestie obyczajowe, zwłaszcza związane z mniejszościami seksual-

nymi i ekologią, a także takie pojęcia jak praworządność, to narzędzia ucisku, którymi posługują się skorumpowane elity europejskie.

Z drugiej strony pokazywano Rosję jako państwo odbudowujące swoją potęgę i stawiające opór „zachodniej ideologii”. W centrum znajdował się zaś „narod”, który miał być wyzyskiwany przez Zachód i lokalne elity.

Bułgaria celem Kremla

Valentin nie ma wątpliwości, że te klisze językowe i narracyjne zostały przygotowane przez rosyjskich „technologów politycznych”. I okazało się, że to właśnie w Bułgarii trafiły one na niezwykle podatny grunt.

Znaleźli się tam aktorzy polityczni, którzy doskonale wiedzieli, że ze względów historycznych i tożsamościowych duża część bułgarskiego społeczeństwa z otwarciem przyjmie opowieść o odrdzającej się Rosji – pamiętanej choćby jako wyzwolicielka spod jarzma tureckiego w XIX stuleciu.

Do tego wspomniana partia GERB, rządząca prawie bez przerwy od 2009 r., zachowywała się tak, jakby również chciała wpisać się w tę quasi-konspiracyjną logikę. Niemalająca korupcja i postępujące zawłaszczanie państwa faktycznie szły tu w parze z poparciem dla GERB-u ze strony zachodnich partnerów.

Oparta na kleptokracji, ale jednak stabilność – oferowana przez Bojko Borisowa – była bowiem potrzebna. Czy to ze względu na gazowe interesy, czy też dla odpowiedniego zarządzania kryzysem migracyjnym, który na dużą skalę wybuchł w 2015 r.

Rozdrobniona rewolucja

Trwało to, aż czarna goryczy w społeczeństwie przelała się latem 2020 r. Wyszło wtedy na jaw, że służby państwowe pomogły pewnemu oligarsze przywłaszczyć publiczną plażę. Masowe protesty zrodziły antykorupcyjne, a przy tym prozachodni ruch polityczny. Nie był on jednak w stanie na dłuższą metę walczyć na dwa fronty – zarówno z sympatykami Rosji, jak i skorumpowaną elitą, utrzymującą prozachodnie barwy.

W efekcie Bułgaria wpadła w trwający już cztery lata okres politycznych turbulencji i niesterowności. Ich skutkiem ubocznym jest wzmocnienie pozycji

RUMUNIA. Zwolennik Călina Georgescu, który dzięki kampanii na TikToku wszedł do II tury wyborów prezydenckich. Sąd Konstytucyjny je anulował, w 2025 r. kraj czeka ich powtórka. *Więć Mogoșoia, 8 grudnia 2024 r.*

→ prezydenta Rumena Radewa, sympaty-
zującego z Rosją.

W ostatnich wyborach, tych z października 2024 r., na pozycję lidera wróciła GERB (25 proc. poparcia). Jednak coraz więcej Bułgarów jako alternatywę dla tej partii postrzega skrajnie prorosyjskie Odrodzenie (13 proc.). W międzyczasie na wyraźnie prorosyjskie pozycje wróciła postkomunistyczna Partia Socjalistyczna (8 proc.), a próg wyborczy przekroczyła też antysystemowa, nacjonalistyczna i krytyczna wobec Zachodu partia Miecz.

Obraz rozdrobnionego parlamentu uzupełniają: populistyczne i labilne ugrupowanie muzyka Sławiego Trifonowa, dwie partie reprezentujące Turków (obie kierowane przez oligarchów związanych z Borisowem) oraz prozachodni i antykorupcyjny, a przy tym coraz bardziej osamotniony blok Kontynuujemy Zmiany – Demokratyczna Bułgaria (jest on pokłosiem przebudzenia obywatelskiego z 2020 r.).

Komu w oczy, komu w żagle

W połowie grudnia, będąc w Mołdawii, poszedłem do Biblioteki im. Marka Blocha w stołecznym Kiszyniowie, by sprawdzić stan ducha mołdawskiej opozycji, która w miejsce integracji z UE proponuje szeroko pojętą „neutralność”. Ta, jak się zdawało, dostała wiatru w żagle w czasie ostatnich wyborów prezydenckich.

Choć przecież spodziewano się, że ta jesień ugruntuje prozachodni kurs i władzę Partii Działania i Solidarności (PAS), której założycielka, Maia Sandu, walczyła o reelekcję na stanowisko głowy państwa. By wzmocnić jej wynik, wybory powiązano z referendum nad zmianami konstytucyjnymi, które miały ułatwić integrację z UE.

Plan zakończył się horrorem: w powyborczą noc kolejne komunikaty wskazywały na słaby wynik Sandu i porażkę referendum. Dopiero głosy z zagranicy przeważały nieznacznie szale na korzyść zwolenników eurointegracji. Dwa tygodnie później Sandu wygrała drugą turę również dzięki głosom diaspory.

Jej kontrkandydatem był Alexandr Stoianoglo, były prokurator generalny, postrzegany jako apolityczny państwowiec. Poparła go Partia Socjalistów – największe ugrupowanie opozycyjne, jeszcze niedawno znane z prorosyjskości. Stoianoglo zdołał przekonać do siebie dużą część Mołdawian, którzy w ciągu ostatnich



MOŁDAWIA. Prezydentka Maia Sandu uzyskała reelekcję, ale niewielką większością. W 2025 r. są wybory parlamentarne i obóz prozachodni może je przegrać. Kiszyniów, jesień 2024 r.

trzech lat boleśnie doświadczyli skoku cen energii, nie odczuwając przy tym korzyści ze zbliżenia z Unią.

Tymczasem wizerunek Sandu i PAS zmienił się – z ugrupowania zagubionych, lecz uczciwych idealistów stali się partią władzy. Sandu i PAS zapomnieli też, że wcześniejszy sukces zawdzięczali przekazowi łączącemu różne grupy społeczne wokół idei uczciwego i sprawnego państwa. Po 2022 r. zastąpili go narracją antyrosyjską. W podzielonym społeczeństwie Mołdawii polaryzacja zaczęła działać na ich niekorzyść.

Mołdawskie nastroje

Marka Tkaciuka, który kieruje Biblioteką im. Blocha, zastałem jednak w znacznie gorszym nastroju, niż się spodziewałem.

Tkaciuk był jednym z kreatorów kampanii Stoianoglo. Nie jest związany z socjalistami – prowadzi kanapową partię lewicową. Wiele lat temu, gdy Mołdawię rządziła Partia Komunistów, był uznawany za osobę numer dwa w państwie. Przylgnęła do niego etykieta „szarego kardynała”. Teraz liczył, że na fali popularności Stoianoglo uda się stworzyć nową centrolewicową siłę: niezależną od socjalistów, krytyczną wobec PAS, a przy tym niezwiązaną z tradycyjną prorosyjskością.

Jednak z kampanijnego entuzjazmu pozostało niewiele. Stoianoglo stracił na razie zapał do polityki, a liderzy mniejszych ugrupowań patrzą na swój interes i nie są zainteresowani współpracą. A wy-

bory parlamentarne już za niecały rok: na przełomie lata i jesieni 2025 r.

– Problem polega na tym, że nikt nie jest zainteresowany zwycięstwem i władzą. Boją się odpowiedzialności. Wszyscy chcą tylko przekroczyć próg – mówi zniechęcony Tkaciuk, który zapewne widział się znów w roli „szarego kardynała”.

– Od lat mówi się, że opozycja w Mołdawii jest bardzo słaba. Wydawało się, że ostatnie tygodnie to zmieniły – próbuję kontynuować temat. Wtedy do rozmowy włączyła się Władimir Sołowiow, niezależny dziennikarz, który zwykł korzystać z tej biblioteki jako miejsca pracy. – Jak to? Mamy bardzo silną partię opozycyjną. Nazywa się PAS – komentuje z uśmiechem i sprowadza rozmowę na kryzys energetyczny, który właśnie rozkręca się w Mołdawii.

Idzie zima, co z gazem?

Kryzys ten ma dwie warstwy. Pierwsza dotyczy kolejnej podwyżki cen gazu. W ciągu ostatnich trzech lat wzrosły siedmiokrotnie. Teraz zapowiedziano podwyżkę o kolejne 28 procent. Co najgorsze: można było temu zapobiec, gromadząc zapasy latem. Nie zrobiono tego i zaniechanie to obciąża prozachodni obóz władzy.

Druga warstwa związana jest z dostawami gazu z Rosji do separatystycznego Naddniestrza. Ukraina podjęła decyzję o wstrzymaniu tego tranzytu od 1 stycznia 2025 r., a Rosja nie jest zainteresowana dostarczeniem surowca inną drogą.



STOYAN NENOV / REUTERS / FORUM

BULGARIA. W 2025 r. są wybory parlamentarne, ósme w ciągu czterech lat. Gwarantem prozachodniego kursu chce być partia Bojko Borisowa (tu na wiecu w 2024 r.), który jest symbolem korupcji.

W chwili pisania tego tekstu możliwe były różne scenariusze. Wiele wskazywało, że Rosja dąży do czasowego wstrzymania lub ograniczenia dostaw, by zatrzymać wytwarzanie energii w zakładzie na terenie Naddniestrza. Jest on głównym źródłem prądu dla całej Mołdawii. Zmuszony do zakupu droższej energii z Rumunii lub dostarczenia do tej elektrowni paliwa z innych źródeł, rząd w Kiszyniowie musiałby podnieść ceny także na prąd.

Temu też można było przeciwdziałać. O wstrzymaniu tranzytu przez Ukrainę było wiadomo od dawna, lecz mołdawski rząd podjął działania w ostatniej chwili. Nie doceniono determinacji Kremla, który jest gotów skazać Naddniestrzan na chłodną zimę, byle wstrząsnąć Mołdawią. Nałożenie się obu warstw kryzysu na początek 2025 r. może być kosztowane dla partii rządzącej.

O atmosferze w PAS i rządzie dyskutowaliśmy również z Tatianą Cjocari i jej współpracownikami z think tanku Watchdog Moldova, który jest postrzegany jako zaplecze intelektualne prozachodniego obozu. Gdy ktoś określił PAS mianem „umierającej partii”, nikt nie zaprzeczył.

Rumunia: wieszcz znikąd

Ten sam Watchdog kilka tygodni wcześniej alarmował rumuńskich kolegów, że coś dziwnego dzieje się w mediach społecznościowych wokół kont Călina Georgescu – kiedyś ważnego urzędnika, a dziś tiktokera, który zdecydował się na start w wyborach prezydenckich.

Sondażowe poparcie dla niego nie przekraczało kilku procent, więc nikt się tym nie przejął. Zdawało się, że Georgescu może wręcz odegrać pozytywną rolę, odbierając głosy George’owi Simionowi – liderowi nacjonalistycznego Związku Jedności Rumunów.

Chwilowy finał tej historii: dwa dni przed drugą turą Sąd Konstytucyjny anulował cały proces wyborczy, powołując się na raporty służb wywiadowczych, które mówią o manipulacji w mediach społecznościowych, dokonanej zapewne na zlecenie Rosji. Jej celem było podbicie zasięgów Georgescu na TikToku i innych portalach. Osiągnięto to przez zatrudnienie armii „wolontariuszy” i botów, a także odpłacanie znanych postaci rumuńskiego internetu.

– Pół roku wcześniej Georgescu był zupełnie niezany. Teraz wyciąga mu się prorosyjskie wypowiedzi sprzed kilku lat, ale trzeba podkreślić, że w czasie, gdy zbudował swą popularność, takich treści nie było na jego kontach – mówi Cristian Ghiță, który wcześniej w naszym raporcie przekonywał, że Rumunii są odporni na otwartą prorosyjskość.

Unikając jawnej prorosyjskości, Georgescu chętnie dzielił się za to innymi ciekawymi myślami: od negowania pandemii, przez przekonywanie do gospodarczego izolacjonizmu, po sakralizację narodu rumuńskiego. Wszystko zanurzone w mesjanistycznym tonie i spięte ostrą krytyką prozachodniej elity rządzącej.

Demokracja zagrożona TikTokiem

Ta historia ma też swoje tło. Od 2021 r. Rumunią rządzi koalicja dwóch największych ugrupowań: postkomunistycznej Partii Socjaldemokratycznej i centroprawicowej Partii Narodowo-Liberalnej.

Wcześniej przez lata budowały swą pozycję na wzajemnej rywalizacji. Ich sojusz umocnił przekonanie wielu Rumunów, że celem obu partii jest wyłącznie władza i bogacenie się, a to dzięki korupcji i podporządkowaniu sobie instytucji państwa. Towarzyszy temu co prawda szybkość, lecz bardzo nierównomierny rozwój gospodarczy Rumunii. Z jednej strony pobudza to ambicje, ale z drugiej rodzi frustrację.

Dzięki mediom społecznościowym Georgescu skanalizował niezadowolenie, ożywiając przy tym narodowe sentymenty. Rzeczona manipulacja pomogła mu dotrzeć z tym przekazem do szerokiego grona odbiorców. Na koniec to jednak sami Rumunii zdecydowali, że to Georgescu najlepiej oddaje targające nimi emocje.

Dzisiaj widać, że jego popularność była raczej efektem chwili. Jednak decyzja Sądu Konstytucyjnego o anulowaniu wyborów „z powodu TikToka” może umocnić frustrację i ostatecznie pogrzebać zaufanie do elity rządzącej oraz do instytucji państwowych. I dodatkowo podnieść rangę narodowego populizmu – tego zabarwionego sympatią wobec Rosji.

„Poligon” dla Europy

Gdy europejscy analitycy, politycy i dziennikarze próbują dziś zrozumieć fenomen rosyjskich wpływów, zwracają uwagę głównie na narzędzia – takie jak media społecznościowe i szerzona z ich pomocą dezinformacja.

Przyglądając się z bliska Bułgarii, Mołdawii i Rumunii można jednak zauważyć, że lokalne elity – i to często te wspierane przez unijnych partnerów – ciężko pracowały na finalny sukces narracji prorosyjskich i antyzachodnich. Tych, z którymi teraz bohatersko walczą.

Ten wrażliwy region wypukła bolączki całego kontynentu.

© PIOTR OLEKSY

Autor pracuje na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie, jest stałym współpracownikiem „TP”.

Czytelnicy „Tygodnika” z pomocą dla Ukrainy

WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY

Trafiły przede wszystkim do służb medycznych wzdłuż linii frontu: od pogranicza obwodów sumskiego i kurskiego, przez Charków, Donbas, front na Zaporozżu, po odcinek chersoński – agregaty prądotwórcze, podarowane przez naszych czytelników.

JEST ICH CZWORO: TRZECH CHŁOPAKÓW (najstarszy już w wieku niepełnoletnim) i dziewczyna, Julia. Tworzą mobilny zespół stomatologiczny: swoją wysłużoną, ale jakimś cudem wciąż sprawną ciężarówką marki Ural, która służyć musiała jeszcze w armii sowieckiej, wędrują wzdłuż frontu. Ich gabinet mieści się w pudle-kontenerze z czerwonym krzyżem.

Są oczekiwani i wyczekiwani. Bo na froncie zęby to wielki problem. Niemożność higieny, byle jakie jedzenie – to musi mieć skutki także dla zębów. Niemal każdy z tych, którzy na wojnie są od dłuższego czasu, ma z nimi kłopot.

Gdy więc Julia z chłopakami dotrą do kolejnych miejsc i jednostek, gdy już się ukryją (najlepiej w jakimś lesie) i zakryją siatkami maskującymi przed okiem dronów, będą pracować – dzień i noc, bez przerwy, na zmiany. Będą borować, a częściej rwać, bez końca. Dziś na zapleczu frontu gdzieś pod Pokrowskiem.

„RZEŻBIARZ” I „WÓDZ” | 250 kilometrów dalej na północ pracuje Mychajło, pseudonim „Wódz”. Starszy sanitariusz polowy, jest duszą medycznego punktu stabilizacyjnego jednej z brygad, które bronią Charkowa. Punkty takie, zwane stabilizacyjnymi lub czulej stabilizatorami, są zwykle w odległości do kilkunastu kilometrów od frontu.

To kluczowe miejsca, gdy idzie o ratowanie rannych: ewakuowani z linii ognia, tutaj są „łatani” i stabilizowani, aby potem można ich było odesłać na tyły, do szpitali polowych i potem zwykłych. W stabilizatorach prowadzi się też operacje: te niezbędne, gdy trzeba np. ratować kończyny, od wielu godzin ści-

śnięte turnikietami, opaskami tamującymi krwotoki.

Tym razem się udało. Szczęśliwy Mychajło pisze w poście, że właśnie ocalili człowieka. Do stabilizatora trafił w stanie krytycznym. Prawą nogę urwało poniżej kolana. Lewa, pocharatana, była niby cała, ale już żółto-siną – spięta przez dwa turnikiety, bliska obumarcia i amputacji.

Przystąpili do pracy: on w roli anestezjologa i chirurg Arsen, ksywa „Rzeźbiarz”. Ocalili i człowieka, i jego jedną nogę. „Gdy się wybudził, zapytał: »Co z moimi nogami?«. Nie miałem siły tłumaczyć, odesłałem go jeszcze na chwilę w astral”.

NA CAŁYM FRONCIE | Dentystka Julia i młody Mychajło – to jedni z kilkudziesięciu odbiorców i miejsc, do których trafił transport pomocy, jaki w grudniu zawieźliśmy na Ukrainę. Przede wszystkim były to frontowe punkty medyczne: rozrzucone wzdłuż całej linii frontu, od pogranicza obwodów sumskiego i kurskiego, przez okolice Charkowa, obwód doniecki (w tym miejsca, gdzie są najcięższe walki, jak okolice Pokrowska, Kurachowego i Wielkiej Nowosiółki), dalej front na Zaporozżu i wreszcie odcinek chersoński. Odbiorcą była też obrona przeciwlotnicza.

Transport ten, zorganizowany we współpracy ze Stowarzyszeniem Inicjatywa Sąsiedzka, był możliwy dzięki czytelnikom i czytelnikom „Tygodnika”, którzy odpowiedzieli na apel o zbiórke pieniędzy na pomoc na zimę dla Ukrainy.

Za przekazane środki mogliśmy kupić rzeczy, o które są stamtąd prośby: 27 mobilnych agregatów prądotwórczych z inwerterem (tj. stabilizatorem napięcia, co pozwala bezpiecznie podłączyć np. apa-



ARCHIWUM WOJCIECHA PIĘCIAKA X3

Na froncie koło miasta Kurachowe: agregat, który trafił do kompanii medycznej walczącej tam brygady. Obwód doniecki.



Julia w mobilnym gabinecie dentystycznym na zapleczu frontu koło Pokrowska. Zespół Julii dostał agregat i urządzenia do dezynfekcji narzędzi.



MARTA SIEWIERA-PIĘCIAK

Gdzieś na Ukrainie: przeladunek półtoratonowego agregatu o mocy 85 kVA. Dziś agregat służy w jednostce obrony przeciwlotniczej, której radary ostrzegają zawczasu przed wrogimi raketami.



Sanitariusz Mychajło (na pierwszym planie) i chirurg Arsen (z lewej) ratują nogę rannego w punkcie stabilizacyjnym koło Charkowa. Punkt otrzymał agregat z inwerterem, do którego można podłączyć np. koagulator, elektronarzędzie do zamykania ran. Grudzień 2024 r.

raturę medyczną), 10 mocnych stacji zasilania (rodzaj power banku), 210 kilo podkładów chłonnych (to jednorazowe prześcieradła absorbujące płyny ustrojowe).

RADARY I HOSPICJUM | Były także myjki ultradźwiękowe, tj. małe mobilne urządzenia do dezynfekcji narzędzi chirurgicznych czy stomatologicznych. Jak również mobilne podgrzewacze do płynów infuzyjnych i krwi – w karetkach ewakuacyjnych nie ma warunków, by podgrzać płyny podawane rannym, a podanie zimnych może wywołać szok organizmu. Większość tych urządzeń podarował nasz czytelnik, przedsiębiorca spod Warszawy.

Z kolei inny czytelnik, przedsiębiorca z Krakowa, podarował swój agregat – o bardzo dużej mocy (85 kVA) i słusznej wadze (1500 kilo). Dziś służy on w jednostce obrony przeciwlotniczej, która odpowiada za obszar północno-wschodniej Ukrainy – zaopatruje w prąd radary wczesnego ostrzegania, które wykrywają wrogie rakiety i drony.

Jak zwykle podczas naszych wyjazdów na Ukrainę, mieliśmy też trochę rzeczy, o które proszą polscy bracia bonifratrzy. Prowadzą w Drohobycz (obwód lwowski) Stację Pomocy Socjalnej. Jest tam czterech braci, którzy mają pod opieką kilkuset mieszkańców (ludzi biednych, niepełnosprawnych) i kilkuset uciekinierów ze wschodu. Bracia prowadzą też hospicjum domowe – dla niego były podkłady i środki pielęgnacyjne.

Zespół Julii otrzymał agregat i dwie myjki, a stąbpunkt Mychajła – agregat.

CIĄG DALSZY TRWA | „Dziękujemy, że jesteście z nami” – to zdanie powtarzało się w rozmowach. Wraz z prośbą, aby to podziękowanie przekazać dalej. Przy czym miałem wrażenie, że słowa te dotyczą nie tylko darów materialnych, lecz także ich, można chyba tak powiedzieć, aspektu niematerialnego: jakby wraz z tymi agregatami pojechały tam – i zostały przyjęte z wdzięcznością – również emocje, przyjaźń, jakiś rodzaj więzi. „Dziękujemy za Wasze braterstwo” – napisał starszy sanitariusz z frontu chersońskiego (jego szpital polowy otrzymał agregat).

Wojna trwa, trwa więc i nasza akcja.

©️

Możliwości wsparcia:
inicjatywawasiedzka.org

Antybohater Ameryki

MARTA ZDZIEBORSKA

Zabójstwo prezesa firmy ubezpieczeniowej UnitedHealthcare przypominało o wszystkim, co w Stanach najgorsze.

HISTORIA, KTÓRĄ OD TYGODNI ŚLEDZI cały świat, jest jak z thrillera. Brian Thomson, 50-letni szef jednej z największych firm oferujących w USA prywatne ubezpieczenie zdrowotne (polisę ma w niej ponad 50 mln Amerykanów), dostał kulę w plecy tuż przed siódmą rano 4 grudnia. Stało się to przed wejściem do hotelu Hilton na środkowym Manhattanie, gdzie szykowano coroczne spotkanie inwestorów. Zamachowiec oddał jeszcze kilka strzałów. Śmiertelnie ranny, niecałe pół godziny później Thomson zmarł.

Zamachowiec wykorzystał zamieszanie. Z miejsca zbrodni uciekł elektrycznym rowerem, po opuszczeniu Central Parku przespacerował się na skrzyżowanie Columbus Avenue i West 86th Street. Tu złapał taksówkę i pojechał na dworzec autobusowy.

„To terroryzm”

Podejrzany o to zabójstwo – 26-letni Luigi Mangione, absolwent prestiżowej uczelni – został aresztowany dopiero pięć dni później: w restauracji McDonald, w odległej o 450 km miejscowości Altoona w Pensylwanii. Wpadł, bo rozpoznał go jeden z klientów fast foodu. Miał przy sobie broń, podrobione prawo jazdy i zeszyt, w którym miał zanotować plan zamachu. Znalaziono przy nim też napisany odręcznie trzystronicowy „manifest”, w którym mowa, że mężczyzna działał w pojedynkę. Według doniesień prasowych w „manifest” firmy od ubezpieczeń zdrowotnych nazwano „pasożytami”, które bogacą się kosztem Amerykanów.

Mangione usłyszał kilkanaście zarzutów, grozi mu nawet kara śmierci. Nowojorska ława przysięgłych oskarżyła go



„Luigi nas wyzwolił”: pikietę przed sądem w Nowym Jorku podczas przesłuchania Mangionego. 19 grudnia 2024 r.

o morderstwo pierwszego stopnia, uznając, że zabicie prezesa UnitedHealthcare można uznać za terroryzm.

„To było przerażające, dobrze zaplanowane, celowe morderstwo, które miało wywołać szok, zwrócić uwagę i spowodować zastraszenie” – mówił na konferencji prasowej Alvin L. Bragg, prokurator okręgowy na Manhattanie. To ten sam prokurator, który prowadził śledztwo karne zakończone w maju 2024 r. skazaniem Donalda Trumpa. Jest pewne, że kolejna sprawa pod nadzorem Bragga znów zapisze się w historii USA.

Prominentna jest też obrończyni Mangioniego: reprezentuje go Karen Friedman Agnifilo, była prokurator, która jeszcze cztery lata temu pracowała w prokuraturze okręgowej na Manhattanie. Wśród klientów jej kancelarii jest m.in. raper i producent muzyczny Sean „Diddy” Combs, oskarżany o handel ludźmi w celach seksualnych.

Gniew i satysfakcja

Na razie za historyczną można uznać reakcję na to zabójstwo. Po śmierci szefa UnitedHealthcare w mediach społecznościowych wylała się lawina gniewu wobec takich firm, znanych głównie z odmowy finansowania leczenia i leków na receptę. Ostatnio głośno było np. o ubezpieczycielu Anthem Blue Cross Blue Shield: firma chciała odmawiać refundowania narkozy, jeśli operacja potrwa dłu-

żej niż planowano (dzień po zabójstwie Thomsona firma wycofała się z tego stanowiska).

W patologicznym systemie opieki zdrowotnej w USA czasem wystarczy jeden fałszywy ruch. Np. jeśli ktoś trafi do szpitala spoza sieci placówek objętych ubezpieczeniem, może skończyć z astronomicznym rachunkiem do opłacenia z własnej kieszeni. Dziś długi medyczne są jedną z głównych przyczyn, dla których osoby prywatnie ogłaszają bankructwo.

„Jestem pielęgniarką na pogotowiu i jestem chora od widoku umierających pacjentów, którzy dostają odmowę od ubezpieczycieli. Właśnie ze względu na tych pacjentów i ich bliskich nie mogę współczuć Thomsonowi” – to komentarz użytkownicy TikToka.

Niektórzy internauci wręcz świętowali śmierć Thomsona. Po sieci krążyły niewybredne żarty, a także zdjęcia rozwieszanych na Manhattanie fejkowych listów gończych za szefami innych takich firm. Na plakatach wydrukowano hasło „Delay, deny, depose” (Opóźniać, odmawiać, pozbywać się) – bez wątpienia nawiązanie do typowej strategii tych firm. Dokładnie te słowa wygrawerowano na łuskach nabojęw, które znalaziono na miejscu zbrodni.

„Gorący zamachowiec”

Dla wielu Mangione to męczennik walczący o sprawiedliwość. Jego podobizna

trafiła już na koszulki, kubki, bluzy; często z hasłem „Uwolnić Luigiego”. Gdy usłyszał zarzuty, na platformach crowdfundingowych zaczęto zbierać fundusze na jego obronę. Na jedną ze zbiórek, o nazwie *December 4th Legal Committee*, wpłynęło 160 tys. dolarów.

26-latek postrzegany jest nie tylko jako współczesny Robin Hood. Dla wielu jest także, jak to ktoś ujął, „seksownym zamachowcem”. Zdjęcia mężczyzny z jego mediów społecznościowych, np. gdy z gołym torsem wspinał się po górach, wprost załapały internet i media. Wątek ten przewija się w telewizyjnych talk-show, gdzie żartuje się, że Luigiemu należy się tytuł najseksowniejszego zabójcy roku.

Podczas gdy w pierwszych dniach po zamachu media karmiły się każdym szczegółem na jego temat, jego fani zalewali negatywnymi recenzjami restaurację McDonalda, w której został aresztowany. Na stronach Google i Yelp pisano, że po lokalu grasują szczury, a jedzenie jest nieświeże. Pensylwańska policja, która zatrzymała 26-latkę, zaczęła dostawać maile i telefony z pogróżkami.

Kolejnego zamachu obawiają się teraz inne firmy ubezpieczeniowe; ze swoich stron internetowych usuwają zdjęcia i biogramy kadry zarządzającej. Korporacje, w tym UnitedHealthcare, chcą zainwestować w dodatkową ochronę dla swoich pracowników.

Normalizacja przemocy

Do zabójstwa na Manhattanie doszło kilka miesięcy po dwóch próbach zamachu na Trumpa. Eksperci mówią już o „normalizacji przemocy politycznej”. Obok pamiętnego szturmu na Kapitol 6 stycznia 2021 r., w ostatnich latach ma miejsce istny wysyp pogróżek wobec pracowników lokali wyborczych, polityków, prokuratorów, sędziów (w tym tych prowadzących sprawy karne Trumpa).

W 2022 r. głośno było o napadzie na dom byłej już spikerki Izby Reprezentantów Nancy Pelosi. W domu był jej mąż, którego napastnik, zwolennik prawicowych teorii spiskowych, uderzył młotkiem w głowę. Innym razem policja aresztowała mężczyzn kręcących się z bronią pod domami byłego prezydenta Baracka Obamy i konserwatywnego sędziego Sądu Najwyższego Bretta Kavanaugha. Do drugiego incydentu doszło po przecieku do mediów, iż sędziowie

chcą znieść federalne prawo do aborcji na życzenie.

Sprawcy z elit

Jak wynika z ogólnokrajowego badania University of Chicago z lat 2021-24, od 10 do 15 proc. respondentów popiera przemoc w sprawach uznanych przez nich za słuszne. Autor badania, politolog Robert Pape, pisał ostatnio w „Financial Times” o nowej erze „brutalnego populizmu”, na miarę tego z lat 20. i 60. XX w. Pape uważa, że poparcie dla przemocy jest związane nie tylko ze spadkiem zaufania do instytucji demokratycznych i falą spiskowych teorii podsycanych przez media społecznościowe.

Mogą stać za tym także przemiany w społeczeństwie USA, tj. kurczenie się białej populacji na rzecz kolorowej. Wskazują na to badania Pape’a: wyszło mu, że osoby przekonane o systemowym rasizmie w USA są dwa razy bardziej skłonne do poparcia przemocy w ważnych dla lewicy kwestiach. Z kolei konserwatystów podburza teoria, że Partia Demokratyczna chce osłabić biały elektorat, przyjmując do USA miliony imigrantów.

Politolog zwraca też uwagę na kolejne zjawisko: wśród sprawców przemocy politycznej są już nie tylko członkowie bojówek czy sfrustrowani bezrobotni, ale też Amerykanie z tzw. dobrych domów. Przykładem Luigi Mangione: pochodzi on z wpływowej rodziny, znanej z prowadzenia sieci domów seniora i filantropii na rzecz szpitali.

Inny 26-latek

W sprawie Mangione’a doszło do czegoś niezwykłego: w spolaryzowanej Ameryce poparli go i lewicowi, i prawicowi internauci. Najwyraźniej gniew na firmy ubezpieczeniowe jednocy bardziej niż głośna sprawa innego 26-latkę Daniela Penny’ego.

Ten były marines zadusił w nowojorskim metrze czarnoskórego, chorego na schizofrenię bezdomnego, bo ten wygrażał współpasażerom. Dokładnie 9 grudnia, w dniu aresztowania Mangione’a, Penny został uniewinniony, co dla lewicowych aktywistów jest nowym dowodem na niesprawiedliwość sądów wobec czarnych. Z kolei prawica zrobiła z Penny’ego bohatera walczącego o porządek publiczny. Kilka dni po uniewinnieniu Penny został zaproszony, aby wraz z Trumpem,

J.D. Vancem i Elonem Muskiem obejrzeć mecz futbolu amerykańskiego.

Gdy idzie o śmierć szefa UnitedHealthcare, Trump ma inną optykę. Na konferencji prasowej w połowie grudnia mówił, że gloryfikowanie Mangione’a jest „chore” i że doszło do „straszego mordy z zimną krwią”. Obiecał też, że weźmie się za *pharmacy benefit managers*, czyli pośredników, którzy negocjują z producentami ceny leków dla osób ubezpieczonych. W teorii ich usługi mają obniżyć koszty, ale w praktyce firmy te pompują ceny, by maksymalizować swój zysk.

Za firmy, wśród których jest podmiot należący do UnitedHealth Group (to właściciel UnitedHealthcare), chcą wziąć się też amerykańscy senatorzy. W połowie grudnia przedstawili ponadpartyjny projekt reformy, który ma zakazać koncernom jednoczesnego prowadzenia sieci aptek i firm pośredniczących, gdyż rodzi to konflikt interesów.

Reforma niemożliwa

W dyskusji po zabójstwie Thomsona mniej mówi się o innym problemie trawiącym USA: zbyt łatwym dostępie do broni palnej. Przy podejrzanym o zabójstwo znaleziono tzw. broń-widmo: pistolet wyprodukowany na drukarce 3D. Zanim administracja Bidena wprowadziła tu restrykcje, każdy mógł zamówić w internecie zestaw do montażu bez numerów seryjnych. Dziś to niemożliwe, sprzedawcy muszą też przeświecić przeszłość kupującego.

Z tego, jak łatwo jest nadal złożyć samemu broń, Mangione miał kpić w swoim „manifestie”: „To było dość banalne: wystarczy podstawowa znajomość programowania (...) i dużo cierpliwości” – czytamy we fragmencie cytowanym przez media.

Na reformę dotyczącą ograniczenia dostępu do broni palnej zapewne nie ma co liczyć. Zresztą Bidenowskie restrykcje dotyczące *ghost guns* zostały zaskarżone, orzekać w tej sprawie ma Sąd Najwyższy. Przy obecnej polaryzacji i silnym lobby biznesu raczej trudno będzie przepchnąć jakąkolwiek reformę systemu opieki zdrowotnej. Na razie śmierć Thomsona, który osierocił dwójkę dzieci, przypominała o największych problemach Ameryki. ©

Autorka jest dziennikarką „Press”.



Premier Kanady
Justin Trudeau
z przedświąteczną
wizytą w domu seniora.
Port Coquitlam,
13 grudnia 2024 r.

Justin Trudeau odchodzi do historii

MAŁGORZATA SIDZ Z EDMONTON (KANADA)

Po 10 latach jego liberalnych rządów większość Kanadyjczyków ma go dość. Chcą nowej, innej polityki. Nadzieję upatrują w liderze konserwatystów, który bywa nazywany „kanadyjskim Trumpem”.

DONALD TRUMP WRACA NA STANOWISKO prezydenta USA, a tymczasem Kanadyjczycy zastanawiają się, jak fakt ten odbije się na ich federalnych wyborach parlamentarnych w październiku 2025 r. Bo odbić się może, i to wyraźnie.

Pierre Poilievre, 45-letni lider Partii Konserwatywnej, uważany jest za kanadyjski odpowiednik Trumpa. Tak jak on przebojowy i czasem beczelny, jest przy tym czarujący. Obecnie w opozycji, w ramach przedwyborczych już obietnic zapowiada, że zlikwiduje tzw. podatek węglowy, naprawi budżet i zwalczy przestępczość.

Kanadyjczycy darzą Poilievre'a i jego partię coraz większym zaufaniem. Czy Kanadę poniesie prawicowa fala, która ogarnia zachodni świat?

ZMIERZCH PREMIERA | Urzędujący od 2015 r., uważany ciągle za młodego (choć ma 52 lata) i wciąż przystojny, Justin Trudeau jest być może nadal ulubionym pre-

mierzem świata. Jednak wśród Kanadyjczyków od dłuższego już czasu notuje spadek popularności.

Niezależnie od płci i wieku, negatywnie oceniają jego trzecią już kadencję. Wśród ankietowanych przez ośrodek Abacus bardzo pozytywnie widzi go jedynie 7 proc., raczej pozytywnie 17 proc., neutralnie 16 proc., natomiast odpowiednio 20 proc. i 39 proc. ocenia go raczej i bardzo negatywnie. Najgorzej postrzega się go na preriach: w prowincjach Alberta, Manitoba i Saskatchewan. Wszystko wskazuje, że jesienią 2025 r. skończy się epoka rządów Trudeau i jego Partii Liberalnej.

Podczas gdy liberałowie notują ogromny spadek popularności, Partia Konserwatywna pnie się w górę. Przewiduje się, że zdobędzie większość w parlamencie federalnym, wygrywając w każdym zakątku kraju – poza Quebeciem, gdzie pierwszym wyborem jest tradycyj-

nie Blok Quebeci (postulujący niepodległość tej frankofońskiej prowincji).

CODZIENNE PROBLEMY | Nawet w tradycyjnie liberalnej dotąd prowincji Ontario konserwatyści wybili się na prowadzenie. To najludniejsza prowincja kraju, mieszka tu prawie 40 proc. wszystkich Kanadyjczyków, ich poglądy mają więc ogromne znaczenie dla wyniku całych wyborów.

Trudeau i liberałowie zaczęli wypadać z łaski w trakcie pandemii, a od 2023 r. ich popularność spada już na łeb na szyję. Trudeau oskarżany jest już nie tylko o bliskie relacje z Chinami i historię przyjaźni z Fidelem Castro (niektórzy wciąż wierzą, że to prawdziwy ojciec premiera), ale przede wszystkim o złe zarządzanie budżetem. Spadek jego popularności zbiega się ze wzrostem inflacji, datowanym od 2022 roku.

Premier broni się i obiecuje dwumiesięczne „wakacje podatkowe” od VAT-u na przełomie 2024 i 2025 r. Osobom, które zanotowały niskie dochody w 2023 r., chce nawet podarować czek na 250 dolarów. To jednak za mało, by ulżyć Kanadyjczykom w ich codziennych problemach bytowych.

KRES CANADIAN DREAM | Poilievre mówi, że nie podoba mu się hasło „Pieprzyć Trudeau”, ostatnio bardzo popularne. Ani że nie podoba mu się „wściekłość, którą odczuwają Kanadyjczycy”. Ale, dodaje, „naależy zadać sobie pytanie, dlaczego ludzie są tak wściekli?”.

Odpowiedzi upatrjuje w szerzącej się biedzie. Od roku tutejsze „banki żywności” notują rekordowe liczby zgłaszających się po pomoc. Według ich raportu jedna czwarta Kanadyjczyków żyje w biedzie. Oznacza to, że prawie 10 mln ludzi nie może sobie pozwolić na dwa z podstawowych wydatków w życiu codziennym, czyli np. na dojazd do pracy, godne ubranie na rozmowę kwalifikacyjną, wizytę u dentysty, leki czy wygodne buty. Z kolei 10 proc., czyli ok. 3,6 mln, ma być poniżej granicy ubóstwa.

Dalej: koszty wynajęcia lub kupna nieruchomości rosną średnio o 10 proc. rocznie. Smutną normą staje się wydawanie nawet połowy pensji na wynajem mieszkania. Rosnące koszty życia dotyczą też benzyny i żywności. Cena paliwa wzrosła prawie dwukrotnie w ciągu ostatnich pięciu lat. W coraz gorszym stanie jest też opieka zdrowotna. Na wizytę u specjalisty trzeba czekać miesiącami, a nawet latami.

W efekcie nawet w co trzecim gospodarstwie domowym są problemy z utrzymaniem poziomu życia.

NOWOBIEDNI | Tymczasem gospodarka Kanady związana jest mocno z górnictwem, energetyką i przetwórstwem. Jej centrum energetyczne, prowincja Alberta, do dziś odczuwa skutki spadku cen ropy w 2014 r. i związany z nią spadek zatrudnienia. Tysiące ludzi z klasy pracującej straciły posadę i możliwość zarobku – nie tylko wśród mieszkańców Alberta, ale także imigrantów zarobkowych z morskich prowincji na wschodzie kraju.

Tak jak dawniej mówiono o „nowobogackich” mieszkańcach Calgary, tak dziś mówi się o „nowobiednych”. Ludzie z klasy robotniczej, którzy są sprawni, doświadczeni i gotowi do pracy, nie mogą znaleźć zatrudnienia.

AXE THE TAX! | Wielu z tych, których to dotyczy, za swoją sytuację wini niestabilną politykę paliwową rządu i wspomniany podatek węglowy (od emisji dwutlenku węgla), który działa jak straszak przeciw inwestycjom w sektor paliwowy.

Choć podatek ten ma zachęcać przemysł, by podejmował działania dla zrównoważonego rozwoju i zmniejszenia zanieczyszczenia, Kanadyjczycy boją się, że koszty z nim związane odbiją się na nich, że zostaną przeniesione raczej na ceny co-

dziennych towarów niż na pensje zarządów i zyski akcjonariuszy.

Hasło „Axe the tax!” („Utnij podatek”) zyskało ogromną popularność i jedno czy ludzi, podobnie jak banery „Fuck Trudeau”. Grupki wolontariuszy regularnie zbierają podpisy pod projektem ustawy o zniesieniu podatku węglowego.

„STUDENCI” | Z kolei ceny nieruchomości i wynajmu wynikają z braków na rynku. Tu wielu Kanadyjczyków znajduje winnego w imigrantach. W ostatnim roku kraj powitał ponad milion nowych mieszkańców, ale infrastruktura nie nadąza za takim wzrostem populacji. Imigranci przejmują prace niskopłatne, które dawniej pomagały dorobić studentom i ludziom gorzej wykształconym. Symbolem problemu stały się filmiki pokazujące kolejki imigrantów z Indii, którzy z CV w ręku czekają na otwarcie sieci kawiarni Tim Hortons.

Owszem, Kanada to kraj imigrantów. Kiedyś, w XIX w., dzięki obietnicy 160 akrów ziemi rozwinęto zachód kraju, sprowadzając rolników z Europy. Dziś wielu Kanadyjczyków wciąż uważa, że przywilej zamieszkania tutaj powinien być powiązany z umiejętnościami aplikującego. Tymczasem setki tysięcy nowo przybyłych to studenci: dla wielu studia to tylko pretekst do otrzymania prawa stałego pobytu i pozwolenia na pracę.

Po wylądowaniu na lotnisku w Edmonton, przechodząc procedury związane z otrzymaniem statusu tymczasowego rezydenta, mogłam przyjrzeć się takiej grupie. Choć twierdzili, że chcą tu studiować, nie znali angielskiego i nie potrafili wyjaśnić, w jakiej szkole będą się uczyć.

Rząd w końcu dostrzegł problem. Zapowiada zmniejszenie liczby akceptowanych studentów zagranicznych i obiecuje rozprawić się z instytucjami udającymi szkoły wyższe, które wykorzystują tę sytuację.

POMOC DLA ŚWIATA | Gdy rozmawiam z kanadyjskimi znajomymi, ich zarzuty wobec Trudeau dotyczą np. dysponowania budżetem. Krytykują zwłaszcza projekty mające pomóc krajom rozwijającym się. Kanada jest siódma na świecie pod względem wydatków na pomoc zagraniczną, rząd wysłał ponad 8 mld dolarów.

Tymczasem źródłem niezliczonych już memów stały się np. stawiane za granicą

billboardy przestrzegające mieszkańców krajów-beneficjentów tej pomocy przed defekowaniem na plaży, na które rząd Kanady wydał pieniądze swoich podatników.

W efekcie ofiarą tej sytuacji może stać się Ukraina. Choć Kanadyjczycy wspierają jej walkę, wielu wyraża niezadowolenie w związku z wydatkami na pomoc militarną. Ponadto od początku inwazji Kanada przyjęła 200 tys. Ukraińców. Choć 1,5 mld dolarów na wsparcie dla nich nie stanowi nawet procenta wydatków budżetu, Kanadyjczycy pytają, dlaczego w momencie kryzysu te pieniądze nie są przeznaczone na redukcję biedy w kraju.

KWESTIA ZAUFANIA | Choć Kanada ma opinię liberalnej, nie wszystkie pomysły forsowane przez Trudeau mają tu poparcie. Częstym tematem rozmów są np. wątpliwe praktyki eutanazyjne czy kwestie praw mniejszości. Wielu ma poczucie, iż niektóre grupy społeczne są faworyzowane prawnie, a koszty ich przywilejów ponoszą pozostali podatnicy.

Krytykuje się też priorytety rządu, który w momencie kryzysu mieszkaniowego zajmuje się np. regulacją sprzedaży torebek nikotynowych (od niedawna można je kupić tylko w aptekach). Z kolei za sprawą tzw. ustawy C-18 z 2023 r. uniemożliwiono Kanadyjczykom dostęp do newsów ze świata w mediach społecznościowych. Małe zmiany, odczuwane negatywnie w codziennym życiu, odbijają się na zaufaniu do rządu.

Tymczasem ono zostało już nadwyrężone podczas pandemii. Wielu Kanadyjczyków do dziś nie może wybaczyć Trudeau słów, jakie skierował on do kierowców ciężarówek, gdy protestowali przeciw restrykcjom pandemicznym. Nazwał ich „marginalną mniejszością”, a osobom wspierającym protesty zamroził konta bankowe.

Dlatego wielu Kanadyjczyków uważa, że obecne podejście premiera do protestów poparcia dla Palestyny jest hipokryzją. Rząd je toleruje, choć dochodzi na nich do starć z policją, niszczone jest mienie publiczne i pojawiają się antysemityczne hasła. Niezależnie od poglądów na konflikt palestyńsko-izraelski, wielu widzi tu kolejny dowód, że premier stawia prawa imigrantów wyżej niż rodowitych Kanadyjczyków.



Lider kanadyjskiej Partii Konserwatywnej Pierre Poilievre z żoną Anaidą i synem Cruzem, w drodze na spotkanie klubu Narodowych Konserwatystów, Ottawa, wrzesień 2022 r.

→ **CRACK W METRZE** | Koszty życia to problem wielu Kanadyjczyków. Ci mieszkający w miastach muszą dodatkowo radzić sobie z brakiem poczucia bezpieczeństwa.

W centrum Edmonton osoby palące crack spotkać można o każdej porze dnia i nocy. Niektórzy wykorzystują do tego przystanki autobusowe, inni palą lub wstrzykują narkotyki w bibliotece czy metrze. Przypadki przedawkowania (w 2023 r. zmarło z tego powodu w kraju 6 tys. osób) są codziennością do tego stopnia, że w miejscach takich jak księgarnia Audreys czy park organizuje się warsztaty z podawania naloksonu.

To lek, który blokuje działanie opioidów. Prowadząca warsztaty, w których uczestniczą, tłumaczy, że każda osoba o jakimś stopniu wrażliwości społecznej powinna mieć przy sobie zawsze jego dawkę na wypadek, gdyby była świadkiem przedawkowania. I że musi być gotowa na to, iż przerywając czyjeś odurzenie, wystawi się na gniew, a nie wdzięczność.

PIĘĆ KWESTII | Tymczasem z początkiem 2023 r. Kolumbia Brytyjska zaczęła trzyletni projekt pilotażowy całkowicie dekryminalizujący narkotyki. Pozwolono na ich używanie nawet w miejscach publicznych. Po niecałym roku rząd prowincji wycofał się z projektu, wskazując na zagrożenia związane z używaniem narkotyków w parkach czy transporcie publicznym.

Kolejny problem, który narasta – i do pewnego stopnia jest powiązany z plagą narkotyków, zwłaszcza z uzależnieniem od fentanylu – to bezdomność.

Miasta w Kanadzie coraz gęściej pokrywają się obozowiskami osób bezdomnych. Ich namioty mogą wyrosnąć nad rzeką albo na parkingu. Co piąty Kanadyjczyk uważa bezdomność za jeden z najważniejszych problemów – obok kwestii kosztów życia, mieszkania, inflacji, imigracji – którymi powinien zająć się rząd.

CHŁOPSKI ROZUM | Justin Trudeau wywodzi się z politycznej dynastii, jego ojciec był przez 15 lat premierem. Natomiast Poilievre to syn nastoletniej matki, która oddała go do adopcji. Jego żona jest uchodźczynią z Wenezueli.

Poilievre buduje wizerunek polityka twardego, ale swojskiego. Sympatię wielu zyskał za sprawą... jabłka: podczas rozmowy z dziennikarzem, który zarzucał mu populizm i to, że wzoruje się na Trumpie, nie dał się zbić z tropu i ripostował, jednocześnie jedząc z non-szalancją jabłko.

Co obiecuje? Cięcia budżetu i ograniczenie inflacji. Chce budować domy, wspierać rolnictwo i przemysł, znieść ustawę C-18. Zamknąć kliniki, które podają bezpieczne wersje opiatów uzależnionym, i zastąpić je odwykami (odwyki chce finansować pieniędzmi z procesu, który wytoczy firmom farmaceutycznym przepisującym opiaty). W sektorze paliwowym chce ułatwić dla budowy gazociągów i inwestycji w kanadyjski gaz ziemny.

Ulubione hasło Poilievre'a to *common sense*: jego obietnice to proste rozwiązania, tak „na chłopski rozum”. Dla rządu

Kanady priorytetem powinny być interesy Kanadyjczyków.

PRAGNIENIE ZMIANY | Conrad Black, były członek Partii Konserwatywnej i autor książki „The Canadian Manifesto”, opisuje swój naród jako „opętany obsesją nienawiści do samych siebie” i niechętny do uznania własnych zasług, choć brał udział tylko w sprawiedliwych wojnach. Black pisze, że Brytyjczycy uważają Kanadyjczyków za „godnego, ale niezbyt ekscytującego kuzyna”, zaś „Amerykanie widzą w nas nieszkodliwą kartkę bożonarodzeniową, podczas gdy samych siebie uważają za ogromny pociąg z rykiem przejeżdżający przez historię świata”.

Współcześni Kanadyjczycy mają dość bycia miłym, niezbyt ekscytującym kuzynem. Czy ich poglądy skracają mocno na prawo? Być może. A być może Pierre Poilievre mówi rzeczy, które każdy chce usłyszeć. Gdy Trudeau szuka winnych kryzysu imigracyjnego, Poilievre podaje proste rozwiązania problemów społecznych. Czy spot, w którym obiecuje, że „za-trzyma przestępczość”, jest naiwny? Jak najbardziej. Czy Poilievre jako premier natrafi na przeszkody, których nie spodziewa się teraz? Oczywiście. Ale po dekadzie rządów Trudeau Kanadyjczycy chcą zmiany, alternatywy.

OSOBOWOŚCI | Wracając do Donalda Trumpa: zapowiada on 25-procentowe cła na produkty z Kanady i Meksyku. Dwa miliony miejsc pracy w Kanadzie zależą od eksportu do USA. Cło odbiłoby się też na cenach i na sile kanadyjskiego dolara. Relacje między sąsiadami stają się więc napięte. Poilievre twierdzi, że Trudeau jest zbyt słaby, aby obronić kanadyjską gospodarkę przed Trumpem.

Czy poza ostrą krytyką Trudeau i rozwiązaniami „na chłopski rozum” Pierre Poilievre ma szansę zostać silnym liderem, czy też pokona go własna hucpa? To okaże się jesienią 2025 r.

Albo wcześniej: rząd opuściła właśnie Chrystia Freeland, ustępując ze stanowiska ministrowi finansów. W liście otwartym wyraziła brak poparcia dla premiera. W Partii Liberalów pojawiły się pojedyncze głosy, że Trudeau już teraz powinien podać się do dymisji.

Na razie jednak wciąż oglądamy słowne starcia tych dwóch wielkich osobowości.

© MAŁGORZATA SIDZ



Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Wierzymy, że świat da się naprawić Dziękujemy Wam za wsparcie w tej misji

W 2024 roku **w ramach odpisu 1,5%** podatku wsparli Państwo Fundację Tygodnika Powszechnego kwotą **430 572,60 złotych**



GRAŻYNA MAKARA

DZIĘKI WAM możemy stać na straży niezależności naszych dziennikarek i dziennikarzy, podejmować nowe projekty społeczne, kulturalne i edukacyjne oraz dbać o jakość pracy całego zespołu „Tygodnika Powszechnego”.

Dziękujemy, że jesteście z nami. Życzymy wszystkiego najlepszego w Nowym Roku.
Fundacja Tygodnika Powszechnego

Południowosudańska republika kanistrów

ZBIGNIEW ROKITA Z SUDANU POŁUDNIOWEGO

Kiedyś ten żyzny i zielony kraj był nazywany spichlerzem Afryki Wschodniej. Co się z nim stało?

TO NAJMŁODSZY KRAJ ŚWIATA. POWSTAŁ W 2011 r. i co rusz jest trawiony przez wewnętrzne konflikty. W ostatniej wojnie domowej, która toczyła się w latach 2013-18 (i na dobre wciąż się nie zakończyła), zginęło 400-500 tys. ludzi (podczas gdy cała ludność liczy dziś ok. 11 mln), natomiast z domów uciekać musiały miliony.

W większości rankingów Sudan Południowy okupuje ostatnie pozycje. Statystyki są tak straszne, że z trudem dostrzega się zza nich ludzi: według Human Development Index jest jednym z dwóch najmniej rozwiniętych krajów świata, według Global Hunger Index istnieje tam największy na świecie problem głodu. Większość mieszkańców nie ma dostępu do czystej wody. Informacja, że tylko 9 proc. ludności ma dostęp do internetu, może wyglądać w tym kontekście jak błahostka.

Sześć razy w ciągu dnia

Razem z Abdu i Aseedem dojeżdżamy do studni w Morojok, wiosce na obrzeżach stolicy.

W stołecznej Dżubie lepiej nie przebywać dłużej na ulicy – w latach 2013-23 ze wszystkich państw świata tutaj ginęło najwięcej pracowników humanitarnych. Kiedy tędy przejeżdżaliśmy, zatrzymała nas grupka uzbrojonych nastolatków. Kazali oddać mój zeszyt, jednak po chwili pozwolili jechać dalej. Na szczęście w Morojok jest nieco bezpieczniej.

Studnię zbudowała Polska Akcja Humanitarna. To największa polska organizacja działająca w kraju. Jest tu od 2006 r., zbudowała lub naprawiała ok. 1,7 tys. studni. Jeśli kogoś nie stać na kupno wody (a większości nie stać) lub nie mieszka blisko strumyka z czystą wodą (a większość nie mieszka), studnia jest jedynym sposobem na regularny dostęp do zdrowej wody.

Zagaduję kobietę, która przyszła do studni. Jest młoda, nazywa się Aisha Moret. Mówi, że nosi wodę dla całego domu, dla siedmiu osób. Do sześciu razy w ciągu dnia. Jakies 30 minut w jedną stronę.

Sześć razy po godzinie tam i z powrotem – to sześć godzin samego chodzenia. Do tego kolejka przy pompie. Ale wielu ma gorzej niż Aisha. Organizacja Water for South Sudan oblicza, że średnia droga po wodę w dwie strony to 6 km. Średnia, bo czasem trzeba iść pół dnia, a czym dłuższa droga, tym więcej zagrożeń: gwałty, dzikie zwierzęta, strzelaniny.

Ale nawet przy tym wysiłku Aishy daje to zaledwie 120 litrów na jej rodzinę, 17 litrów na osobę. W czasie upałów człowiek powinien pić kilka litrów – niewiele zostanie więc na higienę i gotowanie. Europejczyk zużywa średnio 150 litrów wody dziennie.

Zrzutka na studnię

Morojok to uboga wioska. Powstała trzy lata temu, stworzyli ją ludzie wracający z obozu uchodźczego z Ugandy. Chatki zbudowali z błota i bambusu. Są małe, 15-20 metrów kwadratowych dla kilku osób.

Studnia, przy której stoje, zapewnia wodę 6 tysiącom ludzi. Do niedawna służyła 10 tysiącom, ale na drugim końcu wioski PAH postawiła ostatnio drugą studnię. Sfinansowała ją mazowiecka gmina Zbuczyn. Koszt jednej studni to 50 tys. złotych, a gminę zamieszkuje 10 tys. osób, więc średnio każdy zrzucił się po piątku.

Wokół nas gromadzi się coraz więcej kobiet i dzieci. Dzieci jest w ogóle dużo. Wśród 30 krajów świata z najwyższą dzietnością, aż 29 jest z Afryki. Wśród nich Sudan Południowy, gdzie na jedną kobietę przypada blisko trzykrotnie wię-



cej dzieci niż w Polsce. Boom demograficzny utrudnia zarządzanie wodą.

– Czy są pozytywne chodzenia po wodę? – pytam Aishę.

– Ludzie spotykają się wokół pompy. Napelniam kanister i mogę pobyć z ludźmi – odpowiada Aisha.

Zadaje to pytanie, gdyż rano Anna Górka, kierowniczka biura PAH w Sudanie Południowym, mówiła, że mieli przypadek, gdy kobiety powiedziały im: „Nie wiercie za blisko naszych domów, bo chodzenie po wodę to jedyny czas dla nas, czas rozmów, rozrywki z innymi kobietami, kiedy nie musimy być w domu”.

– Tutaj rodzin często nie zakłada się z miłości, małżeństwo to układ między rodzinami. Stąd czas dla nich samych jest ważny. Przy pompach toczy się życie, bawią się dzieci, rozmawiają kobiety – mówi Górka.

Rewolucja kanistrowa

Próbuję pompować. To nie takie łatwe. Kobiety proszą, żebym nie naciskał za mocno – pompa psuje się raz na kilka dni, a zanim zostanie naprawiona, kilka tysięcy ludzi jest bez wody.

Wodę noszą w kanistrach. – Nie są tanie. A jeśli masz dużo dzieci, to kanister nie wytrzyma nawet jednego roku – odpowiada młoda kobieta, nazywa się Christine Shida.



Zniszczona instalacja naftowa w El Nar. Sudan Południowy oskarżył wtedy sudańskie władze z Chartumu o atak lotniczy na jego pola naftowe. Luty 2022 r.

przez mosty na Nilu, widzę ludzi żyjących wzdłuż brzegu. Wody z Nilu używają do picia, ale też do mycia naczyń, kąpieli, przygotowania posiłków.

– Rzeki są tu brudne. Do Nilu trafiają odpady z hoteli, szpitali, stacji benzynowych, przemysłu. Spływają też zmywane z miasta defekacje, gdyż 90 proc. z nich odbywa się w Sudanie Południowym poza latrynami lub w latrynach nieodpowiednio zabezpieczonych – mówi Anna Górńska. – Jeśli ludzie widzą, że woda w Nilu jest brązowa, nie chcą jej pić, ale czasem nie mają wyboru.

Sudański paradoks

Wyboru nie ma również Charity Arko, bohaterka filmu przygotowanego przez UNICEF. Ten krótki film obrazuje dylemat, przed którym Charity codziennie staje: albo dać swojej trójce dzieci – Rumarangowi, Barakowi i Grace Nyoki – brudną wodę, albo nie dać żadnej. Jeśli wody nie da, umrą. Jeśli wodę da, zachorują na cholere, tyfus lub jedną z wielu innych „wodnych” chorób. Wyboru Charity jednak tak naprawdę nie ma, daje więc dzieciom brudną wodę.

A gdy dziecko już zachoruje, to, po pierwsze, biegunki pogłębiają głód – pokarmy, które z trudem uda się zdobyć, nie zdążą się wchłonąć. Po drugie, na ogół matka nie może liczyć na państwową służbę zdrowia dla swoich dzieci. Po trzecie, leczenie chorób utrudnia fakt, że aż 90 proc. mieszkańców nie ma zapewnionych podstawowych warunków sanitarnych. W rezultacie choroby, które wiążą się na ogół z jakością wody, są główną przyczyną niedożywienia dzieci, a także ich śmierci.

Tu widać paradoks Sudanu Południowego. Wbrew wyobrażeniom, ogromnej części Afryki nie brakuje wody. Sudan Południowy leży poniżej Sahary i obfituje w ciekłe wodne. Brakuje natomiast wody czystej, która daje życie. To tak, jakby dryfować po oceanie i umierać z pragnienia.

Powódzie co roku

Tak, w Sudanie Południowym wody nie jest za mało, lecz za dużo.

Każdorazowo idzie z 20-litrowym kanistrem na głowie, a dzieci noszą mniejsze kanisterki. Sześć rundek to 120 kilo. Ale kanister to i tak luksus. Przypomina mi się fragment „Hebanu” Ryszarda Kapuścińskiego: „Kilkanaście lat temu ten kanister zrewolucjonizował życie w Afryce. Warunkiem przetrwania w tropiku jest woda. Ponieważ na ogół nie ma tu kanalizacji i wody jest wszędzie mało, trzeba ją nosić na duże odległości – czasem kilkanaście kilometrów. Wieki całe do tego celu służyły gliniane lub kamienne stągwie”.

– Mężczyźni pomagają? – słysząc to, zanoszą się śmiechem. Nie, mężczyźni nie wypadają zajmować się wodą.

Woda to nie wszystko

Anna Górńska mówi, że choć studnie są tak ważne, to tutaj nie wystarczy zbudować kilka tysięcy studni. Bo sama woda nie zbawi tego kraju: – Kluczowa jest edukacja. W państwie, gdzie odsetek analfabetów wynosi 65 proc., należy wyjaśniać ludziom czasem podstawowe rzeczy. Np. że kanistry muszą być regularnie myte, bo inaczej woda będzie brudna.

Inna rzecz, dodaje Górńska, że bez wody nie rozwiąże się innych problemów: nie będzie rolnictwa, szkoły czy szpitali.

– A czy jest tak, że pojawienie się studni kończy walkę o wodę?

– Czasem kończy. Ale również może ją wywołać – mówi Górńska. – Zanim

ją zbudujemy, musimy zrozumieć, w jakim miejscu będziemy działać. Jedziemy, rozmawiamy ze społecznością, poznajemy ich zwyczaje, trasy przemieszczania się. Np. obok siebie mogą być dwie wioski i ci silniejsi domagają się, żeby studnia była bliżej nich. Może się to przerodzić w konflikt – tłumaczy kierowniczka biura PAH.

Nad Nilem Białym

Wracam do stolicy, Dżuby.

W mieście wodę można zdobyć na trzy sposoby. Ja mam wodę w kranie, choć w tym kraju nie ma kanalizacji. Mam wodę, bo mieszkam w Dżubie w dobrej dzielnicy – za wysokim murem, drutem kolczastym, chroniony przez uzbrojonych ochroniarzy (obok jest rezydencja ambasadora USA). Bieżąca woda to jednak przywilej najbogatszych.

Mniej zamożni muszą wodę kupić. Państwo jej nie zapewnia, woda jest skomercjalizowana, sprzedają ją głównie Etiopczy i Erytrejczy, którzy jeżdżą po mieście w lazurowych beczkowozach. Ale ta woda jest droga: 1,5 dolara za 250 litrów. To dwu- lub trzykrotnie drożej niż w Polsce, przy znacznie niższych zarobkach.

Większości nie stać więc na zakup wody. Owa większość bierze ją, skąd popadnie, m.in. z płynącego przez stolicę Nilu Białego. Wielokrotnie przejeżdżam

→ Są kraje, w których w perspektywie średnioterminowej zmiany klimatyczne mają przynieść pewne korzyści: Kanada, Norwegia czy Rosja. Są też takie, w których kryzys klimatyczny (czy jak tu się go nazywa: szok klimatyczny) sieje spustoszenie już dzisiaj. Tutaj jednym z odczuwalnych skutków są powodzie. Zdarzały się zawsze, ale w ostatnich latach dochodzi do nich rokrocznie oraz są coraz intensywniejsze.

W 11-milionowym Sudanie Południowym co roku dotykają one od 750 tys. do 1,4 mln ludzi (w 2024 r. bliżej tej drugiej liczby). ONZ podaje, że za każdym razem połowa z tych ludzi musi opuścić swój dom. To kolejny czynnik sprawiający, że struktury społeczne się rozpadają: obok wojen, głodu czy susz również powodzie czynią z ludzi wewnętrznie przemieszczonych lub uchodźców.

Przenoszą się oni na tereny, które należą do innych społeczności. Skutkuje to konfliktami oraz jeszcze większą biedą: w powodziach i suszach rolnicy tracą swoje pola, pasterze bydło – i w nowe okolice przybywają z pustymi rękami. Na państwo nie mają co liczyć.

Naftowe odpady

Efekt ubocznym powodzi jest rozprzestrzenianie się wycieków ropy i w efekcie skażenie nimi wody.

Miejscowa dziennikarka Maura Ajak jest autorką wyprodukowanego dla BBC filmu „Życie w 50°C. Południowosudańskie skażone powodzie”. Opowiedziała w nim o problemie zanieczyszczonej wody w stanie Unity na północy kraju.

– Woda jest skażona, a więc lasy i gleba również – opowiada mi Maura, gdy spotykamy się w dżubijskiej restauracji. – Gdy jedziesz przez północ stanu Unity, co chwila widzisz wewnętrznych uchodźców żyjących przy szybach naftowych. Co kilka minut widzisz też las ładnych akacji. A gdy przyjrzyj się dokładniej, zauważysz ciężarówkę z kompanii naftowej wylewającą odpady.

Rury są często uszkodzone, technologia stara, a ropociągi nie są naprawiane. Tymczasem Sudan Południowy wydobywa dużo ropy: do niedawna 90 proc. jego dochodów pochodziło z jej sprzedaży (wojna w Sudanie, sąsiadującym z Sudanem Południowym, ukróciła eksport).

– Uciekając przed powodziami, ludzie migrują z południowej do północnej czę-



HELENA KRAJEWSKA / PAH / MATERIAŁY PRASOWE

Kobieta czekająca przy studni zbudowanej przez PAH w Pibor. Sudan Południowy, marzec 2023 r.

ści stanu Unity – kontynuuje Maura. – Północna część stanu leży wyżej, jednak tam ludzie są z kolei bardziej narażeni na szkody ekologiczne związane z wyciekami ropy. Utknęli między powodziami i ropą, nie mają dokąd pójść.

Życie czy zyski

W swoim filmie Maura Ajak pokazała konsekwencje skażeń: to liczne poronienia, defekty płodów, przedwczesne śmierci.

– Wiele kobiet, które spotkałam, oddaje moc raz dziennie i to tylko niewiele. Wyglądają niezdrowo, są chodzącą śmiercią – mówi Maura. – Nie gotują wody przed spożyciem, a ta smakuje jak benzyna, wywołuje biegunkę i ból brzucha, po jej wypiciu człowiek sapie i kaszle.

Inżynier David Bojo Leju pracował przez 8 lat w miejscowej kompanii naftowej. Raportował problemy przełożonym, nic to nie dawało. W końcu otrzymał azyl w Szwecji i o wszystkim opowiedział. W filmie Maury mówi o skażonej ropą wodzie: „Ona nas dopadnie, to cichy zabójca”.

Miejscowi cierpią i biednieją, ich bydło umiera (według oficjalnych danych tylko w dwóch ubiegłych latach zmarło 100 tys. sztuk bydła), ziemia rodzi zatruty pokarm lub nie rodzi niczego.

Większość ludzi nie zdaje sobie jednak sprawy z zagrożenia, jakim jest zatruta woda. A ci, którzy wiedzą, mówią: „Nie mamy żadnej innej wody, umieramy

z pragnienia”. I chcąc nie chcąc – piją truciznę.

– Pytanie brzmi: czy ważniejsze jest dla nich ludzkie życie, czy zyski. I jeśli tam pojedziesz, bardzo łatwo otrzymasz odpowiedź – puentuje Maura.

Bogaty kraj biednych ludzi

Według Fragile States Index Sudan Południowy jest jednym z trzech najmniej stabilnych państw świata. Tymczasem rozwój wymaga stabilności. Rolnik potrzebuje pewności, że cały rok przebiegnie bez katastrofy i uda mu się zebrać plon z tego, co zasiał. W przeciwnym razie, po kilku latach niepowodzeń – oraz wobec innych czynników, np. rosnących cen zbóż wywołanych wojną rosyjsko-ukraińską – uzależni się od pomocy humanitarnej.

Pogłębi w ten sposób zależność od zagranicy i będzie czekał, czy ONZ uda się skompletować budżet. Nie dojdzie do „dekolonizacji” pomocy humanitarnej. Ogromna część społeczeństwa Sudanu Południowego jest uzależniona od pomocy z Globalnej Północy.

A wszystko to dzieje się w żyznym i zielonym kraju, który dawniej był nazywany spichlerzem Afryki Wschodniej.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem i stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego”. Autor książek, m.in. „Kajś” (Literacka Nagroda Nike 2021) i „Odrzania”. W Sudanie Południowym był na zaproszenie Polskiej Akcji Humanitarnej.

GRAND ESG

**KONFERENCJA
I NAGRODA
ZA DZIAŁANIA,
KTÓRE KSZTAŁTUJĄ
LEPSZE WYBORY**



- **KONKURS GRAND ESG** – docenimy najlepsze wdrożenia ESG i ich skuteczną komunikację do interesariuszy
Termin przyjmowania zgłoszeń upływa 15 stycznia 2025
- **KONFERENCJA GRAND ESG** – wyzwania i szanse, jakie niesie za sobą wdrażanie i komunikowanie działań ESG
Weź udział w wydarzeniu w marcu 2025!

SZCZEGÓŁY NA WWW.GRANDESG.PL

Organizatorzy

press

**GRAND
PRESS
FOUND.**

Partner merytoryczny i inicjujący

**Garden
to Words
GROUP**

Mecenas konferencji



Patroni medialni



Forbes



ngo.pl



ESG)trends

A man with a beard and mustache, wearing a black hooded jacket with a backpack and black cargo pants, is walking on a wet, cobblestone street. The background shows a brick building and some greenery. The overall mood is urban and gritty.

**EKSTRA
NA NOWY ROK
2025**

W GŁOWIE SIĘ NIE MIEŚCI

W świecie piłki nożnej
najważniejsze pytanie roku 2025 jest jedno:
czy Pep Guardiola zdoła jeszcze raz wymyślić ten sport na nowo?

MICHAŁ OKOŃSKI

PRZEZ TAK WIELKI KRYZYS NAJWYBITNIEJSZY TRENER I FILOZOF współczesnego futbolu nie przechodził jeszcze nigdy. Co więcej: wiele wskazuje na to, że oprócz wymiaru sportowego, kryzys ma również wymiar egzystencjalny. Podczas rozmów z dziennikarzami Pep Guardiola zastanawia się głośno, czy wciąż nadaje się do tego fachu. Wyznaje, że ma kłopoty ze snem i z trawieniem. Przed miesiącem, desperacko drapiąc się po twarzy w trakcie kolejnego przegranego meczu, poranił się do krwi. „Chciałem zrobić sobie krzywdę” – wypalił przed kamerami, za co później przeproszał, podkreślając, że jest świadom, ilu ludzi boryka się na co dzień z samookaleczeniami.

Każdy inny trener w trakcie tak fatalnej serii (gdy piszę te słowa, przegrał dziewięć z ostatnich dwunastu spotkań) drżałby o posadę, on jednak przedłużył umowę z Manchesterem City o kolejne lata. Pytanie tylko, czy nie stał się zakładnikiem wałęsowskiej formuły „nie chcę, ale muszę”? I czy z takiej pozycji będzie jeszcze w stanie przerwać zakłętą krąg klęsk?

NIEPOKÓJ GENIUSZA | Skala kryzysu ostatnich tygodni jest wprost proporcjonalna do skali sukcesów, które je poprzedzały. Nie chodzi przy tym jedynie o kolekcję trofeów 53-letniego szkoleniowca – choć były wśród nich 3 wygrane Ligi Mistrzów oraz 12 mistrzostw Anglii, Niemiec i Hiszpanii. Ważniejszy od tytułów był zawsze styl, w jakim po nie sięgał – styl, który kazał angielskiemu napastnikowi Wayne'owi Rooneyowi, oglądającemu przed laty mecz trenowanej wówczas przez Guardioloę Barcelony z Realem Madryt, wstać z krzesła i klaskać do telewizora. Wy tłumaczmy Rooneya: podobnie jak my wszyscy zobaczył futbol wymyślony na nowo. Oczu nie można było oderwać. Barcelona ograła swojego największego rywala 5:0.

A może właściwie nie o stylu należałoby mówić, tylko o nieustannym nowatorstwie, wyznaczającym trend rozwoju całej dyscypliny? Łamy „Tygodnika” nie udźwigną nadmiaru piłkarskiej terminologii – zainteresowanych odsyłam do tekstu opublikowanego na stronie „TP”, gdzie pokrótce opisywałem zasady guardiolańskiej gry pozycyjnej, nieustannie urozmaicaną przez zmiany ustawienia poszczególnych formacji i wymyślanie zawodnikom nowych ról na boisku. Tutaj dość powiedzieć, że biografów Peps fascynowała nie tyle jego taktyka, co sposób funkcjonowania jego umysłu, wieczne trawione futbolową gorączką.

Przyjaciel i współpracownik Katalończyka, Manel Estiarte, opowiedział Martiemu Perarnauowi o „zasadzie trzydziestu dwóch minut” – to, jego zdaniem, maksymalny czas, w jakim Guardiola jest w stanie nie myśleć o swojej pracy. Nawet kierowcą jest kiepskim: prowadząc, rozprasza się, rozbija boczne lusterka, powoduje wypadki. Zdarzyło mu się zatankować benzyną samochód z silnikiem diesla.

„Gdy widzę, jak chodzi tam i z powrotem po korytarzu, zrywam boki ze śmiechu. Zwykle jest boso i gada sam do siebie. Wygląda, jak gdyby nie miał pojęcia, gdzie się w ogóle

znajduje” – taki obraz swojego trenera w dniu meczu narysował w książce Pola Ballúsa i Lu Martína „Manchester City Pepa Guardioli. Budowa superdrużyny” argentyński napastnik Sergio Agüero. A Perarnau w książce „Herr Pep” portretuje go jako człowieka, który wątpi we wszystko – nie z powodu niepewności czy strachu, a raczej poszukiwań nieistniejącej perfekcji.

Jego umysł ma przypominać „umysł szachisty, który ocenia i rozważa wszystkie ruchy własne i rywala, starając się przewidzieć rozwój zdarzeń”; zważywszy, że pionki i figury są w jego przypadku żywe, niepokój i cierpienie arcy-mistrza muszą być naprawdę nieznosne. Píše o tym również inny z biografów Katalończyka, Guillem Balagué: „W głowie Guardioli często ma mętlik. By podjąć decyzję, jego mózg musi pracować na najwyższych obrotach. Ale nawet po wyciągnięciu ostatecznych wniosków wciąż powraca do sprawy i rozważa słuszność swojego postępowania. Jego świat jest pełen wątpliwości, rozważań i oczekiwań, którym nie potrafi sprostać”.

Czasami Guardioli wydaje się, że dobrych rozwiązań ma zbyt wiele. Czasami dławi pokusę zarzucenia piłkarzy zbyt wieloma informacjami. Najczęściej jednak musi godzić się z faktem, że są tylko ludźmi.

CENA INTENSYWNOŚCI | Wydaje się właściwie niebywałe, że książki Perarnaua i Balagué’a mają tyle lat. Już dekadę temu ten drugi pisarz portretował swojego bohatera jako człowieka niepotrafiącego uciec przed przeznaczeniem (wyborem trenerskiego fachu, podjęciem pracy w Barcelonie, w której wcześniej zrobił karierę jako piłkarz...), a jednocześnie niezdołnego do tak intensywnego życia, jakie prowadzi od chwili, gdy w 2007 r. został szkoleniowcem. Człowiek, który umożliwił mu wejście na tę ścieżkę, Johan Cruyff (Guardiola mówił o nim, że stworzył w Barcelonie katedrę, do której można jedynie dobudowywać kolejne kaplice), już w 2009 r. z zaskokiem portretował Pepsa jako człowieka, który pewnego dnia będzie musiał zdjąć nogę z gazu, bo inaczej się pochoruje.

Obserwując jego sukcesy, nie czytaliśmy tych słów z należytą uwagą. Kiedy po czterech latach pracy w Barcelonie Guardiola oświadczył, że czuje się wypalony i musi odpocząć od futbolu, myśleliśmy, że to kwestia zmęczenia toksyczną wojną, jaką wypowiedział mu prowadzący wówczas Real José Mourinho. Rywal został wcześniej odrzucony przez kataloński klub, który wybrał zamiast niego właśnie niedoświadczonego Pepsa – i poprzysiągł zemstę; autor „Dziedzictwa Barcelony” Jonathan Wilson portretował później Mourinho jako Miltonowskiego szatana wyganianego z raju, bo w przeszłości Portugalczyk pracował jako tłumacz i asystent trenera właśnie w katalońskim klubie. Po zakończeniu któregoś z El Clásico – tak nazywa się spotkania dwóch najsłynniejszych zespołów Hiszpanii – sfrustrowany porażką trener Realu włożył palec do oka asystenta Guardioli. Zdenerwowany Pep powiedział dziennikarzom, że w medialnych gierkach to Mourinho jest „pieprzonym szefem” i że nie zamierza z nim rywalizować. Ale na boisku był zwykle lepszy.

Balagué pisał, że sprawy przybrały taki obrót, iż jedynym sposobem na odzyskanie przez Guardioloę części swojej prawdziwej osobowości było zostawienie za sobą

Pep Guardiola po meczu Ligi Mistrzów z Feyenoordem Rotterdam, Manchester, 2 grudnia 2024 r.

→ wszystkiego, co stworzył. Pep wziął roczny urlop, schronił się w Nowym Jorku, później przez trzy sezony trenował Bayern Monachium. Kiedy w 2016 r. przeniósł się do Premier League, nikt się chyba nie spodziewał, że zostanie w Manchesterze tak długo.

SZKOŁA ANGIELSKA | Są powody, dla których w Anglii Guardioli o wiele dłużej bronił się przed wypaleniem. Po pierwsze, cieplarniane warunki, stworzone mu przez nieżałujących pieniędzy arabskich szejków, którzy w 2008 r. kupili Manchester City, oraz przez sprowadzonych na dyrektorskie funkcje dawnych przyjaciół z Katalonii, Ferrana Soriano i Txikiiego Begiristaina. Żaden trener świata nie miał w ostatnich latach podobnego komfortu pracy, swobody w kupowaniu zawodników, ba: nawet prawa do pomyłek.

Po drugie, nieporównywalna z innymi krajami kultura futbolowa i dużo bardziej urozmaicona rywalizacja w Premier League, gdzie – inaczej niż w Niemczech czy Hiszpanii – superkluby częściej doznają zaskakujących porażek z teoretycznie słabszymi drużynami. Dla szukającego ucieczki od umysłowych rutyn Guardioli świat wysyłający tyle bodźców wydawał się idealny.

Po trzecie, kolejna w jego życiorysie, tym razem jednak nietoksyczna rywalizacja – z prowadzącym Liverpool Jürgenem Kloppem. Symbolem jej znaczenia dla dziejów współczesnej piłki może być okładka fundamentalnej pracy Davida Goldblatta „The Age of Football: The Global Game in the Twenty-first Century”, na której rozdyskutowani Katalończyk i Niemiec przypominają Arystotelesa z Platonem w „Szkołe ateńskiej” Rafaela.

Dla chwałczego rozum Guardioli wyzwanie rzucone przez stawiającego w futbolu na emocje Kloppa było źródłem potężnej inspiracji – w ciągu ostatnich siedmiu lat wprawdzie Manchester City wygrywał ligę sześciokrotnie, ale ten jeden raz tytułu pozbawił go Liverpool. I, co ciekawe, o ile wcześniej gra drużyn Pepa wydawała się dużo bardziej ustrukturyzowana, Jürgen zaś stawiał na, jak mówił, *heavy metal football*, lata ich angielskich starć doprowadziły do zbliżenia stanowisk. U podopiecznych Guardioli pojawiło się więcej gry bezpośredniej, a piłkarze Kloppa zaczęli się lepiej utrzymywać przy piłce. Uczyli się od siebie.

Czy kiedy wiosną 2024 r. trener Liverpoolu nagle zapowiedział, że odejdzie po sezonie, bo i jemu w baku „skończyło się paliwo”, Guardiola stracił jedno z tak mu potrzebnych wyzwań?

ZMĘCZENIE MISTRZÓW | To, co w ostatnich tygodniach dzieje się z jego drużyną, z początku ekspertów szokowało. Jeszcze latem drużyna Guardioli była faworytem do kolejnego mistrzostwa Anglii i – rzecz jasna – wszelkich innych tytułów. W sierpniu 2024 r. City rozpoczęło sezon gradem bramek i pasmem zwycięstw – kiedy przegrało po raz pierwszy, pod koniec października, było ostatnim niepokonanym zespołem w Anglii.

Na początku powagę sytuacji bagatelizowano.

Kontuzje, zmęczenie, seria porażek, wyglądały jak **kolejne pytanie Sokratesa, umożliwiające dalszy rozwój filozofii futbolu.**

Oczywiście niepokojące sygnały można było widzieć już wtedy. Najważniejszy trybik w guardiolańskiej maszynie, Rodri, najlepszy piłkarz świata ubiegłego sezonu, we wrześniu zerwał więzadła w kolanie i przeszedł operację, która wyłączyła go z gry na długie miesiące (co charakterystyczne: wcześniej narzekał na zbyt wiele meczów, w których muszą występować najlepsi piłkarze, po 60-70 spotkań rocznie, i sugerował, że w trosce o swoje zdrowie powinni zastrajkować). Kontuzje dopadły też innych podstawowych graczy. Zmę-

czony występami na mistrzostwach Europy młody Phil Foden nie przypominał zawodnika, którego w poprzednich rozgrywkach okrzyknięto najlepszym w lidze.

Ale przecież – uspokajano, kiedy Manchester City zaczął przegrywać – do tego również Guardiola zdołał nas przyzwyczaić. Od lat przecież jesienią jego drużyna dopiero się rozkręcała, on zaś nieustannie ją udoskonalał, eksperymentował, wypróbowywał kolejne taktyczne formuły, by wiosną stała się już nie do zatrzymania. Kwestia kontuzji Rodriga jawiła się w tej perspektywie niemal jak kolejne pytanie Sokratesa, umożliwiające dalszy rozwój filozofii futbolu. W jaki sposób Katalończyk zdoła zastąpić najlepszego piłkarza świata? Jaką nową ideą nas zainspiruje?

TAK UPADAJĄ IMPERIA | Jak widać, niejednemu trudno się pogodzić z interpretacją najprostszą: że kluczem do obecnego kryzysu jest plaga kontuzji i zmęczenie, o którym mówił Rodri. Liczby, którymi przerzucają się w tych dniach futbolowi analitycy, nie pozostawiają wprawdzie złudzeń: piłkarze Pepa popełniają coraz więcej błędów, prowadzących do utraty gola. Rywale – których, zauważmy na marginesie, coraz częściej prowadzą uczniowie Guardioli (bijący się o mistrzostwo Anglii Enzo Maresca z Chelsea i Mikel Arteta z Arsenalu to jego niedawni asystenci) – coraz łatwiej omijają pressing MC.

Wielu jest jednak takich, których cytowanie statystyk nie zadowala. „Czasami jedynym sensownym wyjaśnieniem jest to, że piłką nożną rządzą nie prawa fizyki, dane, xG [używane przez analityków kryterium tzw. goli oczekiwanych, służące do oceny stwarzanych przez piłkarzy szans na tle analogicznych sytuacji z przeszłości], a nawet logika, ale że jest ona złowrogim, kapryśnym i złośliwym bóstwem, które czasami zwraca się przeciwko tobie i tak naprawdę niewiele możesz z tym zrobić” – pisze np. cytowany już autor „Dzielectwa Barcelony”.

Jürgen Klopp potrafił wprawdzie otrząsnąć się z fatalnej serii Liverpoolu w sezonie 2020/21, ale to raczej wyjątek potwierdzający regułę. Kiedy wokół piłkarzy Manchesteru roziała się aura niepokonanych, kiedy oni sami widzą, w jakim stanie jest ich trener, trudno się dziwić, że przypominają gladiatorów wychodzących na arenę bez nadziei zwycięstwa.

Skądinąd jeden z nielicznych zarzutów formułowanych pod adresem warsztatu Guardioli (zgłaszał go np. szwedzki napastnik Zlatan Ibrahimović, którego Pep pozbył się z Barcelony) polega na tym, że obsesyjnie skupiony na systemie



Pep Guardiola podczas ćwierćfinału Ligi Mistrzów z Realem Madryt, Manchester, 17 kwietnia 2024 r.

klub w tarapatkach. To ten aspekt „nie chcem, ale muszem”, który kazał mu przedłużyć kontrakt.

Być może w innych okolicznościach zmęczony Pep poszedłby w ślady Kloppa, biorąc kolejny długi urlop od piłki – ale teraz poczucie odpowiedzialności zmusza go dalszej pracy. Nawet jeśli w głębi duszy zdaje sobie sprawę, że znalazł się w miejscu, o które w 2012 r. pytał podczas nowojorskiej kolacji Garriego Kasparowa, wie również, że teraz nie może powiedzieć sobie dość.

To o tej scenie wspomniałem przed miesiącem w tekście „Jesień patriarchy”: 41-letni wówczas Katalończyk pytał 49-letniego Rosjanina, czy

byłby jeszcze w stanie pokonać idącego po pierwsze szachowe mistrzostwo świata, 22-letniego wtedy Magnusa Carlssena. „Mam zdolności, żeby z nim wygrać, ale to niemożliwe” – odpowiedział Kasparow. A żona szachowej legendy doprecyzowała, że gdyby gra trwała dwie godziny, to owszem – ale gdyby mecz się wydłużył, cierpienie związane z wysiłkiem umysłowym, który trzeba byłoby włożyć w analizę tylu wariantów i możliwości, okazałoby się zbyt wielkie.

Dziś Guardiola ma 53 lata.

SAMOTNOŚĆ ZWYCIĘZCY | Ballús i Martín piszą, że poza statuetką Cruyffa Katalończyk nie ma w manchesterskim gabinecie zbyt wielu osobistych przedmiotów. Na ścianie umieścił jednak – przepisany osobście czarnym markerem – obszerny cytat z innego swojego mentora, Marcelo Bielsy, argentyńskiego trenera, do którego pielgrzymował przez Atlantyk jeszcze przed rozpoczęciem pracy w Barcelonie.

„Te chwile w moim życiu, w których stawałem się lepszy, były blisko związane z porażkami. Te chwile, w których robiłem krok wstecz, były blisko związane z sukcesami. Sukcesy deformują nas jako ludzi, rozluźniają nas, otumaniają, czynią gorszymi ludźmi, karmią nasze ego. Porażka działa dokładnie na odwrót: kształtuje nas, hartuje, zbliża do naszych wewnętrznych przekonań, czyni nas bardziej wewnętrznie spójnymi” – tak o rzecz Bielsa. I dalej: „Radość płynąca ze zwycięstwa trwa jakieś pięć minut, a po niej pozostaje zięjąca pustka i trudna do opisanego samotność”.

Dziedzictwo Guardioli jest równie przemożne jak dziedzictwo Cruyffa: dziś nie da się grać w piłkę bez uwzględnienia jego pomysłów, nawet jeśli kolejne pokolenia szkoleniowców twórczo je rozwijają. Chciałoby się więc, żeby puentą tej opowieści było odrobienie przez Guardiолę lekcji z nauczania Bielsy – i żeby to nie musiało koniecznie oznaczać powrotu na ścieżkę wygrywania. Tylko czy takie rzeczy są możliwe w świecie, którym – oprócz arabskich szejków, rzecz jasna – rządzi złowrogi, kapryśny i złośliwy bóstwo?

© P MICHAŁ OKOŃSKI

trener ogranicza indywidualizm zawodników. Że Leo Messi był jedynym, któremu pozwalał być wolnym na boisku, a pozostali musieli realizować misternie utkane plany. Trudno się dziwić – powiadają krytycy – że kiedy coś idzie nie tak, zamiast wziąć sprawy w swoje ręce piłkarze Guardiola patrzą bezradnie w jego kierunku, licząc, iż rozwiąże problem za nich.

Weterani trenerskiego fachu wiedzą jednak, jak ulotne bywa zaufanie piłkarzy. Słynny węgierski szkoleniowiec Béla Guttmann porównywał kiedyś swój zawód z rolą poskramiacza lwów, bezpiecznego w ich klatce tak długo, jak wyczuwają jego nieugiętą wolę. Przy pierwszym momencie zawahania treser zostaje pożarty (zbyteczne dodawać, że Guttmann w żadnym klubie nie zapuszczał korzeni) – i pewnie dlatego niejeden autor tekstu o Guardioli przywołuje dziś obraz mieszkańców starożytnego Rzymu, beznadziejnie wpatrzonych w nadciągających Wizygotów. Czy naprawdę za chwilę zapłacemy nad tym, że – jak pisał św. Hieronim, do którego wieści o spłądowaniu Wiecznego Miasta dotarły, gdy tłumaczył zawierającą prorocstwo upadku Jerozolimy księgę Ezechiela – „jasne światło całego świata zostało zgaszone”?

JESIEŃ PATRIARCHY | Nie całkiem jasne jest to światło – i skoro już jesteśmy przy Ezechielu, prosiłoby się raczej o przywołanie frazy „biada z powodu wszystkich obrzydliwości domu Izraela”. Rzecz w tym, że władze Premier League kilkanaście miesięcy temu postawiły Manchesterowi City ponad sto zarzutów, związanych z naruszaniem obowiązujących w tej lidze przepisów finansowych podczas pospiesznej – sponzorowanej przez szejków – budowy superklubu. Jeśli wina zostanie wykazana, jeśli nie pomogą zaangażowani przez klub najlepsi angielscy prawnicy, drużynie może grozić nie tylko sroga kara finansowa, ale także odjęcie punktów czy nawet relegacja z ligi.

Zarzuty, podkreślmy, dotyczą lat poprzedzających sprowadzenie Guardioli, a on sam powtarza, że jest przekonany o niewinności swoich mocodawców, ale atmosfera jest na tyle gęsta, że Katalończyk deklaruje, że ani myśli zostawiać

RUBIKOWIE. OPOWIEŚĆ RODZINNA

Pół wieku temu powstał magiczny sześcian: kostka Rubika, która towarzyszy kolejnym pokoleniom. Na czym polega jej fenomen? Jak wyruszyła na podbój świata? Nasz autor poznał jej twórcę.

GRZEGORZ ŁUBCZYK



OTO GARŚĆ OKREŚLEŃ, KTÓRE TOWARZYSZYŁY jej narodzinom: „Łamigłówka wszech czasów”, „Narzędzie umysłowych tortur”, „Algorytm Boga”, „Zabawka logiczna stulecia”. Tak pisały światowe media w latach 80. zeszłego wieku.

Mija 50 lat od chwili, gdy asystent jednej z węgierskich uczelni, po tygodniach zmagania z tajemnicą mechanizmu umieszczonego wewnątrz sześciokolorowej kostki (w wersji trzy na trzy na trzy centymetry), krzyknął: „Eureka!”.

Magiczny sześcian, choć ostatnio nieco zwolnił, nadal trafia do rąk nie tylko kolejnych generacji „speedcuberów” (tj. tych, którzy rywalizują w jej układaniu na czas), ale i zwykłych jej układaczy na całym świecie. Tkwiącymi zaś w niej możliwościami zajmują się również naukowcy różnych dziedzin, głównie matematycy – i wykorzystują w edukacji i badaniach.

Kim jest twórca kostki? Cofnijmy się w czasie – i to dość daleko.

Warszawa 1935

W 1981 r. przez wiele miesięcy próbowałem, podobnie jak inni akredytowani wówczas w Budapeszcie korespondenci, zrobić wywiad z Ernő Rubikiem. Wielkie zainteresowanie jego wynalazkiem sprawiło, że rzadko przebywał na Węgrzech. Dodatkowo, jak się później okazało, dziennikarzy unikał jak ognia. Co mu zresztą pozostało do dziś.

Los się jednak do mnie uśmiechnął. W tym samym roku poznałem ojca wynalazcy: Ernő Rubika seniora (1910–1997), najwybitniejszego węgierskiego konstruktora lotniczego, który w latach 30. XX w. z powodów zawodowych kilka razy odwiedził Warszawę.

Do dziś pamiętam słowa powitania łamaną polszczyzną i spotkania z nim w gnieździe Rubików na stoku góry Rokus w Budzie. Jego twarz promieniowała radością, że z gościem z Polski może wrócić wspomnieniami nad Wisłę:

– Na Węgrzech nie mieliśmy tunelu aerodynamicznego, a ja chciałem konstruować samoloty. Pojechałem więc do Warszawy. Na Politechnice prowadziłem doświadczenia, poznałem wybitne postaci

polskiego lotnictwa i nauki. Z wieloma się zaprzyjaźniłem.

Bliskim mi człowiekiem stał się profesor Czesław Maciej Witoszyński, specjalista od aerodynamiki, zwany „ojcem polskiego lotnictwa” – opowiadał Ernő Rubik. – Z Jerzym Bukowskim, później profesorem i rektorem Politechniki Warszawskiej, a wtedy asystentem, pracowałem w laboratorium. Zaprzyjaźniłem się z dwoma lotnikami. Piotr Mynarski w latach 30. pobił dwa szybowcowe rekordy świata, w długości lotu (351 km) i przebywania w powietrzu (9 godzin i 7 minut). Nie mogę odżałować, że drugi z nich, utalentowany inżynier i konstruktor Staszek Piątkowski, jako pilot zginął w 1940 r. w bitwie o Anglię...

Tu gospodarz przerwał i podszedł do stylowej biblioteczki, mówiąc: – Musi pan coś zobaczyć. Jest pan z Polski, kraju, w którym zostawiłem część swej młodości.

Położył przede mną album. Ujrzałem zdjęcia warszawskich ulic, fotografowanych przez niego w 1935 r. Miejsc, których już nie ma, albo które po odbudowie zmieniły wygląd. Oryginalne, dobrej jakości ujęcia: placów Saskiego, Narutowicza, Teatralnego, mostu Kierbedzia, budynku Dworca Głównego w budowie i wielu innych obiektów.

Aero-Ever Ltd.

Jak w wielu węgierskich rodzinach, ojciec Ernő Rubika nie wrócił z Wielkiej Wojny. Po traktacie z Trianon (1920 r.) majątek, którego był on administratorem na terenie obecnej Słowacji, ówczesnych Górnych Węgier, przejęli Słowacy. Matka z trójką dzieci musiała przenieść się na okrojone Węgry.

Dzięki maturze z wyróżnieniem Ernő został stypendystą wydziału mechanicznego Uniwersytetu Techniczno-Ekonomicznego w Budapeszcie. Jako członek uczelnianego aeroklubu połknął lotniczego bakcyła: zdobył licencje pilota samolotów sportowych i pilota szybowców.

Zapisuję jego słowa, które brzmiały niczym wyznanie wiary: – Kto prawdziwie zetknął się z lataniem, staje się człowiekiem straconym dla innych dziedzin życia. Moja choroba czyniła tak szybkie postępy, iż wiedziałem tylko jedno: muszę budować, tworzyć wciąż nowe modele. Ale skąd wziąć pieniądze?

W Esztergomie znalazł stolarza z dobrze wyposażonym warsztatem. Wspomina: – Jego też interesowało lotnictwo. Do szczęścia należało znaleźć jeszcze kogoś z kapitałem. Pewien właściciel firmy z artykułami technicznymi, przed którym roztoczyłem wspaniałą przyszłość lotnictwa, postanowił zaryzykować.

W ten sposób, mając 10 tys. pengő (ówczesna waluta), w warsztacie stolarskim przystąpili do budowy samolotów i szybowców: – Stolarz wykonywał części drewniane, ja metalowe. Pomagała nam trzech uczniów zawodu. Zamawiając z góry płacił połowę, a przy odbiorze drugą. Tak zbieraliśmy środki na następny egzemplarz. Początkowo rocznie nasz zakład Aero-Ever Ltd. opuszczały jeden-dwa modele, wszystkie mojej konstrukcji. W 1944 r. zatrudnialiśmy już pół tysiąca pracowników.

Praca jak hobby

Wypróbowany w warszawskim tunelu aerodynamicznym, samolot sportowy M-19 rozpoczął na Węgrzech lotniczą „erę Rubika”, trwającą potem przez dziesięciolecia.

Ten pierwszy z podniebnych ptaków zabierał dwie osoby i leciał z prędkością 240–250 km/h. W 1935 r. uznano to za wielki wyczyn debiutującego konstruktora, o czym z zachwytem pisały też zagraniczne gazety.

W 1942 r. Rubik zasiadł za sterem swojego kolejnego samolotu: R-14 Pinty, który nadawał się do powietrznych akrobacji, a na ponad 200-kilometrowy przelot z Budapesztu do Nagyváradu (dziś Oradea w Rumunii) potrzebował tylko 9 litrów benzyny. Taki był ekonomiczny.

– Zawsze konstruowałem tanie samoloty – mówił Ernő z dumą. – Mój pierwszy model kosztował tyle, ile samochód Opel Kapitan. Niemcy byli wściekli. Mimo sporego u nas zainteresowania sportowym lotnictwem, od 1935 r. do wojny nie sprzedali węgierskim aeroklubom nawet jednego samolotu.

Ten pełen inwencji i wytrwałości konstruktor stworzył cztery samoloty sportowe i 28 szybowców. Utkwiły mi w pamięci jego słowa: – To ważne, żeby człowiek traktował pracę jak hobby. Praca była i jest dla mnie źródłem siły, moim sposobem na szczęście.

→ Moim zaś reporterskim szczęściem był fakt, że poznałem takiego pasjonata, w dodatku z tak dobrymi wspomnieniami z Polski. Bo życzliwa protekcja Ernő Rubika seniora otworzyła mi drzwi do mieszkającego nad nim, na pierwszym piętrze, syna: Ernő Rubika juniora, czło-wieka niebywale wtedy zajętego światową promocją swego wynalazku.

Pomoc naukowa

18 maja 1981 r. Pierwsze wrażenie: szczupły i średniego wzrostu, trochę nieśmiały. W dżinsowym ubraniu wyglądał raczej na studenta niż pracownika naukowego.

Zaczął od przeprosin, że tak długo zabiegałem o spotkanie: – Kostka zabrała mi spokój, zburzyła dotychczasowy rytm życia. Stany Zjednoczone, Francja, Anglia, Kanada, Austria, Finlandia, a wymieniam tylko niektóre kraje. Wziąłem urlop na uczelni, by sprostac przynajmniej części stale napływających zaproszeń. Chwilami nie wierzę, że tylu ludzi zainteresowało się czymś, co pierwotnie miało być wyłącznie pomocą naukową na zajęciach ze studentami z nauki o formie. Powiem jednak coś, co usatysfakcjonuje pana jako reportera: będzie to pierwszy wywiad dla polskiej prasy.

– Uważa się, że swoim wynalazkiem wskazał pan nowy kierunek zabawkom przyszłości – to było jedno z pytań z tamtej rozmowy.

– Moja kostka stworzyła raczej bazę do tworzenia mądrych zabawek, które już powstają – mówił Ernő junior. – Magiczny sześcian ma charakter zabawki integralnej, trójwymiarowej, przestrzennej. Każdy następny obrót nie musi przybliżać celu. Widzę paralelę między stopniem trudności występującym w sześcianie a złożonością ludzkiego życia. Jedna zmiana pociąga za sobą inne. Podobnie z kostką: jeden zły ruch burzy wszystkie poprzednie układy.

Dodał: – Chciałem skonstruować przede wszystkim dydaktyczne narzędzie, które będzie rozwijało wyobraźnię przestrzenną, uczyło studentów logicznego myślenia.

Namiętność

– Ernő nie był cudownym dzieckiem – usłyszałem od Rubika seniora. – Ale do-brze się uczył. Od małego pasjonował się łamigłówkami i grami logicznymi.



Kilkuletni Ernő Rubik, przyszły wynalazca „magicznej kostki”, z siostrą na tle jednego z 28 szybowców autorstwa ojca

Każdą wolną chwilę wykorzystywał na podglądanie mojej pracy. Na jego oczach powstało wiele modeli samolotów i szybowców. Najchętniej jednak rysował.

Ojciec wspominał: – Trzy lata starsza od niego córka, Magda, to typowa humanistka. Młodszy brat pomagał jej w matematyce. Oboje dużo czytali. Jego interesowało wszystko, co jest pomysłowo i estetycznie wykonane, użyteczne, a jednocześnie ma prostą konstrukcję. Idea magicznego węzła, opatentowanego już po sześcianie, przyszła mu do głowy w szkole średniej.

Rubik junior o sobie: – Człowiek zawsze szuka swojego miejsca. Wśród narzędzi ojca, lotniczego konstruktora, i wśród wierszy i poematów matki, Magdolny Szántó, szukałem własnych narzędzi i myśli. Chyba je znalazłem. Moją namiętnością jest przestrzeń, którą jako sześciolatek odkryłem podczas pierwszego lotu z ojcem jego samolotem.

I dalej: – Do moich słabości zaliczyłbym też grę, ale taki jej rodzaj, w którym moim przeciwnikiem jako gracza jest natura, przestrzeń, nieskończoność.

Prototyp

Budapeszt, 19 maja 1974 r. Ten dzień do góry nogami wywrócił uporządkowane życie asystenta stołecznej Wyższej Szkoły Rzemiosł Artystycznych. 30-letni wtedy Ernő swobodnie obrócił dziewięćcioma kostkami jednej płaszczyzny o 90 stopni, następnie o 180, po czym o 360 stopni. Wstrzymał oddech, po chwili ponowił

próbę, a te nie rozpadły się i trzymały się mocno. Prototyp „pomocy naukowej” był gotowy.

W styczniu 1975 r. wynalazek trafił do Węgierskiego Urzędu Patentowego pod nazwą „trójwymiarowa zabawka logiczna”.

W październiku 1976 r. „magiczna kostka” została zarejestrowana pod numerem HU170062.

W styczniu 1980 r. jej twórca przychylił się do marketingowej propozycji amerykańskiego dystrybutora Ideal Toys, by sześcian w sześciu kolorach (żółty, niebieski, czerwony, zielony, pomarańczowy i biały) jako „Kostka Rubika” (ang. Rubik’s Cube) wyruszył na podbój świata.

Przełom

Ale to dopiero później. Początki były trudne. Żadna z węgierskich firm nie chciała się podjąć produkcji. Nie wierzone, że ułożenie kostki jest możliwe. Podczas każdego kolejnego spotkania z ewentualnym producentem Rubik układał złożony z 27 drewnianych klocków prototyp, przekonując, że jednak się da, dodając, że to doskonały trening dla umysłu.

Dopiero na przełomie lat 1977/78 nieduża rzemieślnicza spółdzielnia „Politechnika” metodą chałupniczą zdecydowała się wyprodukować 5 tys. sztuk. Natychmiast znalazły nabywców.

Jednym z nich okazał się węgierski matematyk prof. Tamás Varga. W 1978 r., jadąc do Helsinek na międzynarodowy

kongres matematyków, zabrał on kostkę i jako ciekawostkę pokazał angielskiemu koledze prof. Davidowi Singmasterowi.

Ten na jej punkcie oszalał. Wziął urlop z londyńskiej uczelni, napisał kilka pierwszych artykułów do zachodniej prasy – a potem także pierwszą książkę o węgierskim wynalazku. Założył nawet poświęcone kostce pismo. To on, matematyk, dostrzegł wielkie możliwości w wykorzystaniu kostki przez specjalistów od arytmetyki, geometrii, rachunku prawdopodobieństwa i teorii grup. Niczym prorok przewidział wielką karierę kostki.

Jakby tego było mało, obliczył, że przesuwając po jednej kosteczce na kolejnych płaszczyznach sześcianu można zestawiać kolory aż na 43 tryliony 252 biliardy 3 biliony 274 miliardy 489 milionów 856 tysięcy sposobów.

Algorytm Boga

Tych wyliczeń nikt nie podważył. A skoro wiemy, że rok to 32 miliony sekund, więc aby zarejestrować owe 43 tryliony pozycji (trylion to milion razy milion razy milion), nie starczyłoby miliona lat.

Tymi obliczeniami Singmaster zaskoczył również wynalazcę. Rubik junior uczciwie przyznaje dziś, że nie spodziewał się tak wielkiego zainteresowania kostką przez naukowców różnych specjalności.

Mówi: – Od kilku dziesięcioleci ona żyje własnym życiem, na które nie mam wpływu. Stała się nawet pomocą dydaktyczną w szkoleniu służb wywiadowczych w procesie utajniania. Moja kostka kryje więcej tajemnic. Np. mimo wielu prób nie udało się znaleźć odpowiedzi na pytanie: jak obliczyć, ile ruchów należy wykonać, by dwa elementy sześcianu znajdujące się na dwóch z sześciu płaszczyzn znów znalazły się obok siebie.

W tych poszukiwaniach wykorzystano zaplecze matematyczne Google'a, ale i tam nie znaleziono odpowiedniej liczby. A więc i komputery się poddały. Ta swego rodzaju bezradność świata nauki zrodziła przypuszczenie, że to pewnie jest... algorytm Boga.

Pasjonaci

Z sześcianem Rubika natomiast coraz lepiej sobie radzą „speedcuberzy”. Ci „układacze na czas” na początku XXI w. założyli, z inicjatywy Amerykanów, Word



GRZEGORZ ŁUBCZYK

Erno Rubik senior pokazuje autorowi tekstu album z własnymi fotografiami Warszawy z 1935 r. Budapeszt 1981 r.

Cube Association; członkami są też Polacy.

Pasjonaci kostki organizują mistrzostwa regionalne, krajowe, kontynentalne i światowe. Rokrocznie odbywa się niemal tysiąc zawodów w stu krajach. Dyscyplina otrzymała nazwę: speedcubing. Zawodnicy rywalizują, układając na czas kostkę metodą klasyczną (dwoma rękoma), jedną ręką, stopami (!), a także z opaską na oczach.

Minh Thai, Amerykanin wietnamskiego pochodzenia, zwycięzca pierwszych mistrzostw świata w 1982 r. w Budapeszcie (głównym jurorem był prof. Singmaster), na jej ułożenie potrzebował 22,95 sekundy. Od czerwca 2023 r. rekord należy do Maxa Parka, Amerykanina o koreańskich korzeniach: 3,13 sekundy.

Kostka Rubika była i jest inspiracją i wdzięcznym tematem dla karykaturzystów, grafików, dizajnerów, autorów reklam i murali, filmowców i malarzy. W 1982 r. trafiła do Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku. Z uzasadnieniem: jeden z najważniejszych kulturowych symboli przełomu wieków XX i XXI.

Miliard

– Według moich szacunków – usłyszałem od Rubika podczas ostatniego z nim spotkania w drugiej połowie 2022 r. – kostkę miało w rękę, starając się ją ułożyć, już ponad miliard ludzi. Natomiast sprzedanych zostało ponad 500 mln sztuk. O liczbie podróbek wolę nie wie-

dzieć. Nawiasem mówiąc, dzięki niej wielu ludzi nieźle się urządziło. Niedawno spotkani Hindusi powiedzieli mi: „Panie Rubik! Pan nie uwierzy, ilu milionerów mamy w naszym kraju dzięki pańskiej kostce”. A to nie są jedyni azjatyccy podrabiacze.

– Na czym polega jej fenomen? – powtarza moje pytanie. – Sześcian dowiódł, że człowiek nie szuka tylko łatwego sukcesu, że tkwiące w nim intelektualne wyzwanie ma swoją wartość i cel. Ten proces poznawania daje największą radość. Kostka to zabawka, która zmusza do uruchomienia szarych komórek, a jednocześnie bawi.

Nieznane

Erno Rubika – architektka dwóch specjalności, rzeźbiarza i designera, nauczyciela akademickiego, współzałożyciela i wieloletniego prezesa Węgierskiej Akademii Inżynierskiej oraz członka Rady Doradczej Festiwalu Nauki i Inżynierii USA, biznesmena z przymusu (milionera, nie miliardera) i filantropa, który dzieli się dochodami, wspierając uzdolnionych młodych rodaków, i oczywiście wynalazcę magicznej kostki (oraz wielu innych gier) – nie mogłem nie zapytać: pod którym z wymienionych wyżej określeń w pierwszej kolejności by się podpisał.

Odpark: – Nigdy nie uważałem się za specjalistę jednej dziedziny. Jestem otwarty na każdy rodzaj wiedzy. Charakteryzuje mnie ciekawość. To, czego nie wiem, jest ciekawsze od tego, co już wiem. Zaliczam się do ludzi niezadowolonych z tego, co już wiedzą i co osiągnęli. Ciekawość zmusza mnie do ciągłego poznawania, co kryje się za tą granicą nieznanego. A odpowiedź na pytanie skłania mnie do postawienia następnego.

Czy Erno Rubik, świętujący w 2024 r. 80. urodziny, jeszcze czymś nas zaskoczy?

– Emerytem chyba nigdy nie będę. Tyle mogę powiedzieć.

© GRZEGORZ ŁUBCZYK

Autor był dziennikarzem i ambasadorem RP w Budapeszcie (w latach 1997-2001). Autor książek, filmów dokumentalnych i wystaw poświęconych głównie wojennemu uchodźstwu polskiemu na Węgrzech. W 2024 r. w Oficynie Wydawniczej Rytm ukazała się jego książka „Od Rubika do Rubika. W cztery oczy z ojcem i synem”.

DLACZEGO NIE MAMY LATAJĄCYCH TAKSÓWEK

W XXI wieku mieliśmy mieć latające samochody, miasta na Księżycu i dnie oceanu oraz roboty-służących. Przyszłość, która nadeszła, nie spełniła naszych prorocstw. Ale to mówi mniej o naturze technologii, a więcej o naszej.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

MIESZKAŃCY NEW JERSEY ŻYJĄ OD kilku dni w stanie podwyższonego napięcia. Nie przez wynik ostatnich wyborów, nie przez zmiany klimatu, nie przez stan amerykańskiej gospodarki czy sytuację geopolityczną. Niepokój wzbudzają światła na nocnym niebie. Na wschodnim wybrzeżu USA zaroilo się od obserwacji tajemniczych obiektów, w których jedni widzą rządowy spisek, inni wizytę obcych, a jeszcze inni – przyczynek do inwazji wrogiego mocarstwa.

Zaczęło się od tego, że nad nowojorskim Brooklynem mieszkańcy zaobserwowali dziwne, duże drony, które przelatywały nad dzielnicą w nieznanym celu. Wkrótce podobne obserwacje zaczęły pojawiać się w innych miastach, ale szybko zamiast faktycznych dronów spanikowani mieszkańcy zaczęli dzielić się w mediach społecznościowych zdjęciami i filmikami uwieczniającymi wszystko, co



wydawało im się dziwnymi obiektami na niebie. Czasami okazywało się, że to awionetki, czasami, że światła odległego samolotu, a w kilku wypadkach – Syriusz czy Wenus. Jak panika, to na całego.

Do krążących w sieci plotek szybko podczepili się politycy. Republikanin z New Jersey Jeff Van Drew twierdził, że „wysoko postawione źródła” powiedziały mu, iż tajemnicze obiekty to drony wysyłane z irańskiego statku-matki u wybrzeży USA. Demokrat z Illinois Raja Krishnamoorthi z kolei widział w nich rękę Pekinu. Donald Trump zażądał od władz ujawnienia prawdy o „przybyszach” albo ich zestrzelenia. Gdy Pentagon, zapewne obawiając się, że jakiś krewki Amerykanin zacznie strzelać do „Irańczyków”, zapewnił, że żaden statek-matka nie istnieje, Van Drew w telewizji Fox News stwierdził, że Amerykanie są traktowani jak idioci.

W całej sprawie zaskakujące nie jest to, że z kilku błahych incydentów zrobiła się afera na pół USA. Każdego, kto w ostatnich latach śledził choćby pobieżnie wielkie obietnice marketingowych czarodziejów branży wysokich technologii, bardziej powinno zaciekawić to, że ktokolwiek może być zaskoczony, iż nad naszymi głowami zaroilo się (podobno) od wielkich dronów. W końcu to jest dokładnie ta przyszłość, jaką nam obiecywano.

Odłot za biliony

Marzenia o latających samochodach są tak stare, jak lotnictwo. Może nawet starsze. Legendarny projektant lotniczy Glenn Curtiss już w 1917 r. stworzył „Autoplan” – samolot, z którego można było zdemontować skrzydła oraz ogon i pojechać do domu. Henry Ford zapowiadał, że to właśnie do takich pojazdów będzie należała przyszłość. I... w zasadzie nie stało się nic. Kilku inżynierów i zapaleńców przez kolejne dziesięciolecia tworzyło mniej czy bardziej udane prototypy. W 1947 r. latające auto „Model 118” zbudował jeden z największych ówczesnie lotniczych koncernów Convair. Prototypy latały i jeździły raz lepiej, raz gorzej. Kilku śmiałków zginęło w wypadkach. Rewolucja jednak uparcie nie nadchodziła.

Wszystko zmieniło się mniej więcej 10 lat temu. Kilkoro inżynierów, niezależnie od siebie, doszło do wniosku, że cały pomysł na połączenie w jednym pojeździe samolotu i samochodu jest po prostu głupi, bo wymagania stawiane przed tymi pojazdami są niekompatybilne. I można zrobić to znacznie lepiej. Zamiast telepać się nieszczególnie praktycznym autem na lotnisko, przyczepiać czy rozkładać skrzydła i podrywać się z normalnego pasa startowego, czemu po prostu nie wystartować z własnego trawnika i nie wylądować na parkingu u celu? W końcu drony, które zaczęły masowo upowszechniać się w drugiej dekadzie XXI w., potrafią bez problemu latać w każdych warunkach, a ich obsługa nie wymaga żadnych zaawansowanych umiejętności. Wystarczy zbudować wystarczająco dużego drona i wsadzić do niego człowieka.

Tak narodziła się współczesna wersja „latającego samochodu” – sterowane komputerowo, elektryczne pojazdy pionowego startu i lądowania (czasem przypominające drona, czasem nieco dziwny konwencjonalny samolot), które miały zrewolucjonizować nasze życie. Zamiast stać w korkach – śmigać nad ulicami miast. Zamiast wymagać wielu lat lotniczego szkolenia – pozwalać użytkownikowi wybrać cel i brać sprawy w swoje cyfrowe ręce. Wizja jak z „Jetsonów”, „Piątego elementu” czy „Blade Runnera”.

Branża wystartowała z wykopem. Już w 2018 r. konsultanci z banku Morgan Stanley szacowali, że do roku 2040 rynek latających taksówek może być wart oszałamiające 1,5 biliona dolarów, a Boston Consulting Group, że w 2030 r. latające taksówki będą wykonywać miliard lotów rocznie. Chętnych na zrobienie fortuny nie zabrakło. Kilkanaście start-upów obiecujących szybki sukces zgarnęło miliardy dolarów od inwestorów. Prototypy zaczęły wzbijać się w powietrze jeden za drugim, a YouTube zaroił się od profesjonalnie przygotowanych filmików, z których wynikało, że rewolucja jest tuż-tuż.

→

Demonstracja powietrznej taksówki Volocopter na lotnisku Gimpo w Seulu, 11 listopada 2021 r.



Twarde lądowanie

⇒ Latające taksówki miały stać się nawet wizytówką igrzysk w Paryżu. Niemiecka firma Volocopter obiecywała, że ich pojazdy pojawią się nad największą imprezą sportową świata, pół roku przed jej rozpoczęciem. Choć już wtedy było widać, że wielkie marzenie zaczyna się rozpląwać jak fatamorgana.

Zbudowanie wielkiego drona to jedno. Stworzenie maszyny, która będzie bezpieczna, niezawodna, opłacalna i całkowicie autonomiczna – to wyzwanie o wiele większe.

Problem pierwszy to bezpieczeństwo lotów. Wszystkich lotów, bo setki latających taksówek miały pojawić się nad największymi miastami, gdzie przestrzeń powietrzna i tak jest już zatłoczona. Nikt nie chce, by pasażerski dron znalazł się nagle na drodze podchodzącego do lądowania airbusa, a istniejące dziś systemy kontroli ruchu lotniczego nie są przystosowane do nadzorowania setek potencjalnie autonomicznych pojazdów na małym obszarze.

Autonomia to problem drugi. Aby floty latających taksówek miały faktycznie przynosić planowane zyski, powinny latać bez interwencji człowieka, a nie np. za pomocą zdalnego sterowania. Problemy z autonomicznymi i półautonomicznymi samochodami pokazują jednak, że nawet najbardziej zaawansowany system popełnia błędy, czasami z tragicznymi konsekwencjami. Według zebranych przez

ANTHONY WALLACE / AFP / EAST NEWS



W 2018 r. konsultanci z banku Morgan Stanley szacowali, że do 2040 r. rynek latających taksówek może być wart 1,5 biliona dolarów.

Inwestorzy wyłożyli miliardy. A firmy pracujące nad tą technologią poupadały.

amerykańskie władze danych, między rokiem 2018 a 2023 tesle z włączonym autopilotem co najmniej 211 razy uderzały w inne samochody, motocykle, pieszych czy przeszkody na drodze. 14 z tych wypadków skończyło się czyjąś śmiercią.

Wreszcie okazało się, że koszty budowy takich pojazdów i wprowadzenia ich do seryjnej produkcji są o wiele wyż-

sze, niż początkowo sądzili ich entuzjaści. Niemiecki start-up Lilium, który zdołał już zebrać 320 zamówień na swój pojazd (pierwszy lot wykonał w 2017 r.), właśnie ogłosił bankructwo, mimo że w ciągu 7 lat uzyskał od inwestorów miliard dolarów. Upadła też firma Kittyhawk, założona przez współtwórcę Google'a, swoje projekty latających taksówek skasowały Rolls-Royce i Bell-Textron, niemiecki Volocopter (ten od igrzysk) próbuje sprzedać się chińskiemu koncernowi Geely, a brytyjski Vertical Aerospace negocjuje właśnie z wierzycielami po tym, jak jego najbardziej zaawansowany prototyp spadł z wysokości ok. 10 metrów i złamał skrzydło. Uber, który był jednym z najgłośniejszych entuzjastów latających taksówek (miałyby uzupełniać jego biznes), sprzedał swój projekt start-upowi Joby Aviation. Ten ciągle obiecuje, że zacznie wozić pasażerów już za rok.

To wszystko nie oznacza, że ta technologia nie ma zalet i że nigdy nie znajdzie dla siebie niszy. Ale problemy rozpieszczanej jeszcze niedawno przez inwestorów branży są dobrą ilustracją tego, jak w naszym społeczeństwie funkcjonują dziś zaawansowane technologie i dla czego tak trudno nam przewidzieć, które z nich zmienią świat, a które pozostaną ciekawostkami.

W oczekiwaniu na czary

Legendarny autor *science fiction* Arthur C. Clarke mawiał, że „wystarczająco za-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**TYCZODNIK
POWSZECHNY**



KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT”

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co” – tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami:
„Życę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!”



awansowana technologia jest nie do odróżnienia od magii”. Jednym z naszych problemów jest to, że my bardzo pragniemy magicznych rozwiązań, które poprawią nasze życie tu i teraz. Gdy świat się nie zmienia jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tracimy zainteresowanie.

Pionier komputerowy i futurolog Roy Amara sformułował w latach 60. prawo, które mówi, że „zazwyczaj przeceniamy skutki technologii w krótkim okresie i nie doceniamy jej wpływu w okresie długim”. Winię częściowo ponoszą tutaj media, które chętnie rzucają się na wszystko, co nowe, błyszczące i „rewolucyjne”, ale szybko tracą zainteresowanie, gdy na horyzoncie pojawia się coś nowszego i bardziej błyszczącego. To było prawdą i sto lat temu, gdy pierwsze strony poczytnych magazynów, takich jak „Popular Mechanics” czy „Reader’s Digest”, zajmowały fantastyczne wizje kosmicznych miast, raketowych plecaków czy zrobotyzowanych lokajów. A jest prawdą tym bardziej dziś, gdy zainteresowanie nowinkami napędzają już nie media, a influencerzy, którzy, by utrzymać się na rynku nowości, muszą ich szukać niemal z godziny na godzinę.

Tymczasem prawdziwe rewolucje technologiczne nie biorą się znikąd, tylko są rezultatem lat czy dekad moliwego usprawniania, dopracowywania i budowy na położonych wcześniej fundamentach. Prawdziwe rewolucje nadchodzą często dekady po tym, kiedy ich pierwotnie oczekiwano, bo dopiero wtedy i technologia osiąga odpowiedni poziom dojrzałości, i warunki są dla niej właściwe.

Doskonałym przykładem jest tu fotowoltaika. Pierwsze panele fotowoltaiczne zostały stworzone jeszcze w 1881 r. przez amerykańskiego wynalazcę Charlesa Frittsa. Współczesne, oparte na krzemie, powstały w amerykańskich Bell Labs już w 1954 r., a w latach 70. wiara w to, że już za chwilę zrewolucjonizują produkcję prądu, była tak wielka, że prezydent Jimmy Carter kazał zainstalować je na dachu Białego Domu.

Ale ich efektywność była daleka od zadowalającej, a koszty zbyt wysokie dla zwykłych użytkowników. Szum medialny wygasł. Ronald Reagan kazał zdemontować panele Cartera. Rewolucja wyglądała na martwą.

Tyle że wcale nie była. Prace, po cichu, trwały i zaowocowały wtedy, gdy technologia okazała się najbardziej potrzebna. Cena paneli spadła z 106 dolarów za wat w 1976 r. do 38 centów w 2019. Gdy technologia dojrzała, a produkcja osiągnęła odpowiednią skalę, rewolucja stała się procesem niemal automatycznym. Dziś energia słoneczna jest najtańszą dostępną na światowym rynku.

W wąwozie rozczarowania

Innym modelem opisującym nasz dysfunkcyjny stosunek do technologii jest tzw. cykl szumu medialnego (hype’u) Gartnera, opracowany przez Jackie Fenn, byłą wiceprezes firmy consultingowej Gartner. Dzieli on „życie” technologii na kilka faz. Od jej opracowania, przez „szczyt nadmuchanych oczekiwań”, kiedy wszyscy widzą w niej największy wynalazek od czasu widelca, przez „wąwóz rozczarowania”, „stok oświecenia” po „płaskowyż produktywności”. Najpierw ponad miarę ekscytujemy się technologią,

potem rozczarowujemy się nią i porzucamy, a potem jesteśmy zaskoczeni faktem, że zapomniana pojawia się ponownie „znikąd” i zmienia świat wokół nas.

Czasami odległość między pierwszym okresem ekscytacji a faktycznym wdrożeniem technologii może trwać dekady. Koronnym przykładem są tutaj elektryczne samochody. W pierwszych latach XX w. w USA auta elektryczne sprzedawały się lepiej niż spalinowe, a w Nowym Jorku czy Bostonie funkcjonowały wielkie sieci taksówkowe oparte wyłącznie na praelektrykach. Co więcej, posługiwały się rozwiązaniami, które dziś uchodzą za awangardowe: aby taksówki nie stały po próżnicy przy ładowarkach, ich baterie były wymieniane w kilka minut na w pełni naładowane.

Ten pierwszy boom nie przetrwał jednak zderzenia z rzeczywistością. Odkrycie wielkich złóż ropy w USA zbiło cenę paliwa do tak niskiego poziomu, że samochody spalinowe okazały się po prostu tańsze. A że o elektryczność poza

Nieudane prognozy

„Przewidywanie jest trudne, zwłaszcza jeśli idzie o przyszłość” – mówił jeden z twórców fizyki kwantowej, Niels Bohr. A futurologi, biznesmeni, lekarze i dziennikarze raz za razem potwierdzali jego opinię. Oto niektóre z ciekawszych prognoz, jakie pojawiły się w ciągu ostatnich 120 lat.

1903 Prezes Banku Oszczędnościowego Michigan odradza inwestycje w akcje Forda stwierdzając, że „koń z nami zostanie, podczas gdy automobil to zaledwie przelotna moda”.

1911 Thomas Edison zapowiada, że wkrótce „prostym będzie przemienienie ciężarówki żelaznych sztab w czyste złoto”.

1955 Dr Lowry McDaniel przekonuje, że do 2000 r. ostatecznie zwyciężymy przeziębienia.

1966 „Time Magazine” przewiduje, że komputery niedługo zastąpią wszystkich poza prezesami, a 90 proc. populacji będzie wygodnie żyła z zasiłków, które miały dawać im rocznie 30-40 tys. dolarów dochodu (290-390 tys. dolarów w przeliczeniu na dzisiejszą wartość amerykańskiej waluty).

1967 Laureat Nobla w dziedzinie chemii Glenn T. Seaborg (odkrywca plutonu): „w XXI w. tam, gdzie w szafie na szczotki nie

będzie robota, będzie tresowana małpa, która będzie sprzątała i pracować w ogrodzie”. Małpy miałyby też pełnić rolę szoferów, co jego zdaniem zmniejszyłoby liczbę wypadków samochodowych.

1995 Robert Metcalfe, założyciel firmy 3Com (i wynalazca kabla Ethernet), stwierdza, że „internet niedługo zmieni się w spektakularną supernową i zawiąże w przyszłym roku”.

2005 Ian Pearson, brytyjski futurolog: „stworzenie świadomego komputera o nadludzkiej inteligencji będzie możliwe przed rokiem 2020”.

2016 Elon Musk zapowiada, że do 2022 r. może zacząć się kolonizacja Marsa. © WB

→ wielkimi miastami było trudno, elektryczne samochody stopniowo, ale na długo przeszły do lamusa. Zostały niemal zupełnie zapomniane aż do lat 90. W 2022 r. stanowiły już jednak 14 proc. rynku.

Inne technologie wpadają w „wąwóz rozczarowania” raz za razem. Na przykład wirtualna rzeczywistość, pierwotnie opracowana jeszcze w latach 70. na potrzeby wojska, już kilkakrotnie przechodziła przez cykl hype’u Gartnera. Pierwsze prototypy z lat 60. były zbyt prymitywne, w latach 90. Nintendo Virtual Boy okazał się porażką z powodu słabej jakości obrazu, po roku 2012 VR wróciła jednak z przytupem (firma Marka Zuckerberga zmieniła swoją nazwę z Facebook na Meta, bo miała zamiar skupić się na wirtualnych światach i wpominała w rozwój sprzętu i oprogramowania 36 miliardów dolarów). Mimo to szybko znów wpadła do wąwozu – jej rozwój zatrzymały niewygodne urządzenia i obojętność użytkowników. Co nie znaczy, że nigdy z tego wąwozu nie wyjdzie.

„Szczyt nadmuchanych oczekiwań” to jednak coś więcej niż tylko moment, w którym przeciętny czytelnik portali zaczyna marzyć o – dajmy na to – odrzutowych wrotkach. To moment, w którym do gry włącza się rój oportunistów i zwykłych cwaniaków, którzy próbują wykorzystać ekscytację, by wydoić inwestorów. I często odnoszą widowiskowy sukces.

Doskonałym przykładem – i przestrogą – jest tutaj firma Theranos, która zapowiadała wielki przełom w biotechnologii. Jej założycielka, Elizabeth Holmes, miała być prawdziwym objawieniem Doliny Krzemowej, reinkarnacją Steve’a Jobsa (do którego chętnie nawiązywała, np. pozując w charakterystycznym, czarnym golfie). Jej tajna technologia miała pozwolić w ciągu kilku godzin za pomocą jednej kropli krwi przeprowadzić pełną diagnostykę pacjenta, zdiagnozować jego schorzenia, a nawet wykryć markery nowotworowe. Firma zebrała od inwestorów takich jak Rupert Murdoch czy Larry Ellison ponad 700 milionów dolarów, po czym okazało się, że opracowana technologia jest w zasadzie zupełnie bezużyteczna, a sama Holmes

dziś odsiaduje 11-letni wyrok za oszustwa.

Problem z futurologią

Wspomniany wcześniej Arthur C. Clarke twierdził, że nie przewidujemy prawidłowo przyszłości z dwóch powodów: braku wyobraźni i braku odwagi. Brak wyobraźni to niemożność dostrzeżenia potencjalnych zmian, brak odwagi – to strach przed ryzykiem, nawet gdy te zmiany widzimy.

Ale problemem jest też sama fantastyka. Oferuje nam wizję przyszłości, do których przyzwyczajamy się tak, że nie zauważamy nawet, iż ona już nadeszła – tylko w nieco innej formie, niż się spodziewaliśmy. Popkultura od dziesięcioleci karmiła nas choćby wizjami robotów-służących, sprzątających, gotujących czy koszących trawę. I choć nikt z nas nie ma w domu androida, to w zasadzie takich lokajów faktycznie się doczekaliśmy. Autonomiczne odkurzacze, mopy, kosiarki czy różne wersje gotujących, inteligentnych maszyn robią dokładnie to samo, tylko nie rzucają się w oczy tak, jak dwunożna, metalowa maszyna krzątająca się w kuchni.

Wizje przyszłości zawodzą także często dlatego, że opierają się na istniejących trendach. Przekonaniu, że przyszłość będzie w zasadzie taka sama jak dzień dzisiejszy, tyle że z większą liczbą gadżetów. Tymczasem zmiany społeczne, technologiczne, środowiskowe, nawet polityczne wpływają na siebie nawzajem. Trudno jednak brać pod uwagę naprawdę przełomowe przemiany społeczne czy wydarzenia, które jeszcze nie nadeszły. W 2019 r., przed pandemią, zapewne niemal nikt nie sądził, że w zaledwie trzy lata później biura będą świeciły pustkami, a praca zdalna stanie się dla wielu z nas całkowitą normą.

Trudno nam też pojąć to, jak gwałtownie może zmieniać się tempo takich przemian. Że prawdziwe rewolucje następują tak, jak Hemingway opisywał bankructwo – „najpierw stopniowo, a potem nagle”.

Może wręcz pewnego dnia obudzimy się, a na niebie będzie roić się od latających taksówek. Zupnie zniknąd.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Medycyno, ulecz siebie

ŁUKASZ KWIATEK

Drobiazgowe śledztwo sugeruje, że poważna część publikacji medycznych opiera się na sfabrykowanych danych.

W 2020 r. JOHN CARLISLE, REDAKTOR czasopisma „Anaesthesia”, opublikował wyniki śledztwa na temat pacjentów-zombie. Nie chodziło o makabryczne eksperymenty z ożywianiem zwłok, ale zjawiska równie przerażające – fabrykowanie danych w publikacjach medycznych.

Carlisle przeanalizował ponad 500 raportów z randomizowanych kontrolowanych badań medycznych – więcej o nich za chwilę – zgłoszonych do publikacji w „Anaesthesia”. Niemal co trzecie badanie sprawdził bardzo dokładnie – uzyskał od autorów surowe dane, dotyczące poszczególnych (zanonimizowanych) pacjentów. I ustalił, że 44 proc. opierało się na danych zawierających błędy lub przekłamania – a 26 proc. na jawnie sfabrykowanych. To tę grupę zmanipulowanych badań klinicznych, które prawdopodobnie w ogóle się nie odbyły (za wymienianymi przez autorów w tabelkach pacjentami nie kryli się prawdziwi ludzie), Carlisle określił jako zombie.

ZŁOTY STANDARD | Randomizowane kontrolowane badania medyczne (znane także pod angielskim skrótem RCTs) to w teorii najwyższy standard nauki. Pacjenci przydzielani są losowo do jednej z dwóch grup: eksperymentalnej (pacjent otrzymuje lek lub terapię, których skuteczność badamy) oraz kontrolnej (pacjent otrzymuje neutralną substancję, tzw. placebo, lub inny, standardowy lek czy terapię). Skuteczność interwencji medycznej oceniamy sprawdzając, o ile częściej u pacjentów w grupie eksperymentalnej dochodzi do poprawy zdrowia w porównaniu z pacjentami z grupy

kontrolnej. Pacjenci zwykle nie wiedzą, do której grupy trafił (by ich oczekiwania lub rozczarowania związane z przydziałem do grupy nie wpływały na skuteczność terapii), nie wie tego często także personel medyczny (by jego nastawienie do wszystkich pacjentów było identyczne) – wówczas mówi się o tzw. próbach podwójnie ślepych.

Raport Carlisle'a był więc potwornie niepokojący i na szczęście wywołał burzę – rozpoczęły się kolejne śledztwa i powstały zestawy dobrych praktyk. Przykładem jest zalecenie, by redakcje czasopism wymagały udostępniania przez autorów surowych danych z prowadzonych badań, bo w nich najłatwiej wychwycić manipulacje. Np. to, że dane dotyczące wielu pacjentów są powiązane albo „zbyt idealne” – tak jakby ktoś kopiował zawartość tabel, a nie opierał się na rzeczywistych pomiarach, których wyniki w przypadku żywych ludzi muszą cechować się pewnym poziomem zmienności (każdy człowiek jest przecież niepowtarzalnym organizmem). W przypadku raportów, w których Carlisle nie miał dostępu do danych indywidualnych pacjentów, był w stanie wskazać tylko 1 proc. badań jako zombie.

Nie wszystkie przeanalizowane przez Carlisle'a raporty z badań „Anaesthesia” opublikowała, ale nawet te odrzucone w jednym czasopiśmie artykuły mogą przecież ukazać się w innym tytule – każda redakcja funkcjonuje niezależnie. Fabrykowane publikacje z pewnością więc zanieczyszczają naszą wiedzę, za co musimy płacić niższą skutecznością terapii i mniejszym ich bezpieczeństwem – a zatem ostatecznie i zdrowiem. Jak duża jest skala tych zanieczyszczeń? Nowe szersze śledztwo, zainspirowane pracą Carlisle'a, pokazuje, że niebagatelna.

CO NAM POMÓŻE | Każdego roku na świecie prowadzi się kilkadziesiąt tysięcy RCTs (przykładowo: w 2015 r. zarejestrowano ponad 35 tys. takich badań) – a setki z nich mogą dotyczyć dokładnie tych samych procedur medycznych czy leków. Często – potencjalnie z wielu powodów – poszczególne zespoły badawcze uzyskują rozbieżne wyniki. Dlatego standardy postępowania organizacji i towarzystw medycznych opierają się na systematycznych przeglądach literatury naukowej i tzw. metaanalizach, a nie wynikach pojedynczych badań. Takie przeglądy zwiększają

pewność naszej wiedzy medycznej, jednak tylko przy założeniu, że niewielka część badań została sfabrykowana.

Najbardziej cenioną organizacją udostępniającą tego rodzaju systematyczne przeglądy jest fundacja Cochrane. Właśnie jej publikacjom – dotyczącym różnych dziedzin medycyny – przyjrzeni się Jack Wilkinson z Centrum Biostatystyki na Uniwersytecie w Manchesterze razem z kilkadziesiątoma innymi badaczami. W artykule udostępnionym w serwisie medRxiv opisali zastosowanie ponad 70 testów wiarygodności (obejmowały np. analizę dorobku naukowego autorów artykułów, sposobu prezentowania wyników czy danych indywidualnych pacjentów) do badań zebranych łącznie w 50 recenzjach Cochrane'a. 25 proc. tych badań zaklasyfikowano jako podejrzone, a 6 proc. – jako bardzo podejrzone. Co gorsza, jedna piąta z przeanalizowanych recenzji Cochrane'a zawierała wyłącznie badania budzące obawy co do ich rzetelności.

Medycyna przyszłości nie może po prostu czekać na wynajdywanie nowych leków i stosowaniu nowych technologii. Musi także skutecznie nauczyć się wykrywać naukowych oszustów. ©P

REKLAMA

KIEDY NIE DA SIĘ JUŻ NIC, MY ROBIMY WSZYSTKO!

Caritas w Polsce prowadzi ponad 60 placówek opieki hospicyjnej i paliatywnej.
Wesprzyj hospicja Caritas



dokonać wpłaty
na stronie
caritas.pl/hospicja



zrób przelew BLIK
na telefon +48 668 070 000
o tytule Hospicja



wpłać dowolną kwotę na konto:
PL 77 1160 2202 0000 0000 3436
4384 z dopiskiem Hospicja

1,5%

wpisz w formularzu
PIT numer KRS:
0000198645

EKSTRA
NA NOWY ROK
2025

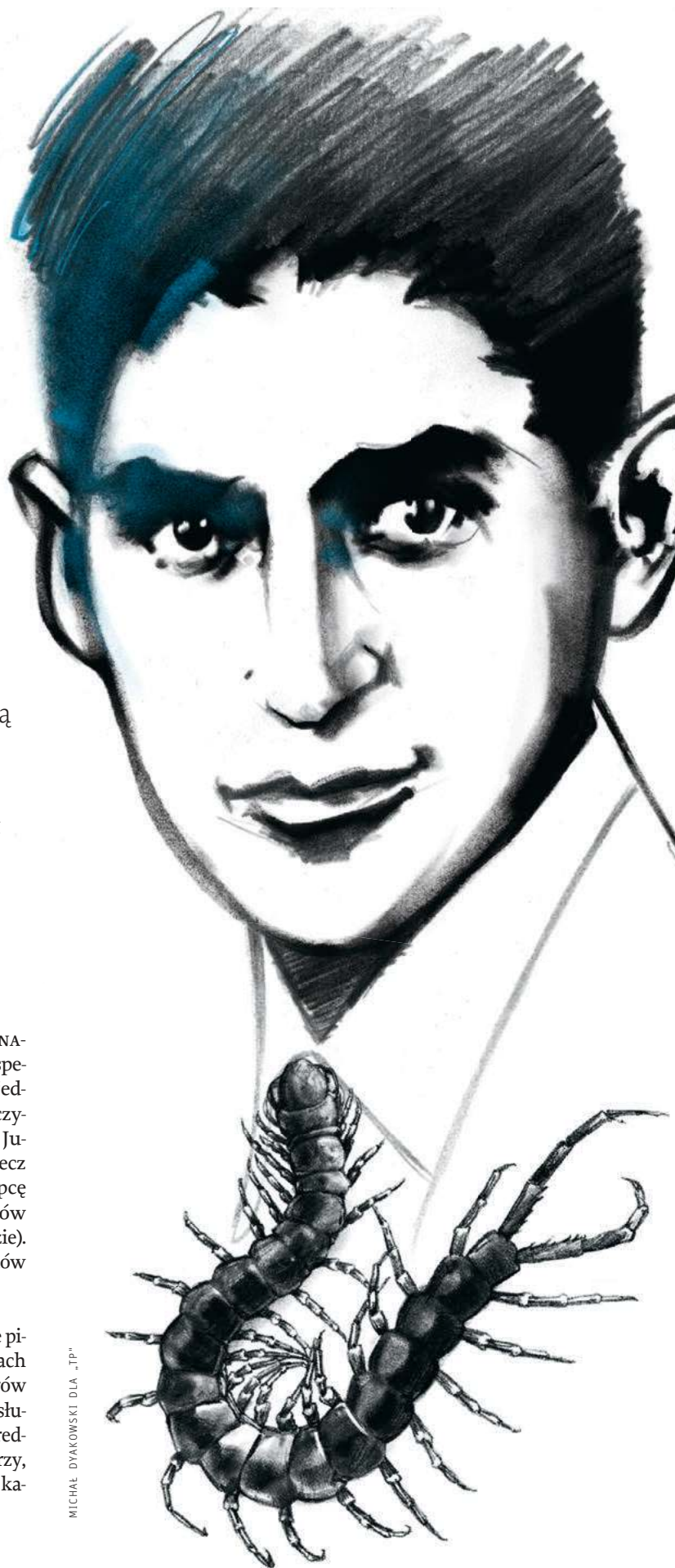
KAFKA, SAMO ŻYCIE

Minęło sto lat od jego śmierci, a my wciąż próbujemy zgłębić jego niepojętą osobowość i olśniewający styl. Odkrył świat ludzi zbytanych i nieznaczących, którymi XX wiek zaludnił społeczeństwa. Są ich dziś niezliczone miliony.

ELIZA KĄCKA

WROKU 1864 VICTOR HUGO, DOBROWOLNY WYGNANIEC na wyspie Guernsey, napisał esej o Shakespearze, a właściwie o tym, do czego służy literatura. W jednym z rozdziałów omówił jej wierzchołki, punkty szczytowe – od Homera począwszy: Ajschylosa, Izajasza, Juwenala, Dantego, Cervantesa i tak dalej. Sugerował, rzecz jasna, że sam uważa się za ostatniego z rodu, następcę Goethego (a może i miał rację, w końcu dla Francuzów był jednym z „Przewodników ludzkości”, niech mu będzie). Gdyby ciągnąć to wyliczenie, ostatnim z tego rodu tytanów musiałby być Franz Kafka (1883-1924). Tak, właśnie on.

NOWA MITOLOGIA | Niespodzianka, prawda? Ktoś, kto nie pisał nigdy o królach, bogach, geniuszach, a jeśli o postaciach mitycznych, to w tonie ironicznym. Kto ma za bohaterów urzędników, urzędasów, skrybów, fagasów, woźniców, służące, niedojdów, dolne sfery najniższego piętra klasy średniej. Jacyś lekarze wiejscy, gminni nauczyciele, geometryści, cyrkowcy, komiwojażerowie, pokątni adwokaci, starzy kawalerowie, odźwierni.



MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

Wkraczamy w świat, którym rządzi hierarchia, i to widziana „od spodu”, oddolnie. „Jestem potężny. A jestem tylko najniższym odzwierciedleniem. Przed każdą salą stoją odzwierciedlenia, jeden potężniejszy od drugiego. Już widoku trzeciego nawet ja znieść nie mogę” („Proces”). Przed kimś takim można tylko spuścić wzrok i udawać, że się nie istnieje. Nie znam drugiego takiego pisarza traktującego z analogicznym znanstwem o stanie ducha, który określiłabym jako „bycie struchlałym”.

Ukochanym tematem Kafki jest władza, a raczej ten jej odblask, który pada hen z niedosiężnych wyżyn. Frakcja promieniowania, co z jakiegoś typka, który z rzadka wypuszcza się w rejony niższe, w świat pod Zamkiem (gdzie był, jest i byłby tylko popychłem), czyni boga na ziemi. Nikt nie śmie nań spojrzeć, mówi się o nim szeptem. W ogóle nie wiadomo, czy to on, czy nie on – bo jak to sprawdzić? Wszyscy skazani są na domysł – i na trening zmysłu uniżoności.

To jest właśnie nowa mitologia – rzeczywistości widzianej z perspektywy milionów ludzi zbytecznych, nieznanych, którymi XX wiek zaludnił społeczeństwa. Z reguły nie zasługują nawet na nazwisko. Ktoś patrzy przez okno, kogoś gdzieś wzywają, ktoś podlega inspekcji zwierzchników, kogoś spotyka przykra niespodzianka, ktoś budzi się rano przemieniony w podobnego do stonogi, obrzydłego „robaka”. Posada bufetowej jest niedościgłym marzeniem. Kafka to pisarz do gruntu drobnomieszczański. I jego fabuły takież. Słowem, samo życie.

Ludzie Kafki nie jedzą (czasem wyżera ktoś kaszę z garnka), nie piją, nie chadzają na zakupy, nie piorą i nie wieszają prania, nie zelują butów, śpią byle gdzie (często na podłodze), nie znoszą się nawzajem i nie myją się absolutnie. Natomiast pan narrator z zabójczą pedanterią opisuje, jakie czynią gesty, z jaką miną i na co patrzą (lub nie), co robi przy tym ich tułów, lewa i prawa noga – i co się wówczas dzieje z ich ubraniem. Całkiem jakby był to niesamowity scenariusz jakiegoś niemego baletu. Przewidywalnego w figurach, podpatrzonego z niebywałą precyzją. To jest właśnie oszałamiający realizm Kafki, który kulminuje, gdy jego postacie zaczynają mówić. To jest ów realizm, dla którego Hannah Arendt znalazła celną formułę: „pisać prozę nacechowaną tak osobliwie czarowną i czarodziejską bliskością względem rzeczywistości” (przeł. Andrzej Kopacki). O tym jednak później.

Kafka był kinomanem, a ponad połowę ówczesnej (sprzed I wojny światowej) produkcji filmowej stanowiły burleski. Zanim pojawił się Chaplin, jego rolę spełniał komik Max Linder – dandys w zakiecie, lakierkach, w cylindrze, z laseczką. Laseczkę, rękawiczki i lakiery tudzież spodnie sztuczkowe Charlie odziedziczył właśnie po nim. I tego eleganta spotykały wciąż fatalne przygody: dostawał wciry od włóczęgów, spadał ze schodów, wpadał w błoto. Slapstickowy nieudacznik. „Już miga bioskop: / Max Linder krowę prowadzi i pada” – mówi Czesław Miłosz w „Traktacie politycznym”.

Gdy przyjrzeć się fabułom Kafki, widać, ile zawdzięczają slapstickom wczesnego niemego kina. Bohaterów

tych historii ustawicznie prześladuje pech: robią nie to, co trzeba, mówią nie to, co trzeba – uświadamiając to sobie zresztą – wpadają po głupiemu w tarapaty. Nie pojmując sytuacji, dają się prowadzić gdzieś jak cieleta – a przy tym wygłaszają zamaszyście idiotyczne tyrady. Wszystko to jest na swój sposób zabawne, i nic dziwnego, że słuchacze czytanego przez Kafkę pierwszego epizodu „Procesu”, gdzie tajemniczy funkcjonariusze zjadają aresztowanemu Józefowi K. śniadanie, pękali wraz z autorem ze śmiechu. Niektórym czytelnikom ten obraz zdawał się obrazoburczy: jak można rechotać, gdy powinno się na baczność, z miną lektora czytać niedzielnych, wysławiać ten bezdeny tekst? A jednak: było śmiesznie.

Aż tu raptem robi się nieśmiesznie. Witold Gombrowicz opisywał gdzieś swoją technikę pisarską: należy usiąść nad kartką, rzucić na nią pierwsze zdanie, jakie tylko przyjdzie do głowy, po czym ciągnąć rzecz do skutku. Tak właśnie postępuje Kafka: w swoich niezliczonych zapiskach (z których tylko część dotarła do naszych rąk) zaczyna jakąś historię, po czym rozwija ją do chwili, kiedy inwencja gaśnie. Te zawiązki opowieści uchodzą za niedokończone, czego zresztą ja osobiście wcale nie jestem pewna (oczywiście, dyskusja wokół ukończeń i niedokończeń nigdy się nie skończy, a biorąc w niej udział tęższe głowy od mojej). Większość jest fascynująca.

Otóż punktem wyjścia, który można u Kafki rozpoznać – zawiązkiem, momentem inicjalnym opowieści – jest niemal zawsze upokorzenie. Bohater nie wie jeszcze, co go spotka, ale autor już wie. Autor nie zaciera rąk, bo trudno w takich razach cieszyć się sprawczością. Autor przetrwaja ból, który uderzy bohatera w ciemnię. Autor jest jak chirurg, który otwiera salę operacyjną, antycypując prosekatorium, zatem i porażkę. Zacznie się albowiem fabuła, która zainicjuje kłopot, ten przejdzie w mitręgę, ta ostatnia w sytuację bez wyjścia, której efektem będzie poníženie, niemożność wybrnięcia. Jaki jeszcze mógłby być finał?

CZARNY STRÓJ | Dwie sprawy stworzyły wielkość Kafki: jego niepojęta osobowość i olśniewający styl. Co do pierwszej kwestii, nadzwyczajnym dokumentem są „Dzienniki”. Kafka, pisarz wsobny, który bodaj nie czytywał prasy, notował wszystko, co go dotyczyło: obserwacje uliczne, refleksje nad własną niedoskonałością, perypetie narzeczeńskie (trzeciej narzeczonej „Dzienniki” udostępnił), sprawy rodzinne, impresje podróżne, świadectwa lektur, załączki prozy, a zwłaszcza sny.

Zaskakująco często są to rzeczy najlepszej próby – niezależnie od formy. Weźmy taką historię. Rodzina wymusza na Franzu, by zaczął chodzić na lekcje tańca. W związku z tym Franz musi sprawić sobie czarne ubranie. Ów strój to oczywiście frak. Na myśl o fraku młody człowiek dostaje drgawek: trudno zatem, niech będzie smoking. Im dłużej jednak myśli Franz o jedwabnych klapach i aksamitnym kołnierzu, tym mu gorzej. Może smoking bez klap i kołnierza, zdałoby się? Krawiec powiada, że takich smokingów nie ma. Jednak Franz przypomina sobie, że widział coś takiego w wityrnie handlarza starzyzną. Porywa krawca i pędzi wraz z nim do second handu. Niestety, upragniony ciuch zdjęto z wystawy: ➔

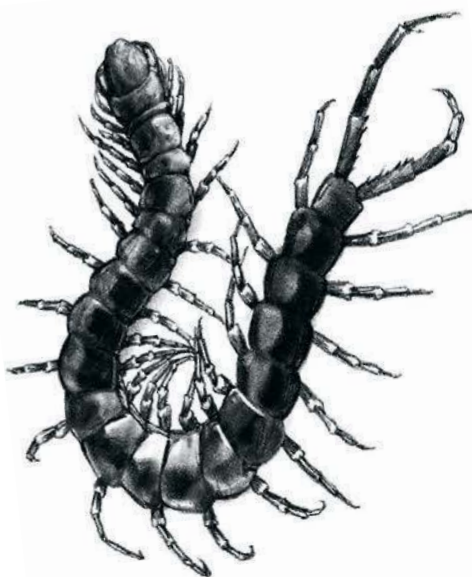
→ trzeba by wejść do środka i przerzucać stopy stęchłych szmat. Nieśmiały Franz nie decyduje się na to, nie jest w stanie rzeźbić korytarzy w zwalach płótna jak kret. Zatem spławia krawca, który – co chyba jasne – uważa go za kretyna.

Po czym przewracamy kilkadziesiąt kartek i trafiamy na taki oto sen. Pod nogi Kafki, idącego ulicą, rzuca ktoś niewiadomy – z okienka piwnicznego – pętlę. Porwany za nogę, Kafka przebija własnym ciałem sześć stropów wielkiej kamienicy i ląduje na dachu w kondycji okrwawionego strzępu. Mocne, czyż nie? To, jak autor „Zamku” widzi sam siebie i swój los, tkwi gdzieś w połowie drogi między jednym a drugim zapisem – a także między dziesiątkami innych, bo to spojrzenie jest wzorem, stygmatem, modelem egzystencjalnym, Są tacy, których łowi pętla, ale są i tacy, za którymi pętla się ugania.

Gdzieś od połowy „Zamku” startują wypowiedzi postaci – nieskończone, rozkrzewione nadmiernie. Akcja, jeśli była jakaś, zamiera – i słuchamy tylko nieskończonych monologów, których główną cechą jest to, że każde następne, bezkresne zdanie zaprzecza poprzedniemu. Więcej: przeczy samemu sobie, wikłając się w zastrzeżenia, komentarze, wyjaśnienia tych komentarzy, dygresje – być może istotne – i supły sensu, obrastające w inne sensy, z reguły przeciwne. To samo dzieje się w innych późnych prozach: „Schronie”, „Dociekaniach psa”, „Śpiewacze Józefinie”. Język wyzwala się z funkcji nośnika fabuły, czytelnik grzęźnie w wywodzie niby w tęjącym cemencie. A zarazem oderwać się od tego nie można, czuje się zawrót głowy.

Kafka okazuje się tym samym wynalazcą formy, która miała zrobić karierę dziesięć lat po jego śmierci. U Amerykanów zwą to „behawioryzmem”; jak przedstawia się w prozie, mogą pamiętać czytelnicy Ernesta Hemingwaya. Narratora nic a nic nie obchodzi, co dzieje się w psyche bohatera; obserwuje tylko jego poczynania i inne zewnętrzne objawy. Całkiem tak, jak badacz śledzi ruchy doświadczalnego szczura pod szkłem, w labiryncie: wydostanie się czy nie wydostanie? Ile razy zabłądzi?

Przed Kafką nikt – z taką wyrazistością – tak nie pisał; obowiązywał psychologizm. Labiryntem okazują się dla Kafki monologi jego bohaterów: pełne ślepych zaułków, koniecznych wycofań i musu penetracji innych ścieżek. Jego postacie mają zwykle mniej szczęścia od szczura. Szczur może mamrotać swoje, lecz akcja opowieści wygasła – i nic jej nie wznowi.



U Kafki zawiązkiem opowieści jest upokorzenie.

Bohater nie wie jeszcze, co go spotka, ale autor już wie.

Fabula zainicjuje kłopot,
potem mitręgę,
wreszcie poniżenie.

Jaki mógłby być inny finał?

PRZYGODY | Wszyscy wiedzą o perypetiach damsko-męskich Kafki, jego pracy biurowej, w której był nader sprawny, i o gruźlicy (z tą zmagał się siedem lat). A zwłaszcza o dzikim uporze, by życie poświęcić pisanii. Dużo mniej zgłasza się chętnych do czytania jego tekstów. Z tej racji warto tu parę z nich przedstawić. Streszczać Kafkę – co za bluźnierstwo! A jednak.

Do historii, które napisać mógł tylko Kafka, należą rozproszone fragmenty – te właśnie, które w pierwszym rzędzie nakazał – na łożu śmierci – spalić przyjacielowi. Wieczna chwała Maksowi Brodowi, że go nie posłuchał. Znał w nich wytrawną technikę fabularyzacji marzeń. Dajmy na to, narrator-bohater „odwiedza zmarłych”. Wkracza do grobowca, gdzie obok licznych trumien stoi biurko, przy którym siedzi starszy jegomość wpatrzony w zegarek. Na przybysza zwraca uwagę tylko sprzątaczką z miotłą, całkiem ładną, która wie, że go w głąb katakumb. W pewnej chwili powiada: „Chcesz, pokażę ci moją trumnę”. I rzeczywiście, jest trumna z pościelą, dziewczę uклада się w niej i wabi mężczyznę. Wyciąga spod poduszki koszulę. „To moja koszula śmiertelna. Ale jej nie noszę”. Zaraz będzie goła.

Jak widać, jesteśmy w Hadesie, a starszy pan to osobiście sam Hades, bóg zmarłych. Jego zegarek stoi, bo znaleźliśmy się poza czasem. Sprzątaczką to Persefona; w trakcie marszu przekroczyć trzeba mały strumyk – Styks. Ze śmiertelnego łoża dziewczyna pyta turystę: „Sądzisz, że jeszcze stąd wyjdiesz?”. Jeśli się na nią skusi, oczywiście nie wyjdzie. Seks i śmierć zlewają się w jedno. Ale wybór nie został wciąż dokonany. Kafka miał wielki pociąg do podziemi, kiedyś zanotował, że chciałby mieszkać w głębi przepastnych piwnic; jedzenie stawiano by mu przed wejściem, a on mógłby wreszcie pisać, pisać i pisać. W czarnej sotni, w sztolni świata, pod powierzchnią rozbieganych sensów.

Inna historia. Narrator-bohater spóźnia się na wycieczkę, koledzy nachodzą go w mieszkaniu i widzą, że z pleców sterczy mu kolosalny miecz, wbity tak szczęśliwie, że nie uszkodził żadnych ważnych organów. Przyjaciele włączają na fotel i w pocie czoła wyciągają oręż. Łatwo rozpoznać w nim tęgi miecz z czasów wypraw krzyżowych. I oto końcowa refleksja: „Któż pozwolił na to, aby dawni rycerze błakali się po snach, nieodpowiedzialnie wywijali swoimi mieczami, wbijali je w niewinnie śpiących ludzi i tylko dlatego nie zadawali ciężkich ran, że po pierwsze ich broń prawdopodobnie ześlizguje się po żywych ciałach, a poza tym za drzwiami stoją wierni

druhowie i pukają, gotowi przyjść z pomocą”. I co: Kafka nie miał poczucia humoru?

Lubił miecze: w innym opowiadaniu opisuje przygodę pewnego sublokatora, któremu z sufitu w wynajętym pokoju objawia się, z całą furą tynku, anioł z mieczem, niewątpliwie z doniosłym przesłaniem. Niestety, w najważniejszym momencie bohaterowi-narratorowi przytrafiło się mrugnąć: kiedy znów podniósł oczy, zamiast wysłannika niebieskiego wisiał mu u sufitu drewniany galion przedstawiający anioła (jak na statkach). A że nie było już żarówki, wypadło do miecza przylepić świeczkę i tak siedzieć „w mdłym świetle anioła”.

I ostatnia przygoda. Przed bramą swego domu narrator-bohater usiłuje uwolnić się od znajomego nudziarza, bo na górze czeka nań podwieczerek z poziomkami. Ucieka myślą i oto nadjeżdżają po niego karnawałowe platformy, w nich nagie dziewczęta, rozbrzmiewają fanfary, zbiega się tłum, wokół rozpościera się rajska kraina. Lecz po chwili uroczy pejzaż zaludniają małe rogate diabły, „wszystko załamuje się pod ich klusem, ogonki ich ścierają wszystko; już pięćdziesiąt ogonów szoruje moją twarz, ziemia rozmięka, grzęznę jedną nogą, potem drugą, piski dziewcząt ścigają mnie w otchłań, w którą zapadam się pionowo poprzez szyb o średnicy dokładnie mojego ciała, ale o głębi bezdennej. Ta bezdenność nie zachęca do żadnych szczególnych wyczynów. Wszystko, cokolwiek bym uczynił, byłoby małoduszne, spadam bezmyślnie i właśnie to jest najlepsze”.

I co? Znalście takiego Kafkę? I pomyśleć, że surrealiści chcieli jego dzieła spalić!

FOTOGRAFIA | Niejaki Gustav Janouch uchodzi za mistyfikatora. Trzeba mu jednak przyznać, że bardzo jest w swej pracy rekonstrukcyjno-konstrukcyjnej sugestywny. Jako siedemnastolatek poznał „doktora Kafkę” i literalnie się w nim zakochał. Po każdym spotkaniu (trwało to ze dwa lata) notował każde słowo swojego guru.

Pewnego razu mu podpadł. Mianowicie: pod koniec Wielkiej Wojny i później nastała moda na objazdowe ateliers fotograficzne, gdzie za pomocą przemysłnie ustawionych

luster robiono delikwentom zdjęcia z pięciu stron na jednej kliszy. Mam nadzieję, że wszyscy czytelnicy przypomną sobie w tym punkcie fotografię pięciokrotną, jaką w roku 1917 polecił zrobić sobie w Piotrogradzie Witkacy. Jak pamiętamy, witkacolodzy widzą w niej studnię tajemnic. „W tym czarnym pudle, jakie ukazuje fotografia, ze światłem spływającym z góry, być może trwa przesłuchanie: części tej samej osobowości stają przed sądem” – pisał Daniel Gerould. – „Cztery widzialne twarze wyrażają niesłuchanie silną samokontrolę, ogromną walkę, by ukryć jakąkolwiek emocję, która mogłaby coś zdradzić (...), niemniej z oczu wyziera strach i poczucie winy, dłonie spoczywające na stole starają się ukryć drżenie...”. Wiosną 1921 r. taki zakład fotograficzny zjechał również do Pragi. I Janouch wpadł na pomysł, by Kafka zrobił tam sobie zdjęcie. Fotografował się przecież często i był bardzo przystojny. „Ten aparat jest takim zmechanizowanym poznaj samego siebie”.

Kafka dosłownie eksplodował. „Chciał pan powiedzieć: zatrać samego siebie!”. A pociągnięty za język, wyjaśnił: „Fotografia kieruje naszą uwagę na to, co zewnętrzne. I stąd zaciemnia życie niejawne. (...) Owo coś, czego nie uchwyci nawet najostrejszy obiektyw! Trzeba szukać po omacku, na wycucie...”. Tak broni się ten, kto coś ukrywa. Co? Z pewnością równie „niesłuchanie silną samokontrolę”, jaka dała się dostrzec u Witkacego. Przecież właśnie jej nadmiar był źródłem klęsk życiowych Kafki. Jak też jego geniuszu. A w głębi? Co uchwyciłby niedyskretny obiektyw?

Nikt nie ma prawa – zdaje się sądzić Kafka – widzieć mnie szybciej, niż sam się widzę. A miał ambicję widzieć siebie do dna. Nikt nie stawiał sobie ambitniejszych zadań pisarskich niż Kafka i nikt nie oceniał siebie surowiej jako człowieka. Lecz co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć. Są bowiem stany ducha, którym wzbrania się nadać kształt widzialny.

Kiedy myślę o Kafce widzącym siebie do dna, myślę o Andersenie, o tej jego fabule, gdzie do oka Kaja dostaje się kawałek diabelskiego zwierciadła. I wszystko odtąd pokrywa cienka warstwa.

© ELIZA KĄCKA

TYGODNIK
POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego”.

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.



zapisz się!



LOT NAD PRZEPIÓRCZYM GNIAZDEM

Rok temu były same oczywistości: Gombrowicz, Miłosz i jeszcze stulecie Herberta. Wielka kumulacja patronów i pretekst do rytualnych rozliczeń z wielkości. W 2025 r. wyślijmy polską kulturę do rentgena. Kto ją będzie prześwietlał?

DARIUSZ KOSIŃSKI

20 LISTOPADA 2025 R. PRZYPADA SETNA rocznica śmierci Stefana Żeromskiego, więc Sejm RP przyjął specjalną uchwałę ogłaszającą go patronem tego roku. Miałoby to może jakieś znaczenie dawniej, gdy podtrzymywano dobrą i skuteczną praktykę dedykowania jednego roku jednej osobie. Tę jednak zastawowali kulturalni lobbyści i słuchający ich politycy, rozmnażając oficjalne patronaty do takiej liczby, że większość nie ma znaczenia.

Żeromski znalazł się więc w tłumie ustanowionych przez Sejm i Senat multipatronów i zniknie w nim tak samo jak Hłasko, Wierzyński i Wańkowicz w roku 2024. A już na pewno nikt, może poza garstką „osterwiuszy” i kilkoma historyczkami teatru, nie będzie pamiętał, że 27 lutego 2025 r. przypada też setna rocznica premiery najgłośniejszego dramatu Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka”. Wystawił go w Teatrze Narodowym jego ówczesny dyrektor Juliusz Osterwa, który też zagrał główną rolę – docenta fizyki Edwarda Przełęckiego.

Tymczasem ta właśnie rocznica mogłaby stanowić punkt wyjścia dla naprawdę ważnej i potrzebnej rozmowy o społecznym sensie istnienia grupy, którą w zapomnianym dziś języku nazy-

wano „inteligencją twórczą”, oraz o tym, czy i do czego potrzebna jest tworzona przez nią kultura.

Zastanówmy się nad tym, gdzie dziś jest kultura, ludzie ją tworzący i my razem z nimi. A może osobno?

Ptaka ptakowi nie dorówna

Nie wiem, czy Żeromski pisał „Przepióreczkę” jako ideowy testament, czy raczej odczytano ją tak dopiero po jego śmierci. Jestem natomiast pewien, że pisał ją dzięki i dla Juliusza Osterwy, który też uczynił z niej dramat inteligenckiej i kulturalnej misji, grany z wiarą i uporem w całej Polsce przez ponad dwadzieścia lat. Podobno gdy Osterwa przeczytał tę sztukę, upił się ze szczęścia. Wystawił ją też z najlepszą obsadą, jaką mógł wtedy znaleźć: tłum wiekowych gwiazd w roli profesorów, uwielbiana kiedyś Tekla Trapszo jako księżniczka Sieniawianka, genialny Stefan Jaracz jako Smugon i on sam, pan Juliusz – w swojej roli życia. Tylko dla Doroty Smugoniowej nie bardzo mógł dobrać odpowiednią wykonawczynię...

Sztuka Żeromskiego to doprawdy karłowata konstrukcja: manifest etycznej służby innym i dramat postaw społecznych rozegrany jako popis wirtuozerkiej gry utrzymanej w tonie właściwie... komycznym. Jej bohater to ideowy zapaleńiec realizujący z powodzeniem program

regionalizmu, czyli – jakbyśmy dziś powiedzieli – „działania na rzecz wyrównywania szans przez wzmocnienie poziomu edukacji oraz aktywizację kulturową środowisk zmarginalizowanych”. Brzmi bardzo znajomo, prawda?

Przełęcki zorganizował we wsi Porębiany kurs dla nauczycieli szkół ludowych, który prowadzą jego koledzy, wybitni profesorowie uniwersyteccy, i planuje założenie w ruinach miejscowego zamku stacji naukowej. Ma charyzmę i nieodparty urok, który sprawia, że zakochane w nim osoby robią to, co proponuje. Dobrze wie, że idą za nim dla niego, a nie dla idei, ale po mistrzowsku gra na całej gamie utajonych pragnień, fantazji i ambicji, by realizować program, w który wierzy. Jest naprawdę gotów na wszystko. Także na rezygnację z miłości i publiczne samooczerznienie. Za cenę utraty dobrego imienia i marzenia o szczęśliwej miłości umacnia zagrożone zniszczeniem przedsięwzięcie, które zainicjował.

Przewodni motyw „Przepióreczki” to dobrze znane z twórczości Żeromskiego przekonanie o konieczności poświęcenia szczęścia osobistego na rzecz całkowitego oddania się służbie ludziom wykluczonym i pozbawionym podstawowych praw i dóbr. Sztandarowym uosobieniem tego modelu jest oczywiście doktor Tomasz Judym. Ponowne wykorzystanie

Otwarcie Muzeum Sztuki Nowoczesnej.
Warszawa, 25 października 2024 r.

→ tego motywu w dramacie z roku 1925 już na premierze nie wywołało powszechnego entuzjazmu (choć przedstawienie odniosło ogromny sukces). Przełęckiego oskarżano, że jest pięknoduchem, który postępuje według wydumanego i odebranego od rzeczywistości aksjomatu abstrakcyjnej czystości etycznej, podczas gdy realne działanie zawsze pociąga za sobą konieczność zawierania mniejszych lub większych kompromisów.

Mimo tych ataków i odczuwanej już w roku 1925 anachroniczności sztuki, Osterwa grał „Przepióreczkę” niemal nieustannie, objeżdżając z nią do wybuchu drugiej wojny światowej ziemie II RP. Wrócił też do niej natychmiast po zakończeniu wojny, wystawiając ją i występując jako Przełęcki w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie już 19 lutego 1945 r. Po tym właśnie przedstawieniu sztukę zaatakował ostro młody orędownik nowego systemu, Jan Kott.

W duchu nadchodzącej kultury i polityki społecznej Kott oskarżył Żeromskiego, że sam projekt społeczny jest mu obojętny, bo tak naprawdę „najważniejszą sprawą jest wewnętrzna czystość jednostki”. A współczesnym (czytaj: nastającej władzy) nie o jakieś wydumane wartości wewnętrzne i duchowe chodzi, lecz o skuteczną realizację konkretnych zadań. Kott wołał: „gardzimy wewnętrznym samouwiebleniem. Dostatecznie drogo płaciliśmy za czyny fałszywych bohaterów, którzy gotowi są zawsze poświęcić wszystko i wszystkich, aby ratować wymagowaną czystość wewnętrzną”. I kończył swój atak zdecydowanym stwierdzeniem: „Uciekła nam »Przepióreczka« na zawsze”.

Na bosaka

Osterwa niezłomnie bronił Żeromskiego i jego dramatu. W prywatnych zapiskach polemizował z Kottem, odrzucając tezę, że w „Przepióreczce” chodzi o ofiarnictwo. Widział w niej natomiast zdramatyzowany wzorcowy model działania, które wymaga wyrzeczenia się doraźnych i osobistych korzyści jako koniecznego warunku realizacji zamierzeń przekraczających horyzont jednostkowego istnienia.

Dwadzieścia lat temu napisałem niewielki esej dotyczący polemiki między Kottem a Osterwą, w którym stawałem po stronie tego ostatniego, dostrzegając w jego interpretacji projekt kultury za-

Nasza potrzeba jest konkretna.

Chodzi o poznanie tego,
co odpowiada na tęsknotę
za życiem, które zawsze jest
gdzie indziej.

**Jej zaspokojenie stanowiło
właściwe zadanie
kultury i sztuki.**

angażowanej społecznie. Stawiałem też tezę, że największą bolączką polskiego życia społecznego jest zamknięcie się obywateli w kręgu troski o sprawy osobiste: „Życie publiczne (...) zdominowane jest przez ludzi nie cieszących się ani szacunkiem, ani sympatią. Nie widać żadnych oznak zmiany, żadnych nowych, prawdziwie ideowych partii czy stronnictw. Narzekamy na marny teatr polityki i na jego coraz gorszych aktorów, ale zarazem nie robimy nic, by ich zmienić (czytaj: zastąpić). Dlaczego? Ano dlatego, że zajmujemy się swoim życiem, a »swoje życie« nie ma w naszym przekonaniu nic wspólnego z życiem społecznym. Nielogiczność takiego rozumowania jest tak oczywista, że milkną wobec niej wszystkie zarzuty kierowane pod adresem nieszczęsnego docenta Przełęckiego. Bohater »Przepióreczki« wydaje się o wiele mądrzejszy od swoich współczesnych odpowiedników, gotowych uciec przy pierwszej lepszej okazji tam, gdzie lepiej płacą. I jeśli dziś nie gra się dramatu Żeromskiego, to dzieje się tak nie dlatego, że »Przepióreczka« nam uciekła, ale raczej dlatego, że my uciekamy przed nią, że usilnie staramy się nie zadawać sobie pytań o naszą osobistą odpowiedzialność za życie zbiorowości”.

Nie ukrywam, że zdumiała mnie aktualność, jaką zachowały te diagnozy mimo upływu dwudziestu lat. Co jednak naprawdę zdumiewające, byłem wtedy optymistą! Wydawało mi się, że słyszę kroki tłumu osób ruszających w pościg za „przepióreczką”, czyli za sztuką i kulturą skutecznie zwalczającymi „totalne uprzywilejowanie” i wzmacniającymi osoby podejmujące wielkie projekty społeczne

i ideowe. Nie pamiętam już dokładnie, ale chyba wydawało mi się nawet, że na wznoszącej się od końca XX wieku fali „nowego teatru” możliwe będzie rzeczywiste wymyślenie i zainicjowanie alternatywnych wobec neoliberalizmu wzorców życia zbiorowego i indywidualnego. W końcu gdzie miałyby to nastąpić, jeśli nie w kraju Solidarności?

Tekst zatytułowany „A ja za nią nieboraczek boso...” ukazał się w „Dialogu” z września 2004 r. Trzy miesiące wcześniej umarł Jacek Kuroń. Równy rok potem odbyły się wybory parlamentarne, po których doszło do spektakularnego rozpadu oczekiwanej koalicji o znamiennej nazwie PO PiS. I zaczął się trwający do dziś dramat, przy którego efektach życie zbiorowe i polityczne roku 2004 wydaje się kwitujące.

Wtedy jednak jeszcze dyskutowaliśmy serio o kształcie państwa oraz wartościach przez nie i przez nas realizowanych. Dziś ekscytujemy się miejscem pobytu byłego wiceministra i sprawą zatrudnienia żony rektora, a za chwilę znów damy się wkręcić w trzepakowe bójkę o to, kto więcej obieca, by dostać się do wnętrza pałacu, w którym żadnej z tych obietnic nie da się zrealizować.

Nie ma co owijać w bawełnę: daliśmy się ogłupić i omotać odgrywanemu od dwudziestu lat widowisku rzekomej różnicy, które nie przedstawia żadnych realnych alternatyw dotyczących pytań naprawdę ważnych – o sposób i sens życia. Daliśmy się i dajemy omotać, bo przecież dobrze wiemy, że to widowisko nie ma związku z tym, czym naprawdę żyjemy i jak odpowiadamy na wyzwania, także te związane z pytaniami o sens.

Totalna prywatyzacja życia ma bowiem tę zaletę, że osobiste ze zbiorowym przecina się tylko wyjątkowo. Zmiana ustrojowa roku 1989 w istocie nie zmieniła tego, czegośmy się wszyscy nauczyli przez lata PRL-u – zasad względnie bezkolizyjnej koegzystencji osobistego i zbiorowego, dzięki którym prawie cała Polska żyje w swoje chacie, która od wieków jest tu na właściwym sobie miejscu – z kraja.

Najlepiej na ten temat śpię

Docent Edward i jego twórcy chcieli oczywiście czegoś innego. Chcieli społeczeństwa żyjącego etycznie, to znaczy – prawdziwie wartościowo, w którym celem nadrzędnym nie będzie interes i zysk in-

dywidualny, ale dobra, o jakich najchętniej dziś milczymy, nie tylko dlatego, że słów je oznaczających za często używano do ograniczenia naszej wolności, narzucania dogmatów i wymuszania niechciałej ortodoksji.

Juliusz Osterwa bez żadnego zażenowania używał w swoim codziennym piśmianu słów „prawda” i „piękno”, a nawet „duch” (on oczywiście pisał je bez cudzysłowu i wielkimi literami). Nie miał też chyba żadnych wątpliwości, że celem twórczości artystycznej i wszelkiej działalności kulturowej nie jest kariera (tę zrobił i kopnął z pogardą przy pierwszej okazji), ale – uwaga, użyję słów doprawdy niedzisiejszych – życie duchowe i zbawienie. Niektórzy wciąż jeszcze pamiętają: „teatr stworzył Bóg dla tych, którym nie wystarcza kościół”. Jednak nawet ci, którzy te słynne niegdyś słowa powtarzają, niekoniecznie biorą je na serio. A Osterwa nie tylko na serio je zapisywał, ale też na serio według nich działał, będąc nieodrodnym, choć żyjącym już w zupełnie innym świecie, dziedzicem romantyzmu z jego nastawieniem na wartości duchowe i pytania największe.

No właśnie – romantyzm to być może sedno problemu, który próbuję tu osaczyć. Niby pogrzebany już pod koniec ubiegłego stulecia przez Marię Janion (i nie tylko), ale powracający na Krakowski Przedmieście w każdą smoleńską miesięcznicę – stanowi przedmiot egzorcyzmów podejmowanych nieustannie w głównych nurtach polskiego życia kulturalnego i intelektualnego. Są to przy tym najczęściej egzorcyzmy milczenia, a nie – jak w latach 60. i 70. – szyderstwa lub bluźnierczej profanacji. Bardzo wiele bardzo wybitnych osób uznało, że najlepiej walczyć z romantyzmem, omijając go szerokim łukiem. Romantyzm uznany został za niebezpiecznie anachroniczny, a wszelkie jego praktykowanie – za zupełnie niepraktyczne.

Powrót do Porębian

I właśnie tu, jak sądzę, powrót po stu latach Przełęckiego, Osterwy i Żeromskiego nie byłby tylko jubileuszowym pretekstem dla sprytnie wymyślonemu grantu.

Wszyscy oni – przy wielu rozmaitych błędach, ograniczeniach i uwikłaniu w historyczne, a dziś zupełnie nieaktualne schematy (najbardziej oczywiście wiążą się z pozycją i rolą kobiet) – podej-



A. Głuszczenko, portret Stefana Żeromskiego, ok. 1885 r.

mowali wszak w zupełnie nieromantycznym świecie trud podtrzymania fundamentu postawy romantycznej – generalnego nastawienia nie na doczesne korzyści, zyski i przyjemności (jakkolwiek byłyby im one miłe), ale na wartości i cele przekraczające horyzont „mojego życia” i „moich spraw”. Jak je określano, to już inna rzecz – sposoby te są historycznie zmienne i by nie ulec groźnym nieporozumieniom, nie należy zbyt przywiązywać się do słów.

Sprawą naprawdę ważną jest owo podstawowe nastawienie. Nie ma go w polityce, dla której nawet horyzont kadencji okazuje się już za krótki. Nie ma go oczywiście w ekonomii – sferze rzeczywistej władzy, która z zasady nie zadaje zabójczego dla kapitalizmu pytania: po co? Nie

ma w masowym przemyśle kulturowym, który żyje z recyklingu produktów o krótkim terminie przydatności do spożycia. Jest oczywiście w religii, która wielu osobom, także niewierzącym, wydaje się bezcenna właśnie z tego względu, że potrafi mobilizować ludzi do wysiłków przekraczających logikę doraźności.

Ale religia jest też przestrzenią systemowej władzy, w której – co w Polsce widać wyraźnie – nie tak ważne jest nastawienie, ale jego skanalizowanie w dogmat podany do wierzenia i błyskawicznie sprowadzany do katechizmowego banału przekładanego na policyjne zarządzanie ludzkimi sprawami.

Osterwa wiedział, co pisze, formułując swój paradoks o teatrze i dodając dwa zdania dalej, że to w nim „podaje się obiektywną, subtelną Prawdę o Bogu” i tu „ukazują się drogi ku kresom Tęsknoty”. Wielkie słowa pisane dużą literą, ale potrzeba konkretna: pozadogmatyczne poznanie tego, co nas – indywidualnych, nieuchronnie żyjących ku śmierci – przewyższa i przekracza, a zarazem odpowiada na niewypowiadalną słowami tęsknotę za życiem, które zawsze jest gdzie indziej. To jest potrzeba, której zaspokojenie stanowiło właściwe i szczególne zadanie kultury i sztuki, jak sobie je wyobrażała i stwarzała polska tradycja romantyczna, która przez dwieście lat tworzyła podstawy indywidualnego i zbiorowego życia rodzimego.

Żeromski jak może nikt widział jej ciemne strony, ograniczenia, przemoc, z jaką wyciskała swoje piętno na życiu poszczególnych osób. Ale też widział i w „Przepióreczce” jeszcze raz rozegrał niezbywalną według niego konieczność wierności wobec jej istoty – nastawienia na wartości i cele przekraczające doraźność.

Pytanie, które w stulecie premiery jego dramatu trzeba sobie zacząć na serio zadawać, brzmi: czy bez tego nastawienia jest możliwe stworzenie czegoś więcej niż udany projekt, frapujący koncept, „interesujące wydarzenie”? Czy to nie owo nastawienie decyduje o istotnej, a nie tylko przygodnej potrzebie kultury, która lubi otulać się przymiotnikami, zastępującymi wstydlive dziś „wyższą”? I jeszcze: czy na pewno bez niego owa kultura jest Polakom tak bezwzględnie potrzebna, jak lubi o sobie mówić?

© DARIUSZ KOSIŃSKI



Ewa Chodakowska i Joanna Krupa
– prowadzące program „Razem odNowa”.
Warszawa, 10 stycznia 2024 r.

Jak zbyć kochaną

MICHAŁ WALKIEWICZ

Wbrew powszechnemu przekonaniu o tym, że łakniemy życiowych porad od celebrytów, badania dowodzą, że cenimy sobie głównie „dobroczynność” i „skromność”. Nawet „promocja zdrowego trybu życia” jest grubo przeszacowana. I ani słowa o luksusie.

CZEŚĆ, KOCHANI! OTO KILKA RAD DLA Czuczaków, które toczą kulki gnoju, choć mogłyby zapytać chabry. Wyznawajcie sobie miłość, najlepiej przed lustrem. Pogłaszczcie sąsiada, zagadnijcie jego psa. Gdy burczy wam w brzuchu, rozmawiajcie ze swoim ciałem. Stwórzcie kalendarz emocjonalnej zmiany. Żyjąc poniżej minimum socjalnego, życie powyżej minimum socjalnego. Jedzcie kielki i kielkujcie. Samobójstwo? Nie! Samorozwój!

I tak, odcinek za odcinkiem, sezon za sezonem, ramówka za ramówką. Celebrycka pieśń o świadomym życiu i filozofii uważności. Mądrości, z których składają się jej kolejne zwrotki, powstają w świecie sukcesu, a za refren służy obietnica natychmiastowego dobrostanu. Powoli zanika jednak ten rodzaj naszej relacji z gwiazdami kina, estrady i mediów społecznościowych. W końcu nie po to marzymy o życiu ich

życiem, żeby wkraczali z dobrymi radami w nasze.

Bieda-cud

„Zostawiła go żona, gdyż szukała SEKSUALNEGO wyzwania” – krzyczy tytuł klipu zapowiadającego emitowany w ubiegłym roku przez TVN program „Razem odNowa”. Show o małżeństwach pragnących „jeszcze raz poczuć motyle w brzuchu” i „odświeżyć relację” prowadziły wspólnie trenerka personalna Ewa Chodakowska oraz była modelka Joanna Krupa. Gdyby spytać je o sens tak agresywnej reklamy, oddzieliłyby zapewne promocję od produktu i użyłyby słowa „konwencja”. To hipoteza, ale z oparciem w generalnej marketingowej retoryce. Wynikało z niej tyle, że program miał być plasterkiem na rozjątrzone miłosne rany.

Krupa siada obok mężczyzny, którego porzuciła szukając seksualnego wyzwania żona. Prezentuje mu zdjęcia jego

dzieci na łące, zrobione pod jego nieobecność, w trakcie separacji. Modelka przykłada palec do czoła: „To musiało być dla ciebie ciężkie, prawda?”. Potem ubiera go w stary, ślubny garnitur. Spodnie ledwo się dopinają, mężczyzna stęka, operator robi zbliżenie na jego podciągnięte bokserki. Facet kadrowany jest w odzierającym z godności planie pełnym, w tle przygrywa swawolna muzyczka. Chłop w samych gaciach? No to jedziemy z pużonem i komedią pomyłek.

Każdy odcinek to podobny narracyjny schemat i bliźniaczy estetyczny kod. Najpierw prowadzące czytają sporządzone wraz z psychologami profile par. Wywiad środowiskowy puentują retorycznym, we własnym mniemaniu, pytaniem: „Myślisz, że zdołamy im pomóc?”. Później wpadają im do mieszkania, otwierają lodówkę pełną przetworzonej żywności i karzącym tonem diagnozują przyczynę niskiej samooceny. Też tak myślałem: gluten.

Chodakowska wyciąga tabletkę ze swoją autorską aplikacją, ustala doskonale zbilansowaną dietę, rozpisuje plan ćwiczeń i zaczyna, mówiąc kurtuazyjnie, lokować produkt. Krupa odbywa w tym czasie serię rozmów o emocjach, z których wynika, że lepiej już było. Szaraków ciągnie do psychologa, a potem rozdziela ich na miesiąc, żeby zatęsknili. *Everything will be świetnie.*

Gdzieś pomiędzy beczelnością, nawet jak na standardy dzisiejszej telewizji, reklamą a niezbyt etyczną beką z chłopa powstaje tzw. kulturowy przekaz, szkodliwy dla obydwu stron małżeństwa. Mężczyźni – portretowani niemal wyłącznie jako zapuszczone, pozbawione ambicji ofiary losu – są uczeni, że fizyczności nie przeskoczysz. Kobiety – urabiane przez toksycznych partnerów anioły z podciętymi skrzydłami – dowiadują się, że nie ma takiego egzystencjalnego pata, którego nie przełamałby trening na obozie Chodakowskiej.

Kiedy trenerka i modelka ruszają dalej z życiem, ich podopieczni tłuką się w mediach społecznościowych z krwiozerczym tłumem widzów. Potem idą się wypowiadać do śniadaniówki. W końcu stają się przypisem do marketingowego sukcesu prowadzących.



ARTUR ZAWADZKI / REPORTER

Doda forever!

Gdzieś po drugiej stronie tęczy, czyli w Polsce, Dorota „Doda” Rabczewska szuka faceta na resztę życia. Radca prawny Darek zabiera ją na golf, ale nie lubi zwierząt, więc jego szanse spadają do zera. Biznesmen Daniel kocha zwierzęta, lecz wydaje się onieśmielony, co wróży mu jeszcze gorzej. Wiktorowi śmiałości z kolei nie brakuje, tyle że jest poligamistą – nie można mieć wszystkiego? Pomiędzy kolejnymi randkami Doda walczy z psychologiem, Leszkiem Mellibrudą, tematy wagi ciężkiej: sławę, dzieciństwo, egoizm, miłosne rozczarowania. „Nie wierzę w szczerze uczuć” – deklaruje.

Program „Doda. 12 kroków do miłości” już w tytule nawiązuje do popularnego modelu terapeutycznego, choć nie jestem przekonany, czy rozciąganie paraleli między schematem leczenia uzależnień a randkowym eksperymentem w ogóle jest na miejscu. Doda wymija tę semantyczną pułapkę w swoim stylu i traktuje program jako wielkie autopromocyjne show: zabawna, wulgarna, świadoma konwencji. Jej charyzma jest jednak przekleństwem całego cyklu. Producentki „12 kroków do miłości” chcieliby dylematy Dody jakoś zuniwersalizować, pokazać, że bywają także naszym udziałem. Ostatecznie, zsynchronizowany z premierą płyty „Aquaria” oraz trasą koncertową, serial służy jedynie podkreśleniu statusu gwiazdy.

Paradoksalnie za sprawą samej konwencji o wiele bliżej sukcesu była Edyta Górniak. W kuriozalnym „My Way” telewizja TVN zafundowała jej... kurs

prawa jazdy. Niestety, w kobiecie, która jest przekonana, że światem rządzi dwanaście jaszczurów, a podczas Halloween otwieramy wrota do piekieł, trudno dostrzec dziś człowieka, który śmieje się, cierpi i chodzi na pocztę. To raczej konstrukt wysyczonej spiskowymi teoriami, zbiorowej podświadomości.

Uporczywe próby przekonania widzów, że celebryci budzą się z nieświeżym oddechem i robią zakupy w warzywniaku, zaprowadziły telewizję w jeszcze mroczniejsze miejsca. W zapomnianym przez Boga i ludzi programie „Woli & Tyśio na pokładzie” (inspirowanym „Prostym życiem” z Paris Hilton, w którym amerykańska celebrytka smażyła boczek żelazkiem i paradowała z bawołem w różowym pledzie) fotograf Marcin Tyszką i projektant mody Dawid Woliński wykonywali tzw. pospolite zawody, starając się jednocześnie zapracować na status przyszłych gwiazd stacji. W zoo bawili się końskim łajnem, ze strażakami żartowali o „obciąganiu sikawki”, na trasie mieli jeszcze gospodę z polskim jedzeniem oraz cyrk.

Choć na papierze całość musiała brzmieć ironicznie, ekran zamienił wysiłki scenarzystów w szyderstwo z klasowych dysproporcji. Owo szyderstwo, o różnym natężeniu i stopniu zawołowania, jest dominantą większości podobnych formatów.

Tylko koni żal

W jednym z odcinków „Miasteczka South Park” skryta w Górach Skalistych miejscina staje się popularnym miejscem

Dorota Rabczewska „Doda” w studiu telewizji Polsat. Warszawa, 8 grudnia 2024 r.

migracji liberalnych elit. Małoletni bohaterowie podglądają zza płotu grających w polo bogaczy, a w końcu jeden z nich pyta zszokowany: „Co oni, kurwa, robią?”. W odpowiedzi słyszy: „Nie wiem, może torturują konie”.

Lubię ten fragment. Jak wiele żartów w „South Parku”, jest kapitalną metaforą rozstrzelonej społecznej optyki. Podczas gdy dla sporej części społeczeństwa arystokratyczny sport jest reliktem zamierzchłych czasów oraz przykładem niemoralnej eksploatacji zwierząt, na brytyjskim Netflixie pojawia się dokument, w którym zawodnicy portretowani są niczym zdobywcy ośmiotysięczników. Już oficjalny opis filmu „Polo”, mówiąc delikatnie, rozszadza czaszkę. „Oto wyjątkowa relacja zza kulis dynamicznego i pełnego przepychu świata polo widziana oczami producentów wykonawczych – Harry’ego i Meghan, księcia i księżnej Sussexu”.

Gdy mówimy potocznie, że gwiazdy są „oderwane od rzeczywistości”, rzadko kiedy mamy na myśli sytuacje ekstremalne, to jest wiarę w reptilian albo przekonanie, że lodowce mają się świetnie. Zwykle chodzi nam o ich skłonność do uniwersalizowania własnych doświadczeń, do mierzenia fanów własną miarą oraz zapomniania o socjalno-bytowym układzie.

W przeprowadzonym przez Maję Białą z Uniwersytetu Wrocławskiego badaniu empirycznym z 2021 roku autorka spytała respondentów o znaczenie celebrytów w ich życiu. Aż 37 proc. badanych zdefiniowało przedmiot badania poprzez sławę, a nie związany z nią dorobek. Niemal połowa nie powiązała najpopularniejszych celebryckich zajęć (to jest zarabianie na planie lub w modelingu, bywanie na salonach, reklamowania produktów czy prowadzenia mediów społecznościowych) z pracą. Na pytanie, kogo celebryci w ogóle interesują, aż 40 proc. badanych odpowiedziało: „media”, kolejne 22 proc. – „osoby wiodące nudne życie”. Spytni o to, czy celebryci są warci naśladowania, ponad połowa respondentów odparła: „To zależy”. No właśnie, ale od czego?

Wbrew powszechnemu w celebryckim światku przekonaniu o tym, że łakniemy →

→ przede wszystkim mentoringu, badanie dowodzi, że cenimy głównie „dobroczynność” i „skromność”. Najbardziej imponuje nam działalność charytatywna, aktywizm w rozumieniu pomocy ludziom nieuprzywilejowanym oraz troska o los zwierząt. O wykładach z moralności, teoriach politycznych, analizach gospodarczych nie ma ani słowa. Nawet „promocja zdrowego trybu życia” jest przeszacowana; zainteresowanych tym rodzajem komunikatu było zaledwie 5 proc. badanych.

W Stanach Zjednoczonych, które możemy uznać za matrycę ujednoliconej popkultury, rozstrzał pomiędzy promowanymi przez media autorytetami a faktycznymi potrzebami społeczeństwa jest dziś ogromny. Ostatnie wybory prezydenckie udowodniły, że aprobatą gwiazd przestaje być użytecznym narzędziem politycznej walki. Dominuje raczej nieufność, podsycana kolejnymi teoriami spiskowymi (np. o Beyoncé i Taylor Swift opłacanych przez sztab Kamali Harris). Proces ten rozpoczął się wraz z nadejściem ery mediów społecznościowych i udrożnieniem kanałów komunikacyjnych pomiędzy artystami a odbiorcami. Kiedyś aby usłyszeć bzdury na temat geopolityki, musieliśmy czekać na oscarowe przemówienia. Dziś taplamy się w nich dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

W Polsce sytuacja gwiazd – zwłaszcza tych zaangażowanych politycznie – jest równie nieciekawa. Nawet nie wchodząc w kwestie sporu o powinności artystów, Polacy nie poważają ludzi kultury i sztuki. Przez ostatnie osiem lat PiS lubił odmalo wywać ich jako darmozjadów i nieuków. Dziś widać dobrze, że mają przechłapanie. Świadczy o tym choćby gwałtowna reakcja na walkę o tantiemy ze streamingu. Albo ubiegłoroczna wojna o „Zieloną granicę” Agnieszki Holland. Bez względu na to, po której stronie politycznej barykady twórcy by stanęli, kolektywnie zapracowali na miano „pożytecznych idiotów”.

Z jednej strony każdy rodzaj aktywności jest wpisany w transgresyjną naturę sztuki. Z drugiej – twórcy z realnymi kompetencjami do rozmowy o polityce posiadają zazwyczaj instynkt samozachowawczy.

Widz wie najlepiej

Jakiś czas temu model świadomego i selektywnego uczestnictwa w kulturze

POLECAMY NAJGORSZE



TOMASZ ŻUKOWSKI / B&W

HOT OR NOT

Z cyklu „Dziś by nie powstało”. Tercet egzotyczny, czyli Tomasz Jacyków, Mandaryna i Piotr

Kupicha oceniają fizyczną atrakcyjność tzw. zwykłych ludzi. W powietrzu unosi się zapach krindżu, z nutą nietolerancji. Mocna rzecz. Not.



PAWEŁ WODZIŃSKI / EAST NEWS

WOLI & TYSIO

NA POKŁADZIE

Dawid Woliński i fotograf Marcin Tysza zasiedli w składzie jurorskim „Tap

Madl”, a potem jeździli po kraju i wykonywali „pospolite zawody”. Efektem ich starań był festiwal obscenicznych żartów, głupich pytań oraz generalna beczka śmiechu z typowych Polaków.



B&W

BIG BROTHER: VIP

W specjalnej, vipowskiej edycji formatu w domu Wielkiego

Brata zamiesz-

kali m.in. bokser Marcin Najman, tancerz Michał Skawiński, gwiazdor disco polo Marcin Miller, a także polscy Pete Doherty i Kate Moss, czyli Jarosław Jakimowicz i Jola Rutowicz. Z takim składem nie można było przegrać.



B&W

CELEBRITY

SPLASH

Skoro gwiazdy jeździły na łodzi, to dlaczego nie mogą skakać do wody?

W myśl zasady *pars pro toto* przypomnę, że to w tym programie Danuta Stenka płakała ze wzruszenia po skoku Ilony Felicjańskiej.

przejęły serwisy streamingowe. Tym, co odróżnia od nich telewizję, jest mnogość komunikatów i estetyk w jednym nieprzerwanym strumieniu. Naszą relację z tym medium definiuje przede wszystkim brak kontroli nad komunikatami z różnych porządków: ważnymi i błahymi, informacyjnymi i rozrywkowymi, promocyjnymi i misyjnymi. Widać ten chaos w serwisach newsowych, gdzie po relacji ze Strefy Gazy następuje opowieść o panu Józiu, który złowił jesiotra w toalecie. Widać to również w pasmach śniadaniowych, a także w programach z udziałem celebrytów, którzy wyruszają na „podbój” egzotycznego kraju.

W kolejnych sezonach „Azji Express” uczestnicy odwiedzali m.in. Wietnam, Laos, Sri Lankę czy Filipiny. Niektórzy pokonywali lęki, z którymi zmagali się od lat. Dla innych podróż była okazją do zrewidowania życiowych priorytetów. Konwencja jest jednak bezlitosna – ganiając po zatłoczonych ulicach i zbierając jabłka na czas, zamieniają i siebie, i portretowaną kulturę w wielkie dziwowisko. W rezultacie całość rozpada się na kilka opowieści. Jedną to program rozrywkowy, w którym komuś wypadłoby kibicować. Druga to ponura wybieżka do kraju z kosmiczną stopą bezrobocia. Trzecia to historia spotkania kultur. I nawet jeśli podstawą tej ostatniej jest autentyczna ciekawość, montaż sprowadza ją do serii frazesów i stereotypów.

Celebryci ruszają w Polskę, żeby uratować ją przed sobą samą. Jurorzy „Top Model” szukają najzdrowszych dusz w najpiękniejszych ciałach. Karolina Kuczyńska podąża szlakami ezoteryków, by znaleźć ostateczny sposób na duchową odnowę. „Królowa przetrwania” walczy na rajskiej wyspie nie tylko o „własnymi słabościami”, ale i z Matką Naturą.

Dobra wiadomość jest taka, że panowie z kalkulatorami wciąż mają swojego „wirtualnego odbiorcę” za skończonym idiotą. I pewnie dlatego większość programów, o których piszę, spada z ramówki po jednym sezonie. Splot cynicznego marketingu, bezpretensjonalnej rozrywki oraz autopromocyjnych bajek może być skomplikowany. Lecz przede wszystkim – jest widoczny gołym okiem. Bez względu na to, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i jakiemu celebrycie postawiliśmy ołtarzyk. © MICHAŁ WALKIEWICZ



NOWA PRENUMERATA PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
■ Kwartał – 12 wydań	170 zł
■ NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	320 zł
■ Rok – 52 wydania	590 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	500 zł
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.
Sprawdź pełną ofertę na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY **SALES**  **manago**
marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY” SUWERENNY DZIĘKI TOBIE



BARTOSZ MIELOCH / MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Zalewski

Zachwyt na cztery akordy

KRZYSZTOF ZALEWSKI, PIOSENKARZ:

Przypadła mi w życiu taka rola: trochę wodzireja, trochę szamana. Na moich koncertach chcę zaczarować ludzi tak, by wychodzili z nich choć trochę inni.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Ale energia! Wbiegłeś na spotkanie jak na metę sprintu.

KRZYSZTOF ZALEWSKI: Prosto z boksu...

Trenujesz?

Świat wydaje się przyjaźniejszy, kiedy trener wybiega mnie tak, że nie mam siły wstać z podłogi. Najwyraźniej mam w sobie coś z psa. A poza tym: dobrze sobie czasem wałnąć wielkim młotem w opone.

Czyli dobrze Ci w życiu?

Do niedawna wszystkie truizmy, że szczęście nie zależy od zewnętrznych wyników i czynników, tylko od wewnętrznego usposobienia, traktowałem jak bzdury. A dzisiaj jestem bardziej pogodzony z rzeczywistością. Zaczynam odkrywać, że szczęście jest faktycznie jakimś rodzajem spokoju, zgodą na świat. Coraz częściej doświadczam też momentów równowagi. Oczywiście pomagają w tym rozmaite terapie, medytacje, medytwy... no i boks.

A jak znajdujesz spokój do pisania piosenek?

Zazwyczaj żeby pisać, wstawałem dość wcześniej, o piątej rano, i siadałem do pracy jeszcze półśpiący – zależało mi na tym, żeby nic mnie nie rozpraszało. Wylewałem wtedy z siebie całe strony grafo-manii, nie zastanawiając się w ogóle nad jakością tego, co powstaje. Dopiero później, w ciągu dnia, przebierałem w tych notatkach i znajdowałem jakiś jeden ciekawy wers, który coś ze sobą niósł, od którego mogłem się odbić.

Podczas pracy nad ostatnią płytą było inaczej?

Tak, bo w pewnym momencie zrozumiałem, że moje teksty są przegadane, a to, co chcę powiedzieć, zbyt mocno ukryte za metaforą.

Co jest złego w metaforach?

Wiesz, jesteśmy atakowani miliardem informacji dziennie, więc nasza zdolność skupienia, koncentracji na tekście bardzo się skurczyła. Jeżeli chcę coś opowiedzieć ludziom, muszę to coraz częściej robić bezpośrednio, wprost. Oczywiście nie uciekam zupełnie od metafor, ale staram się, by każdy numer można było podsumować w trzech słowach.

Zmieniałeś metodę pisania?

Tym razem, pracując nad płytą „Zgłowy”, siadałem tylko na godzinę dziennie, ale za to wyrzucałem telefon, odcinałem wszelkie dystrakcje: książki, maile, smsy, instagramy. Dawałem sobie absolutne przyzwolenie na to, żeby nie robić niczego na siłę. Nie zmuszałem się też do pisania. Po prostu mogłem nie robić kompletnie nic albo pisać – tylko te dwie rzeczy. I zwykłe z nudów po piętnastu minutach okazywało się, że coś

się jednak pojawia. Z tych, nazwijmy to, warsztatów, coś wychodziło.

Oprócz tego, że pisałem w ten sposób teksty na płytę, osobno zapisywałem sobie na kartce fragmenty autobiograficzne, czasem rymowane. A potem stwierdziłem, że mógłbym spróbować je włożyć w rapową formę, bo w niej można sobie pozwolić na dłuższą frazę.

Od czego zaczyna się piosenka?

Jak jest pierwszy wers, idzie z górki. Cała późniejsza praca to jest taka gra w scrabble: przymierzanie, docinanie, żeby fraza się zgadzała z melodią.

A co Ciebie muzycznie ukształtowało?

Radio, Trójka. A jak byłem chłopcem, nieustannie słuchałem Queen. Sporo Gershwin, Kabaretu Starszych Panów, Grzegorza Turnaua – tego typu rzeczy.

Metal?

Pojawił się później, ale wiesz, ja słuchałem głównie takiego rajtuzowego metalu. Nadal mam do niego sentyment, lubię Iron Maiden, choć palmę pierwszeństwa przyznałbym dziś zdecydowanie Metallice.

Rajtuzowy metal to rodzaj spektaklu. Kiedy byłeś chłopcem, mama często zabierała Cię do teatru, prawda?

W kółko chodziliśmy do teatru! Jak tylko skończyłem trzy lata, każdego tygodnia byliśmy w lubelskim Teatrze Lalki i Aktora, dziś Andersena. A jak miałem siedem-osiem lat, zaczęliśmy chodzić do Teatru Osterwy. Wszystkie spektakle widziałem po trzy, pięć, dziesięć razy.

Podobało Ci się?

Tak, bo w teatrze trzeba uruchomić wyobraźnię, zgodzić się na zabawę, na to, że scena to – dajmy na to – statek kosmiczny. Ale najbardziej fascynowało mnie, że za każdym razem oglądaliśmy to samo, a jednak trochę coś innego. Dotąd w teatrze pociąga mnie szczególnie to, co się może nie udać. Świadomość, że reżyser czegoś nie dowiezie, a aktor może zapomnieć tekstu albo wywrócić się na scenie, jest dla mnie bardzo podniecająca!

Naprawdę? Czemu?

Byłem ostatnio w filharmonii na kwartecie smyczkowym. Siedziałem na

widowni i myślałem, że sobie głowę odkręć. Nie, nie chodzi mi o samą muzykę, tylko o wykonanie. Czułem się tak, jakbym poszedł do cyrku i oglądał gości, którzy jeżdżą na jednokołowych rowerkach nad basenem z krokodylami. Cały czas gryzłem sobie palce w stresie, że to się nie uda: „niemożliwe, oni się zaraz wywalą!”. No bo jak to: bez dyrygenta, w czwórce, zmiany tempa, dynamiki... Nie do wiary! Naprawdę, wciskałem się coraz mocniej w fotel – to był większy thriller niż oglądanie Hitchcocka.

A dlaczego? Bo scena zapewnia sprawdzalność świata. Siadając na widowni, możemy się przekonać, czy wszystko rzeczywiście potoczy się znów tak samo. Wedle scenariusza.

Sam zacząłeś występować na scenie jako nastolatek. Jak to jest od zawsze wiedzieć, co się będzie robiło w życiu? Dobrze mieć taki scenariusz?

Wygodnie! Bardzo wygodnie... Zawsze czułem, że jestem szczęściarzem, widząc, jak z planami na przyszłość mocują się, jeszcze grubo po trzydziestce, moi rówieśnicy. Pamiętam nawet, kiedy poczułem coś w rodzaju powołania. Miałem trzynaście lat, pierwszy raz pojechałem na wycieczkę w Tatry. Przytłaczająca monumentalność gór, ich majestat coś we mnie zmieniły. A ponieważ maniakalnie słuchałem wtedy klasycznego rocka, to – jakkolwiek to zabrzmiało śmieszne – pod wpływem tych przeżyć pomyślałem sobie, że właśnie to będę robił: chcę pisać piosenki i wygłupiać się na scenie. Może to rodzaj lenistwa, oportunizmu czy fatalizmu, ale lubię myśleć, że tak musiało być.

Zawsze byłeś pewien?

Tak, nawet kiedy miałem dwadzieścia parę lat i zupełnie mi nie szło. Siedziałem we Wrocławiu, byłem pomagierem w studiu: nagrywałem chórki na cudze płyty, nadawałem i odbierałem przesyłki, a wieczorami występowałem w coverowych zespołach, żeby się utrzymać na powierzchni i mieć co jeść. Do tego za dużo i za często pozwalałem sobie na używki. Byłem mało odpowiedzialny i zupełnie niezdolny do tego, by zabrać się serio do własnych projektów. Pisałem do szuflady, niczego nie kończyłem. Ale nawet kiedy nachodziła mnie myśl, że „kurczę, stary, źle wybrałeś, to nie jest ta uliczka”, →

→ zawsze ostatecznie dochodziłem do wniosku, że nie mam wyjścia. I próbowałem dalej.

Do skutku.

Dzisiaj, po dziesięciu latach nieschodzenia ze sceny, wiem, że jestem niezły w tym, co robię, mam poczucie, że jestem profesjonalistą i biorę pieniądze za coś, co potrafię najlepiej. To uspokajające.

Zastanawiasz się, po co to robisz?

Wiesz, ludzie szukają leku na raka albo latają w kosmos, a my wieczorem gramy cztery akordy, ale to jest przecież coś, co trzeba robić, koniecznie. Dawanie ludziom rozrywki czy skłanianie ich do odrobiny refleksji jest potrzebne. Cieszę się, że przypadła mi w życiu taka rola: trochę wodzireja, trochę szamana.

Jak zostać szamanem?

Chcę, żeby na moich koncertach coś się wydarzało. Chcę zaczarować ludzi tak, by wychodzili ze spotkania ze mną choć trochę inni. Oczywiście nie zawsze się to udaje. Zdarza się, że stoję na scenie i myślę o tym, co obejrzałem czy przeczytałem dzień wcześniej, albo co zjem na kolację. To nie jest dobre. Tak samo jak niedobre są momenty, gdy skupiam się wyłącznie na tym, że muszę zmienić efekt, bo zaraz będzie c-moll.

Na scenie trzeba wejść w stan *flow*, żeby jednocześnie nie być, a trochę być „bardziej”. Na koncertach to się udaje najczęściej, mam takie chwile, że nie myślę o niczym – jestem tylko przekąźnikiem energii. A do tego lepszą wersją siebie.

Dlaczego lepszą?

Bo na co dzień jestem raczej nieśmiały. Jak idę do Żabki, to mam problem, żeby spojrzeć w oczy pani kasjerce. A na scenie wystarczy parę dźwięków i wchodzę w rolę: trochę pajaca, trochę gwiazdy rocka.

Mogę być zmęczony, może mi się po prostu nie chce, ale te pięć pierwszych



dźwięków sprawia, że przez ciało przechodzi prąd i jestem w stanie zrobić dużo więcej, niż mi się wydawało. To są chyba takie nagłe momenty zachwytu... Tak, zachwyt to dobre słowo. Najpiękniejsze momenty w życiu to przecież takie, w których zachwycamy się światem, prawda? Kiedy chce się żyć, bo leci nasza ulubiona piosenka i nic nas za mocno nie boli. Granie to jest w ogóle szukanie takich właśnie momentów.

Skąd ta lekcja?

Lubię myśleć, że wszystkie osoby, które spotykamy na swojej drodze, a które z czasem okazują się w naszym życiu ważne, są jakąś lekcją. I rzeczywiście sporo było osób, które coś w moim życiu zmieniły. Marcin Bors, producent, który prowadził studio nagrań we Wrocławiu – to tam pracowałem. Chłopaki z zespołu, z którymi znamy się od dwudziestu lat i gramy razem do dzisiaj. Olga Tuszevska, która była moją menedżerką przez dekadę i mnie *de facto* stworzyła.

Inni wykonawcy?

Nieoceniona była współpraca z Kasią Nosowską. I to, że przez trzy lata grałem z Moniką Brodą, też było bardzo ważnym doświadczeniem, bo mogłem podpatrzeć, jak ona traktuje muzykę i jak bardzo istotna jest dla niej warstwa wizualna występów, na którą ja wiele lat nie zwracałem uwagi. Wielogodzinne dys-

kusje o świecie, życiu i na temat pisania tekstów odbywaliśmy też z Budyniem, czyli Jackiem Szymkiewiczem z zespołu Pogodno. Uwielbiałem jego piosenki. Od niego nauczyłem się, jak w muzyce opowiadać.

Jak?

Należy wciągać słuchacza w świat, pokazując najprostsze sytuacje z codziennego życia. Budyń twierdził, że najgłupsze, co możesz zrobić, to używać wielkich słów, bo jak zaczniesz trąbić, że ktoś ci złamał serce, to na nikim nie zrobi to wrażenia. Musisz mówić: dom, kot, pies...

Najlepsza lekcja to zresztą studiowanie tekstów Boba Dylana. Poza fragmentami, w których on jest zafascynowany Biblią i daje temu wyraz albo imituje język Starego Testamentu, większość jego tekstów to są bardzo poważne myśli wyrażone w bardzo prostych słowach, „*like eleven dollar bill when you only got ten...*” Dlatego można je swobodnie tłumaczyć na wszystkie języki.

To powiedz w prostych słowach, jak to jest być tatą?

Podczas ostatnich wakacji wziąłem mojego syna na spływ kajakowy Czarną Hańczę. Spaliśmy pod namiotem parę dni, było super. Zimna woda, zero atrakcji. Nie mieliśmy telefonów, niczego, nawet książek. Tylko siebie nawzajem i przyrodę, to wystarczyło.



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl



DOMINIKA JARUGA / MATERIAŁY PRASOWE

Ile kilometrów dziennie płynęliście?

Dwadzieścia. Wiesz, przy Czarnej Hańczy to jest fest, bo na prostej rzece dwadzieścia kilometrów to ja zrobię w dwie godziny, ale tam są takie meandry, że to naprawdę poważne tempo. Zresztą – przecież nie chodzi o to, żeby się ścigać.

A z kim Ty pływałeś kajakiem jako mały chłopiec?

Wychowywałem się bez ojca, ale miałem wielu przyszywanych wujków, przyjaciół rodziny. Każdy z nich pełnił jakąś rolę w naszym życiu, był częścią tego ojca, którego nie miałem. Więc był na przykład jeden przyszywany wujek, kompozytor, bardzo wrażliwy człowiek, który uczył mnie cierpliwości i ciepła. Ale miałem też innego wujka, aktora, który był pasjonatem kajakarstwa i zabierał mnie na spływy. Tę Czarną Hańczę z nim robiłem parę razy i teraz, z moim synem, odtwarzałem sceny ze swojego dzieciństwa: wędkowanie, posługiwanie się saperką, rozkładanie i składanie namiotu. Zresztą dzisiaj to, wiesz, naciśkasz guzik i jest rozłożone, a wtedy to trzeba się było naprawdę napracować.

Ojca poznałeś już jako nastolatek.

Tak, kiedy się pojawił, cieszyłem się, że w końcu mam tatę, choć był w stanie poświęcić mi dwie godziny raz na dwa miesiące. Ojciec mnie zaskakiwał erudycją, natomiast, cóż, możesz być erudytą, ale wiedza niekoniecznie idzie w parze z mądrością.

To czym jest mądrość?

„Informacja nie jest wiedzą, wiedza nie jest mądrością, mądrość nie jest prawdą, prawda nie jest pięknem, piękno nie jest miłością, miłość nie jest muzyką. Muzyka jest najlepsza”. To Frank Zappa...

A Zalewski?

Mądrość jest umiejętnością godzenia się z tym, czego zmienić się nie da. Zdolnością wykorzystywania swojego potencjału, żeby zmieniać to, co zmienić można. A także talentem odróżniania jednego od drugiego, żeby niepotrzebnie nie kopać się z koniem.

©© Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

Lektor: Strumień życia



■ *Józef Czapski*
ŚWIAT W MOICH OCZACH
Rozmowy przeprowadził
Piotr Kłoczowski
Wydawnictwo Próby,
Warszawa 2024, ss. 240.

„TO BYŁY MOJE OSTATNIE ROZMOWY Z JÓZEFEM CZAPSKIM – pisze Piotr Kłoczowski. – W dziewięćdziesiątym trzecim roku życia, które uważał za tak długie, że skazywało go na zupełne wygnanie... Może stąd kapryśność pamięci, która nie dba już o chronologię, o epicką ciągłość wydarzeń. Z wielkopańską dezynwolturą miesza czasy, miejsca, ludzi... Pozostaje im jednak nieomylnie wierna w toku powtórzeń, nawrotów, błyskawicznych dygresji, oddaleń i przybliżeń chwil życia. Jak w szkicach i notatkach legendarnych »Dzienników« Czapskiego nad tumultem i widmami życia raz po raz zwycięża artysta”.

„Tumult i widma” to tytuł zbioru esejów wydanego przez Czapskiego u Giedroycia. Tytuł rzeczywiście znaczący – jakby zaprzeczenie epickiej równowagi, narzucania przeszłości ustalonych wcześniej reguł, doszukiwania się w niej ładu. W rozmowach Kłoczowskiego, nagrywanych w 1989 roku, których Czapski nie mógł już autoryzować, przeszłość jeszcze bardziej wymyka się spod kontroli. Pamięć pozostaje niebylewale żywa, ale jest rzeczywiście nieokiełnana.

Książka ukazała się po raz pierwszy w 2001 roku nakładem wydawnictw Editions du Dialogue i Apostolicum. Wywołała protesty rodziny związane z bezpośrednią, z jaką Czapski opowiada w niej między innymi o swoim życiu osobistym, związkach uczuciowych z Janem Tarnowskim czy Ludwikiem Heringiem. Dziś, po opublikowaniu wspaniałej biografii Erica Karpelesa, korespondencji Czapskiego z Heringiem i wojennego „Dziennika” autora „Na nieludzkiej ziemi”, tamte spory wydają się należeć do odległej przeszłości. Za to głos Czapskiego wybrzmiewa z niezwykłą siłą, wywołując obrazy i sceny z rodzinnych Przyluk, przedrewolucyjnego i ogarniętego rewolucją Petersburga, międzywojennego Paryża, sowieckiego obozu i stalinowskiej Moskwy, postacię rodzeństwa, małżeństwa Mereżkowskich, Dymitra Filosofowa i Wasilija Rozanowa, Misi Sert, malarzy z Komitetu Paryskiego, generała Andersa i redaktora Giedroycia, Daniela Halévy’ego i Kota Jeleńskiego...

To wspaniałe, że te rozmowy zostały zarejestrowane i spisane. Piotr Kłoczowski umiejętnie wywołuje kolejne wątki, a czytelnik czuje się, jakby siedział gdzieś z boku w pokoiku na piętrze domu w Maisons-Laffitte, słuchając niewidomego już prawie całkiem malarza. Nieobojętnego świadka nie jednej, a kilku epok, które nieodwracalnie minęły. ©P

KRZYSZTOF ZALEWSKI

jest wokalistą, multiinstrumentalistą, producentem, autorem tekstów i kompozytorem. W 2002 r., jeszcze jako nastolatek, zwyciężył w drugiej polskiej edycji programu „Idol”.

Rok później ukazała się jego pierwsza solowa płyta „Pistolet”, przy wydaniu której współpracował m.in. z Marcinem Borsem i Katarzyną Nosowską.

Wiele lat grał i występował z Moniką Brodką, zespołem Hey i Muchami, drugą autorską płytę wydając w roku 2013. W 2018 r. nominowany do Paszportów „Polityki” za nagranie własnych wersji piosenek Czesława Niemena. Jego najnowsza płyta „Zgłowy” jest rockowa, lecz bardziej osobista niż poprzednie.

OLGA

Drenda:

Redukcja szumu



JEST TAKI MOMENT W ROKU, KTÓRY – CHOĆ trwa tylko chwilę – daje okazję do obserwowania niebywałych złudzeń czasowych. Kilkudniowy okres dzielący Boże Narodzenie i Nowy Rok rozciąga się niemal bez końca, zapewniając przyjemne i jakże rzadkie poczucie, że

ze wszystkim da się zdążyć i, co najbardziej zadziwiające, często faktycznie się udaje. Dla mnie to od lat dni, w których nie brakuje zajęć w pracy, może nawet mam ich więcej, ale mimo to nie irytuję się tak, jak w pozostałej części roku. Dni wydają się przyjemnie spokojne, długie i pełne, pozostawiające miejsce na solidną pracę bez poczucia towarzyszącej siekaniny, bez niespodziewanego zakłócania skupienia przez różne ludzkie ingerencje. Tak powinna właśnie wyglądać praca, myślę czasami bezsłonecznego 28 czy 29 grudnia, i w porywach pewności wyobrażam sobie nawet, że byłabym w stanie wtedy napisać niewielką książkę, tak bardzo pora ta sprzyja mnisiej koncentracji. To, jak na mnie, pewna ambicja, bo piszę raczej powoli; wolę nawet nie zgadywać, jak bardzo ten spokój umysłu sprzyja np. najbardziej aktywnym autorom powieści gatunkowych – przy dobrych wiatrach do Nowego Roku mogłoby powstać co najmniej dwadzieścia nowych fabuł. Jako ktoś, kto czuje się wciąż gnęty na co dzień w daremną i wyczerpującą batalię z czasem, i często z tego powodu wścieka się i klnie, nieodmiennie co roku zadziwiam się tym, że czas istotnie potrafi zwolnić, i to nie w ten jałowy, męczący sposób znany z poczekalni tego świata. Jest coś łagodnego w tych szarych i nieładnych na ogół

popołudniach, gdy wypadło spędzać je w sposób zupełnie prozaiczny i nieurlopowy.

Okres ten lubią z pewnością uczniowie, studenci i ci, którzy zarezerwowali sobie urlop na wycieczkę w góry. Nie lubią ci, którzy muszą domknąć do końca roku budżety, którzy zapomnieli jakiegoś ważnego dokumentu wymagającego daty do końca, ci, którym urlop z różnych przyczyn nie przysługuje, albo ci, którzy jako pracownicy sektora handlu, transportu i logistyki muszą radzić sobie z efektami ubocznymi świątecznej gorączki zakupowej. Choć różnie z tym bywa; nieraz słyszałam szczere wypowiedzi osób, które właśnie do pracy udawały się wtedy po odrobinę spokojnej nudy. Niektórzy, nawet gdy doceniają rodziną atmosferę i przysmaki, już spieszą do wyjścia z czasu domowego świętowania, stąd coraz więcej komercyjnych miejsc otwiera się już 26 grudnia, by przyjąć tych, którzy najedzeni wyturlali się na zewnątrz. Jednak wtedy, gdy osobliwie namacalny staje się denerwujący frazes „...i po Świętach”, zaczynają dziać się innego rodzaju cuda.

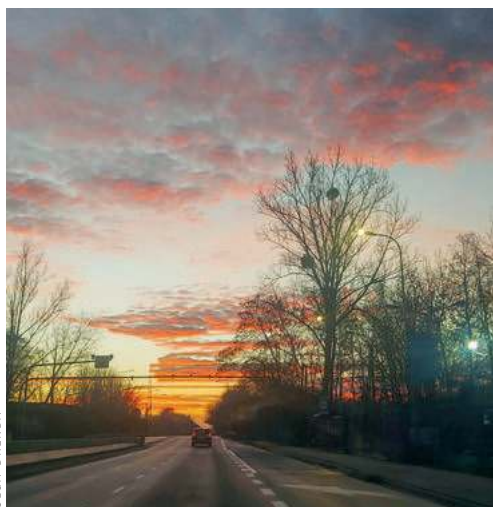
„Załatwić coś na spokojnie” to jednak marzenie niejednego z nas, i właśnie w tym okienku często się udaje to urzeczywistnić. Wtedy częściej niż zwykle zdarzają się również chwile nieprzymuszonego międzyludzkiego kontaktu: spontaniczna, przyjazna rozmowa między nieco zagubionym petentem a lekko znużoną urzędniczką, wymiana uprzejmości między pracownikami obiektu sportowego a klientem, który postanowił skorzystać z rzadkiej szansy popływania w niemal pustym basenie. Samotność w świąteczne dni ciąży bardziej, lecz po nich nadchodzi czas na malutki rewanż.

Oczywiście nie wszystkim odpowiada spokojny nastrój pogodnej komedii obyczajowej. Choć może jak w dobrej komedii nie powinno zabraknąć wybuchów emocji. Bardzo wielu moich rówieśników zaczynało swoją drogę zawodową, pracując na infolinii: wspominali nieraz, że okres poświąteczny przynosił im wyjątkowo wiele telefonów zupełnie nie na temat. Ludzie, korzystając z darmowych połączeń, dzwonili, żeby ponarzekać na cokolwiek i podenerwować się do słuchawki (pracownicy przyjmowali te nieprzyjemności z godnym podziwu dystansem). Najwidoczniej względny spokój jeszcze bardziej działał im na nerwy. Kiedyś mnie to dziwiło, dzisiaj już nieco mniej, co nie znaczy, że mnie cieszy; moje niezłomne dotąd przekonanie, że jesteśmy społeczeństwem pragnącym nade wszystko świętego spokoju, ustępuje ostatnio myślom, że pokusa darmowej rozrywki w postaci robienia scen oraz z igły widel może zwyciężyć.

O tym jednak przy innej okazji – na razie zachęcam do korzystania z krótkiego czasu redukcji szumu. ©

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

Zdjęcie
zrobione
w jeden
z takich
dziwnych dni



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo:

Biała serweta



TYSIĄC DWIEŚCIE LISTÓW PRZEZ TRZY-
dzieści lat – już choćby to pokazuje, że
dawny prezydent Francji François Mit-
terrand traktował swoją oficjalną me-
trese serio. Obecność Anny Pingot
w życiu tego giganta socjaldemokracji
rządzącego postępowo, acz z umiarem,

choć otoczona dyskretnym milczeniem, dla wszystkich była
oczywista. Po jego śmierci nikt nie robił z wydania tych cieka-
wych listów obłej sensacji. Prasa miała przecież sto innych
okazji, by wyciągać mu brzydkie rzeczy, np. butę, hipokryzję
i brutalne gry.

Czyli to, o co powinniśmy podejrzewać każdego polityka.
Dlatego nie złościć się, że znów opowiadam o francuskim pre-
zydencie, bo to bardzo nas dotyczy. Około każdego sylwestra
przychodzi mi na myśl pożegnalna wieczerza, jaką umierający
na raka Mitterrand spożył tego dnia w 1995 r. Oczywiście
wbrew zaleceniom lekarzy. I wbrew unijnemu
prawu, bo oprócz ostryg, kapłona i foie gras
podano również pieczone trznadło, któ-
rych pozyskiwanie za pomocą pułapek
było już od jakiegoś czasu zakazane
przez dyrektywę. Ale Francja wdro-
żyła ją u siebie ze znacznym opó-
źnieniem, bo w sprawach dla siebie
istotnych niechętnie oddaje suwe-
renność. Do dziś władze lokalne na
południu kraju przeganiają aktywi-
stów utrudniających łapanie śpie-
wego ptactwa, „bo ich obecność staje
się uciążliwa dla wsi i powoduje niepo-
koje społeczne”.

Trznadło ma pecha być niebiańskim
prysmakiem. Mówię to nie z autopsji, ale źródła pi-
sane są zgodne i tak sugestywne, że sam się waham, czy nie dał-
bym się skusić, choć to jest straszne: skubie się go żywcem, topi
w armianiaku, potem smaży, a następnie, prosto z patelni, spo-
żywa w całości, łącznie nawet z drobnym dzióbkiem. Jednym
kęsem, żeby to wszystko wybuchło w ustach. Pamiętacie może
tę scenę z widzianego jesienią filmu „Bulion i inne namiętno-
ści” – biesiadnicy nakrywają się, jak jakaś sekta, białą serwetą.
Zwyczaj ten ma wymiar praktyczny – żeby
nie uronić aromatu, nie opryskać towarzy-
szy – oraz, tak słyszałem, moralny: trzna-
dłozercy chcą ukryć przed ludźmi, a może
nawet i Bogiem, bezecny ten rytuał.

Mitterrand zjadł zatem trznadło, na-
zajutrz odmówił przyjmowania dalszych

posiłków, zmarł kilka dni później. Ale jego dziedzictwo trwa
w niektórych sprawach nienaruszone aż do dziś. Np. tzw. dok-
tryna Mitterranda: mimo że nigdzie nie zapisana w prawie, ma
nawet swoją stronę w Wikipedii i pozostaje punktem odnie-
sienia dla trybunałów. W 1985 r. prezydent ogłosił, że Francja
udzieli schronienia każdemu włoskiemu czerwonemu terro-
ryście, pod warunkiem, że nie zabijał. Takich ludzi zebrano się
w sumie ponad dwustu. Rzecz jasna, część z nich strzelała i kła-
dła bomby, ale pogarda francuskiej klasy politycznej dla Wło-
chów i ich niepoważnego państwa pozwalała wziąć trupy w na-
wias. Skazani za zabójstwa? No cóż, ich proces był na pewno
nieuczciwy, specjalne przepisy uchwalone w Rzymie do walki
z terroryzmem pachną stanem wyjątkowym, nie skreślajmy
tych ludzi, zwłaszcza że część z nich to intelektualści... Jeszcze
rok temu sąd apelacyjny oddalił wniosek Włoch o ekstradycję
dziesięciorga już mocno starszych towarzyszy.

Włoskie państwo jest z jeszcze cieńszej tekstury niż na-
sze, jego aparat sprawiedliwości – mimo że urzęduje na tych
samyh wzgórzach, po których chadzał Cynceron – ma mnó-
stwo wypaczeń. Ale akurat sposoby walki z Czerwonymi Bry-
gadami nie odbiegały od tego, co wobec przemocy robią inne
praworządne kraje. Jednak racje polityczne były ważniejsze
i jakoś oba te kraje z tym przez 40 lat żyją. Trzeba czasami w ży-
ciu umieć się nakryć białą serwetą. Życzę wam, żebyście w no-
wym roku robili to jak najrzadziej.

Salata rzymska po neapolitańsku

Przerobimy na nasze warunki pochodzącą z katalogu
ciekawych dań świątecznych Italii neapolitańską
scarola 'mbuttunata. Znaczy to „nadmiewana
endywia bawarska”. Jest to salata na tyle
rozłożysta i sztywna, że między jej liście
upycha się farsz, wiąże sznurkiem
i dusi na patelni. W zimie jej nie
dostaniemy, ale podobna do niej
będzie salata rzymska, której
jednak nie da się nafaszerować,
więc składniki będą osobno.
W oryginalnym przepisie są rodzynki,
a nie śliwki – możecie spróbować.

Składniki: 1 salata rzymska 2 fileciki
anchois 3 suszone śliwki **garść** czarnych
oliwek i kaparów

Podgrzewamy parę minut na patelni oliwę
z czosnkiem i anchois (w wersji wege można pominąć).
Dodajemy posiekane drobno oliwki, śliwki i kapary. Dusimy dalej
kilka minut, podlewając łyżką białego wina. Wybieramy zwartą,
podłużną salate. Rozcinamy wzdłuż, blanszujemy przez minutę,
przekładamy na patelnię z farszem, zwiększamy ogień i smażymy
po dwie minuty z każdej strony, a może nawet dłużej, żeby po
rozciętej stronie zaczęła się lekko rumienić. ©



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch,
obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem.
Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku”
(Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

BĄDŹ, JAKA JESTEŚ

Jedna z najlepszych aktorek naszych czasów długo czekała na pełne uznanie. Za to nie raz udowadniała, że jej aktorstwo sytuuje się ponad oscarowymi popisami.

ANITA PIOTROWSKA

WJEDNYM Z ODCINKÓW „STATYSTÓW” (2005-2007), brytyjskiego sitcomu z dość osobliwym humorem, trafiamy na plan filmu o Zagładzie. Twórcy mają nadzieję, że nośny w Hollywood temat zapewni im Oscara – zwłaszcza że do roli zakonniczki ukrywającej Żydów zaangażowali wielką Kate Winslet. Gwiazda nie owija w bawełnę: występ w takim filmie to również dla niej życiowa szansa, by wreszcie, po kilku nominacjach, dostać pożądaną statuetkę. Grająca samą siebie Winslet już trzy lata później przekona się, że jej cyniczna bohaterka mogła mieć po trosze rację.

Najsłynniejszy pocałunek

Trudno uwierzyć, że minęło trzydzieści lat od jej debiutu na dużym ekranie. U progu pięćdziesiątych urodzin zdaje się być w rozkwicie możliwości, jest też gorącą orędowniczką naturalnego wyglądu. A kiedy patrzy się na jej rolę w serialu „Mare z Easttown” (2021) bądź w filmie „Lee. Na własne oczy” (2023), te nawoływania do ciałopozytywności tudzież gromkie pochwały wieku dojrzałego w każdym jego aspekcie nie brzmią gołosłownie. Nie jest również przypadkiem, że oba te tytuły Kate Winslet osobiście wyprodukowała.

Potrafi wydobywać siłę – przynajmniej tę ekranową – z kobiet dalekich od doskonałości, jakkolwiek rozumianej. Z kobiet wydeptujących własne ścieżki, zdeterminowanych, żeby robić swoje bez względu na zewnętrzne przeszkody czy własne słabości. W takich rolach wypada ostatnio najbardziej pełnokrwiste, choć przecież najsłynniejszy melodramat drugiej połowy XX w. mógł ją utopić na zawsze w kostiumowych widowiskach. Kate szczęśliwie ocalała z legendarnego „Titanica” (1997). Więcej: wyszła z niego jako pierwszoligowa gwiazda i jednocześnie osoba dużo silniejsza, bo nie tylko przeżołana przez Jamesa Camerona – w lodowatej wodzie, bez piankowej odzieży, nabawiła się ponoć hipotermii. Co zresztą reżyser próbował jej potem zrekompensować, angażując do innej „mokrej” superprodukcji „Avatar. Istota wody” (2022), tym razem w ochronnym kokonie z efektów specjalnych.

Ale to nie wilgoć i siniaki wspomina dzisiaj najgorzej. W wywiadach często mówi o medialnym hejcie, jaki wyłaził się na młodziutką aktorkę w dniu premiery „Titanica”.

Wymierzony był bezpośrednio w jej fizyczność, rzekomo niewymiarową jak na ciasne hollywoodzkie standardy. Gdyby trafiło na słabszą osobowość, mogłaby się załamać albo za wszelką cenę próbowałaby sprostac oczekiwaniom komentariatu. Tymczasem Winslet poszła za ciosem. Naturalna cielesność, pozbawiona seksualizacji i zarazem pruderii (aktorka znana jest z tego, że w scenach intymnych rezygnuje z pomocy dublerki i często sama opracowuje „choreografię”), stała się jednym ze znaków rozpoznawczych tego aktorstwa. Wszelkie zaś imputowane jej niedoskonałości potrafi przekuć na doskonale rzemiosło – i dawać swoim bohaterkom prawo do bycia dokładnie takimi, jakimi są.

Warto przypomnieć, że jej pierwszy ekranowy pocałunek wcale nie był tym sterylnym całusem na dziobie „Titanica, w scenie „latania” z Leonarde DiCaprio. Miała zaledwie siedemnaście lat, gdy dostała rolę w „Niebiańskich istotach” (1994) Petera Jacksona, niezwykle odważnych jak na aktorski i reżyserski debiut. Przyszły twórca „Władcy Pierścieni” opowiedział autentyczną historię dwóch nowozelandzkich nastolatków, które uciekły od rzeczywistości we własny wyimaginowany świat, a kiedy próbowano im go odebrać i je rozdzielić, przygotowały okrutną zemstę.

Winslet, znana wówczas jedynie z brytyjskiej telewizji, do dziś wywołuje dreszcze intensywnością swojego wcielenia. Otwierający film bieg rozkrzyczanej i zakrwawionej uczennicy, a potem jej spokojne wkroczenie do klasy (pierwsza scena, jak się okaże, była makabryczną futurospekcją) to jedno z najmocniejszych w kinie wejść. Początkująca aktorka, wychowana w angielskiej rodzinie o szacownych tradycjach teatralnych, brawurowo zagrała charyzmatyczną obsesjonatkę, naładowaną dziewczynskim erotyzmem, zdolną samym charakternym spojrzeniem zabić nauczycielkę czy księdza. Ileż razy będzie nas nim przeszywać na przestrzeni kolejnych trzech dekad.

→

Kate Winslet w serialu „Mare z Easttown”
w reżyserii Craiga Zobela



Ciemna dusza tramwajarki

⇒ Uczyla się od najlepszych, zapatrzona w Jodie Foster i Jessicę Lange czy swoje wybitne rodaczki, Judi Dench i Emmę Thompson, które mogła podpatrywać bezpośrednio na planie. I to nie w gorsetach lub adaptacjach klasyki, pośród niewiast „rozwąznych i romantycznych”, wydobędzie z siebie głębię spojrzenia, ale w mających dopiero nadejść mocnych rolach współczesnych. Na przełomie milleniów, przy takich tytułach jak „W stronę Marrakeszu” Gilliesa MacKinnona i „Święty dym” Jane Campion, stanie się na moment uosobieniem pseudoduchowych poszukiwań. Dziś te filmy wyróżniają się jedynie obecnością Winslet.

Charakterystyczne, że za swą ulubioną postać uważa jakże prozaiczną (z pozoru) Clementine Kruczynski, bohaterkę „Zakochanego bez pamięci” (2004) Michela Gondry’ego. Tam właśnie, w najbardziej filozoficznej i narracyjnie zapętlonej spośród komedii romantycznych, dała się poznać jako projekcja czyjejś pamięci. Stworzyła przy okazji jedną z najbardziej intuicyjnych kreacji – młodej kobiety, której nie sposób zapomnieć, a równocześnie buntującej się przeciwko płaskiemu wizerunkowi „pozytywnie zakręconej”. Takiej, która za prowokacyjnym zachowaniem skrywa wrażliwość, niedostrzegalną dla wybiórczo zakochanych.

Winslet pozwala dostrzec tę wrażliwość pod najbardziej masywnym pancerzem, a nawet pod fantomowym mundurem esesmańskim. Chodzi oczywiście o „Lektora” (2008) Stephena Daldry’ego, który to film przyniósł jej statuetkę Oscara, pierwszą i jak dotąd jedyną spośród aż siedmiu nominacji. Można żartować, że spełniła się wówczas autoironiczna przepowiednia ze wspomnianych „Statystów”: opłacało się wystąpić w filmie z Shoah w tle. Co nie zmienia faktu, że postać berlińskiej tramwajarki, ukrywającej ponure tajemnice z czasów wojny, to mistrzostwo aktorskiej powściągliwości. I zarazem bezkompromisowego podejścia do ciała na ekranie.

Z drugiej strony, wedle zakulisowych doniesień, odtwórczyni Hanny Schmidt postarała się, by jej osiemnastoletni wówczas partner czuł się bezpiecznie w śmiałych scenach erotycznych. Zaś we fragmentach z procesu sądowego to dzięki niej „banalne zło” mieni się rozmaitymi odcieniami, przybierając twarz irytująco naiwnej służbistki, to znów kobiety złamanej przez swój najgłębiej ukryty kompleks. A w końcu i kogoś, komu gwałtowne zderzenie erotyki i literatury pozwoliło uświadomić wyparte przewiny.

Siła niespełnienia

Oscarową kreacją Winslet podniosła sobie poprzeczkę tak wysoko, że może się wydawać, iż w latach dwutysięcznych rozmieniała na drobne swój potencjał. Na wielobarwnym, a czasami bezbarwnym tle wyróżniają się z pewnością „Małe dzieci” (2006) Todda Fielda i rola Sarah – jednej z kilkorga bardzo niedojrzałych dorosłych bawiących się w dom, gdzieś na amerykańskich przedmieściach. Młoda gospodyni domowa, osamotniona w małżeństwie i macierzyństwie, nawiązuje intymną znajomość z zonatym sąsiadem. Dostając szansę na zobaczenie dotychczasowego życia w trochę innym świetle, popada w nowe frustracje. Oglądamy współczesną panią Bovary, stłamszoną przez niespełnione ambicje, infantylnie fantazje i mieszczańskie obsesje, aczkolwiek

postać ta ma zdecydowanie bardziej ludzki rys aniżeli inne „duże dzieci” z tej historii.

Przedłużenie tego niebezpiecznego placu zabaw znajdujemy w „Rzezi” (2011) Romana Polańskiego. Winslet gra tam modelową przedstawicielkę nowojorskiej wyższej klasy średniej, dobrze wychowaną i postępową w swych poglądach, jednakże szkolny incydent z udziałem jej synka i konfrontacja z rodzicami poszkodowanego chłopca zdzierają grzeczną powłokę. Spektakularny paw puszczonej na album Oskara Koskoschki to dopiero początek sporu wokół szkolnej przemocy, stopniowo przechodzącego w słowną jatkę. A odtwórczyni eleganckiej Nancy szarżuje tutaj na całego, raz po raz wysuwając swój mniej znany komediowy pazur.

Bo przecież nie samym melodramatem żyje kariera tej aktorki, mimo że w takim właśnie gatunku parokrotnie zdarzyło jej się osiągnąć absolutne wyżyny. Tak było w „Drodze do szczęścia” (2008) wyreżyserowanej przez jej ówczesnego męża, Sama Mendesa. Sparował on ze sobą głównych amantów z przebojowego „Titanica”, teraz o dwadzieścia lat starszych. Znalazły się tu również mniej lub bardziej dyskretne aluzje do tamtego wyciskacza łez. Tyle że dojrzałym kochankom z amerykańskich lat 50. niewiele pozostało młodzieńczego romantyzmu.

Przyziemne i przeciętne „żyćko” w domku z ogródkiem, wypełnione pracą i konsumpcją, do złudzenia przypomina to ze współczesnych „Małych dzieci” i filmowa April przeżywa je dużo boleśniej niż zapracowany i niewierny mąż. Bohaterka Winslet marzy o wyprowadzce do Paryża, lecz kolejna ciąża komplikuje plany, będzie też musiała zapomnieć o aktorskich aspiracjach. Patrzymy na kobietę pod presją, coraz bardziej zdesperowaną, przygnębioną katastrofą małżeństwa, usidlona przez antykobiecego system społeczny. Mało która z dzisiejszych aktorek potrafi tak rozdzierająco odgrywać miłosne czy po prostu życiowe niespełnienia.

„Amonit” (2020) Francisca Lee wydawał się pod tym względem nowym wyzwaniem, jako że tocząca się w epoce wiktoriańskiej na poły autentyczna historia dotyczy miłości dwóch kobiet. Winslet wcieliła się w angielską paleontolożkę, przeżywającą zauroczenie młodszą kobietą. Namietność i fatalizm wpisany od początku w tę relację uświadamiają, że gdzieś już widzieliśmy taką Winslet, jakkolwiek w innych krajobrazach i kostiumach. Dlatego tak dobrze czasem zobaczyć na ekranie zupełnie inną Kate, całkowicie odromantycznioną i twardo stąpającą po ziemi, jak choćby w filmie „Steve Jobs” (2015) Danny’ego Boyle’a. Przeistoczyła się tam w Joannę Hoffman, urodzoną w Polsce współtwórczynię sukcesu firmy Apple. Córką reżysera Jerzego Hoffmana zdecydowanie wybija się z drugiego planu, nie tylko łamiąc genderowe stereotypy. Nic więc dziwnego, że ucharakteryzowana nie do poznania i mówiąca z twardym akcentem aktorka szczególnie sobie ceni tę rolę, skromną na pierwszy rzut oka i zagrana w nie najlepszym filmie, dostrzeżoną potem przy oscarowych nominacjach.

Upadki i wzloty

Do telewizyjnych produkcji, w których pojawia się nader rzadko (są to zazwyczaj miniseriale), ma Winslet zmienne szczęście. W „Mildred Pierce” (2011), adaptacji znanej powie-



MATERIAŁY PRASOWE

■ **LEKTOR** | W kongenialnej adaptacji powieści Bernharda Schlinka zagrała byłą strażniczkę obozową, która w latach 50. wdaje się w zakazany romans z nastolatkiem. Odkrywa dzięki niemu świat książek, co na zawsze zmienia życie ich obojga. Widzimy, jak jej tragiczna postać przeobraża się na przestrzeni kilkudziesięciu lat nie tylko fizycznie, wydobywając z siebie nieoczywiste rysy.



HBO / MATERIAŁY PRASOWE

■ **MARE Z EASTTOWN** | W siedmioodcinkowym serialu HBO aktorka gra tytułową postać sierżantki z małego miasteczka, uwikłanej w skomplikowane śledztwo, lokalne układy i prywatne problemy. Otrzymała za tę rolę najważniejsze telewizyjne nagrody, a jako producentka wykonawcza zadbała o równe traktowanie wszystkich członków obsady i, ze względu na trudną tematykę, o psychiczny komfort tych najmłodszych.



KIMBERLEY FRENCH / MONOLITH / MATERIAŁY PRASOWE

■ **LEE. NA WŁASNE OCZY** | Rola legendarnej fotoreporterki Lee Miller, na podstawie biografii napisanej przez jej syna Antony'ego Penrose'a, jest jednym z najbardziej osobistych przedsięwzięć Winslet. To ona wybrała reżyserkę filmu, a była nią debiutująca w tej funkcji Ellen Kuras, zaprzyjaźniona autorka zdjęć, z którą pracowała wcześniej przy „Zakochanym bez pamięci” i „Odrobinie chaosu”.

ści i telewizyjnej odświeżeniu hollywoodzkiego klasyka, wyreżyserowanej przez Todda Haynesa, zbudowała postać wręcz generyczną w swoim dorobku. Jej bohaterka, samodzielna matka dwóch córek, próbująca przetrwać w Kalifornii czasów Wielkiego Kryzysu, niemal nie schodzi z ekranu, wypełniając go macierzyńską determinacją i nadzieją na odrobinę miłości. Rola wydaje się aż nazbyt idealnie skrojona pod Winslet, uosabiającą z jednej strony kobiecą zaradność, a z drugiej emocjonalną nieporadność. Ale choć w niczym nie ustępuje przedwojennej kreacji Joan Crawford, najlepsze dopiero nadejdzie.

W „Mare z Easttown” (2021) stworzyła portret zmęczonej kobiety w średnim wieku, która nie zabiega o sympatię widza i wielokrotnie zawodzi w różnych życiowych rolach. Pogłębiła tym samym standardowy wizerunek głównych bohaterek seriali kryminalnych. Wchodząc w buty policjantki z pensylwańskiego miasteczka, Winslet robi wszystko, aby nie wyglądać i nie grać niczym Kate Winslet. Mówi z lokalnym akcentem, stawia ciężkie kroki, występuje w pobrzydającej charakterystyce i bez filtra, w niektórych scenach improwizuje. W efekcie jej bohaterka – po srogich przejściach, w znoszonej parce i ze spluwą – budzi gamę sprzecznych odczuć. Przede wszystkim zaś podziw dla tego, jak brytyjska aktorka zdołała przegryźć się przez nieuchwytną, chwilami odpychającą postać Mare.

Za to o niedawnym występie w komediowym miniserialu „Reżim” (2024) pewnie wołałaby zapomnieć – i większość widzów też. Rola paranoicznej kanclerki z fikcyjnego kraju Europy Środkowej napisana jest tak grubo, że nawet aktorka tego kalibru nie znajduje pola do twórczej interpretacji. Spod rządowego uniformu niewiele się wyłania i raczej nie z winy samej aktorki. Wydaje się, jakby Winslet była zmuszona udawać przed kamerą Cate Blanchett, w wątpliwej jakości satyrze na współczesną (choć w gruncie rzeczy anachroniczną i umowną) dyktaturę. Zwłaszcza po wcześniejszej roli w filmie „Lee. Na własne oczy” (2023), gdzie dała z siebie to, co najlepsze, wypełniając po drodze parę filmowych mieliżn.

O amerykańskiej fotograficzce Lee Miller mówi się, że żyła niczym kot – wieloma żywotami – i w taki sposób przedstawiona została w biograficznym filmie. W latach 30. była przyjaciółką artystów i wyzwoloną obyczajowo modelką, by z czasem przejść na drugą stronę obiektywu. I utrzymywać nie tylko pięknych czy sławnych, ale jako wojenna korespondentka brytyjskiego „Vogue’a” dawać świadectwo horrorom swoich czasów.

Na podstawie rozmów z synem Miller oraz jego książki, nurkując w jej archiwach i garderobie, uzbrojona w wierną replikę jej aparatu, Winslet pokazuje wielopostaciowość odtwarzanej postaci. Wrażliwej artystki i kontrowersyjnej matki, ofiary stresu pourazowego i ówczesnej siłaczki, dopiero przecierającej typowo męskie szlaki w fotografii wojennej. Tym także można usprawiedliwić filmowe uproszczenia – oglądamy wojnę niejako oczami Lee, z całą jej naiwnością i ciężarem grozy, tak genialnie przefiltrowaną na ikonicznych już dzisiaj zdjęciach.

Swoją drogą Winslet zaangażowana była w prawie każdy aspekt produkcji tego filmu. Podobnie jak jej temperamentna bohaterka, nie umiała się zmieścić w jednej zrazu wyznaczonej roli. I trochę jak w przypadku Mare z Easttown albo paru innych kobiet z tej obfitej filmografii dotknęła tu aktorstwa najszlachetniejszej próby – w którym dociekliwość spojrzenia i czysta organiczność na moment stają się jednym. © ANITA PIOTROWSKA

STANISŁAW

Mancewicz: Zbieg, który nie zbiegł



Z BLADYM UŚMIECHEM OBSERWUJEMY szalone przygody polskiego wymiaru sprawiedliwości i służb mundurowych z byłym wiceministrem p. Romanowskim. W naszym niekrótkim życiu nie zdarzyła się dotychczas żadna historia w tym guście. Oto człowiekiem ściganym jest członek rządu zarówno byłego, jak i zdaje się przyszłego rządu RP na uchodźstwie.

Człowiek publiczny. Dość znany. Nieprzebrany za Zorro ani za kobietę. Bez przyklejonych wąsów, niejeżdżący superszybkim autem, nielatający helikopterem ani balonem, w niemal ułamku sekundy zniknął z oczu dziesiątków obserwujących go tajniaków. Opinia publiczna wie, że zniknął, ale w sferach żandarmeryjnych oraz w kręgach politycznych traktuje się te informacje z niedowierzaniem. Gdy do naprawde wszystkich wreszcie dociera, że uciekł, rusza lawina inteligentnych domysłów, stuprocentowo pewnych informacji, pochodzących ze stuprocentowo kompetentnych źródeł. Pojawiają się adresy. Najpierw klasztorów. Męskich i żeńskich. A może jest w pałacu? Wiadomo którym.

Mamy chaos i dezorientację wśród tzw. mediaworkerów. Poszukiwania ruszają na całego. Polska zamienia się w sieć zastawionych pułapek. Wydany zostaje list gończy, pierw lokalny, potem europejski, wreszcie światowy. Padają nazwy kontynentów, które ponoć przemierza były wiceminister sprawiedliwości III RP, a potem dostajemy listę krajów. Pętla się zaciska. Zaraz go złapią. Jedna z kiedyś poważnych gazet informuje, że wszyscy w MSW „od dawna wiedzą”, że p. Roma-

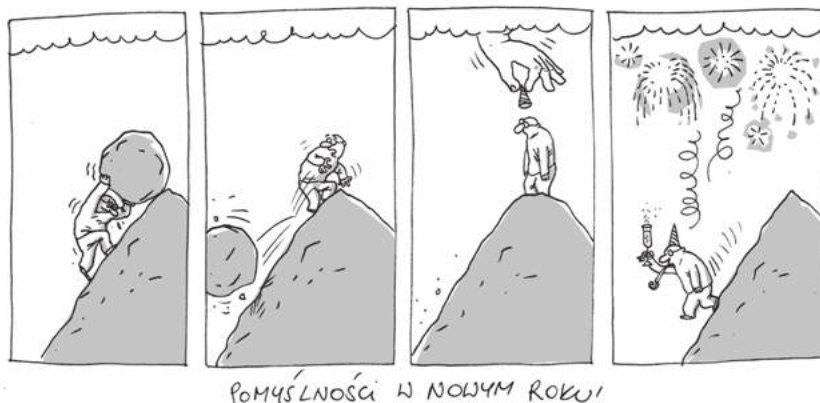
nowski mieszka w Hiszpanii. Niczego mu tam nie brakuje. No może polskiej komórki, bo nie może przejrzeć fejsa ani wrzucić fotki na insta. Ale i tak ma luz.

Tymczasem algorytmy szaleją. W tekstach o wypoczywającym w Hiszpanii wyświetla się nawałnica reklam kontekstowych, głównie biur nieruchomości. Oferują fenomenalne działki, domy i mieszkania na Półwyspie Iberyjskim. Hiszpania czeka! Na bogatych i biednych oraz na bardzo biednych. Rzuć korpo! Zmień życie! Oddaj się uprawie ekologicznych, niepasteryzowanych pomidorów. Jedz oliwki. Nie stresuj się. Pamiętaj o diecie śródziemnomorskiej. Kup dom za jedno euro. Biura turystyczne proponują natychmiastowy wylot na Costa de Sol. Za bezcen. Tam jest najcieplej. Spędź sylwestra w pełnym słońcu. Czekają ostatnie wolne miejsca w apartamentach z basenami. Z widokiem na p. Romanowskiego. Im bliżej jego apartamentu, tym drożej, większość z nich jest wynajęta – bodaj przez polskie MSW. Dla pracowników. Owi w dzień i w nocy obserwują zbiega, który przelicza banknoty pochodzące z Funduszu Sprawiedliwości. Zaraz go capną. Już go mają. Już go wiozą. A nie, jednak nie. To nie on. Nie ten samolot, nie ten łobuz. Nie ta kasa i nie ten list gończy. Pracownicy mediów są zdezorientowani. Najpoważniejsze gazety twierdzą, że wszystko wiedzą, choć nic nie wiedzą. Wreszcie wiemy, bo się dowiadujemy, ale nie z prasy. Zbieg rzeczywiście „nie zbiegł”, tylko wyjechał. Do Budapesztu. Czekamy, co dalej, i na oferty niedrogich domów nad Balatonem. Niecierpliwość zostaje wynagrodzona. O miejscu pobytu poszukiwanego dowiadujemy się nie od policji, nie od dziennikarzy śledczych, a od premiera Polski, któremu o tym opowiedział premier Węgier. Że nam p. Romanowskiego nie odda, bo – owszem – Polak, Węgier, dwa bratanki, ale nie każdy Węgier się brata z każdym Polakiem, choć z Putinem owszem. Będziemy więc mieć jakby rząd na uchodźstwie. Niebawem. Bo padła zapowiedź, że schronienie na Węgrzech dostanie wielu. Nigdy dość cytowania w Polsce Karola Marksa: „Historia lubi się powtarzać, raz jako tragedia, a drugim razem jako farsa”. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.





ORKIESTRA
ADAMA
SZTABY

KONCERTY
JUBILEUSZOWE

2014

21.10 ICE KRAKÓW
27.10 HALA STULECIA, WROCŁAW
20.11 COS TORWAR, WARSZAWA
01.12 NOSPR, KATOWICE
15.12 SALA ZIEMI, POZNAŃ

2025

GOŚCIE

NATALIA
KUKULSKA

ANNA
KARWAN

KUBA
BADACH

PIOTR
CUGOWSKI

BILETY: BILETSERWIS.PL

Prestige
MJM

bs BILET
SERWIS



Materiał marketingowy
Sopockiego Towarzystwa Ubezpieczeń
ERGO Hestia S.A.